

LEON KOSZNICKI

POD SKRZYDŁAMI
D'ANNUNZIA

Stępca
№ 140

PAWEŁ JURCZAK
WARSZAWA
WILENSKA 39



WARSZAWA
BIBLIOTEKA GROSZOWA

Copyright z wyjątkiem Polski Włoch
własność autora. Autoryzowa-
ny przekład z francuskiego
R. Centnerszwerowej.
Tłoczono w Zakładach
Graficznych „Dru-
karnia Bankowa”,
Warszawa, Mo-
nuszki nr. 11.

LEON KOSZNICKI

ur. w Brukselli, w 1894.

Powołanie: poeta z Bożej łaski — laureat Akademii Francuskiej, ma w swoim dorobku kilka tomów liryk pierwszorzędnej wartości.

Zawód: dyplomata, b. szef „Wydziału Spraw Zewnętrznych” d’Annunzia w Fiume; chargé d’affaires do spraw artystycznych przy legacji belgijskiej w Rzymie; dziennikarz, b. redaktor belgijskiego miesięcznika „Flambeau”, współpracownik wielu pism belgijskich, amerykańskich i włoskich.

Umiejętności: dantologia — jego znajomość Dantego uznana jest za wyjątkową nawet pośród Włochów; muzyka — kompozytor licznych poważnych utworów orkiestrowych; historia sztuki — znawca pierwszorzędny, wysyłany przez rząd swojego kraju w misji specjalnej do muzeów europejskich.

Umysł niezwykle ruchliwy, wrażliwy na wszelkie bodźce podniosłe — stąd wielbienie d’Annunzia i zapal dla jego „imprezy” fiumeńskiej. Erudycja zdumiewająca — literatura, historia, humanistyka, językoznawstwo.

Pod skrzydłami d’Annunzia — 1.

Z urodzenia Belgijczyk; pochodzenia — w linii macierzystej — polskiego. Babka - Wilnianka, umysł niepospolity, entuzjastka, przekazała mu ukończenie najlepszych tradycji polskich ojczystego miasta. Stąd głębokie zrozumienie i odczucie sprawy Wileńskiej.

Długoletni pobyt we Włoszech — jest doktorem filozofii Uniwersytetu Bolońskiego — uczynił mu słoneczną Italię drugą ojczyzną nieomal. Daje temu wyraz w książce niniejszej, a także w licznych odczytach, jakie stale wygłasza w Brukselli w „Institut des Hautes Etudes“ na tematy, związane z nowoczesnymi kierunkami estetycznymi we Włoszech.

Na temat z literatury włoskiej również, ale tym razem z zakresu umiłowanej swojej dantologii, wygłosił — na zaproszenie Humanistycznego Wydziału Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie z okazji 350-lecia istnienia Wszechnicy — piękny odczyt „O pojęciu północy w Boskiej Komedji“ (*La Notion du Nord dans la Divina Commedia*).

Parokrotny pobyt w Wilnie, częste odwiedzanie Warszawy i poznanie Krakowa pogłębiły i wzmogły serdeczny jego stosunek do Polski, która w Leonie Kosznickim szczerego ma przyjaciela.

R. C.

WSTĘP DO POLSKIEGO WYDANIA.

Dziesięć lat waży ciężko na skroniach człowieka. Dziesięć lat jest jak puch lekkie na dachach miasta.

Powróciłem do Fiume pewnego sierpniowego poranka.

A że ulice natłoczone były ożywionym radośnie tłumem, z okien powiewały chorągwie, w powietrzu rozbrzmiewały tony muzyki (i nie było luster w okiennych wystawach), mogło mi się zrazu zdać, że nic nie uległo zmianie.

U wylotu kamiennej tamy — wprost Piazza Dante — pomnik Legjonistów; nazwiska poległych, zagadkowe wyrazy: 11 września 1919, Legjoniści, obywatele Fiume... Pod czym jednak szli przewodem? Napis nic o tem nie mówi. Przed *palazzo* — warta; mieszka tutaj prefekt Carnaro. Fiume jest stolicą prowincji. Szczęśliwe miasto odzyskało spokój, dobrobyt. Skupia się, z bogaca.

Deus nobis haec otia fecit.

Główna aleja, nosząca niegdyś miano węgierskiego męża stanu, Deaka, zwie się obecnie Viale Mussolini. Wszystkie ulice noszą imiona, drogie

zresztą sercom italskim: Giosué Carducci ma swoją, i Leopardi, i Gabrjel d'Annunzio także; ale jego ulica jest małym zaułkiem, którego długo trzeba szukać. Fiumeńczycy cenią tego poeę, zdawaćby się mogło. Na Piazza Dante, podniósłszy wzrok w górę, można bez wielkiego trudu odczytać kilka wierszy, pod którymi widnieje jego podpis.

Inne napisy odczytać można na Piazza Roma i na frontowej fasadzie *Municipio*; mówią one o mieście bohaterskim, o jego obrońcach, o jego woli, o jego plebiscytach.

Ale imię, jego imię?

Ten błogostan, ten spokój — oto jego dzieło, najszczytniejsze bodaj i najbardziej natchnione.

Podpis jego może figurować lub nie figurować.

Czy potrzebny jest podpis Michała-Anioła?

Miasto nie zatracza swojej wesołości; zachowało upodobanie do pochodów, do sztandarów, do okłasków. Są tacy, którzy to lubią. On — nie.

Podoba mu się, sędzę, być na stałe nieobecny w tych murach, gdzie nic — albo prawie nic — nie przypomina przejściowego pobytu jego wśród nich.

Szczęśliwe miasta nie mają historii.

Szczęśliwe miasta nie mają przeżyć.

„*Les lauriers sont coupés*“.

W ciasnych i przepojonych pachnidłami salach Vittoriale chroni książę de Montenevoso wymarzone

przepychy swoje. Gromadzi rzadkie okazy; przyćmiewa światło; zamyka najcenniejsze melodje w cedrowych komnatach, które są puzdami milczenia; rozpala ogień w przejrzystych czarach kamiennych; otacza wczasy swoje obiciami ze skóry dzikiej giemy. Dziwaczny, poskręcany pałac, nieprzypominający nic znanego, pałac, po którym chodzi się jak po wnętrzu wiołonczeli — On jeden zdolny był wyczarować go i urzeczywistnić. Chińskie bożki, posążki świętych, starożytne odlewy czuwają dokoła niego, a na progu dziwnej siedziby uzbrojeni *carabinieri*.

Gabrjelowi D'Annunzio udało się wzbogacić ba-jeczne dziedzictwo Italji: spotęgować jeszcze jej wspaniałość, wzmóc jej sławę, jaśniejszym jeszcze blaskiem uświetnić jej genjusz. Ale czyn jego — w takim samym bodaj stopniu, jak jego dzieła — przerasta granice jednego kraju. „*L'impresa fiu-mana*“ weszła w skład odbrzymiej Odyssei europejskiej, udręk i męczarni tego okresu, który zyska może kiedyś miano: *Powrotu Legionów*.

Zbyt wcześnie jest jeszcze kierować na nią reflektory Historji. Kroniki owej *QUINTA STAGIONE*¹⁾, wkluczone w ramy europejskie po dzie-

¹⁾ „QUINTA STAGIONE“ — (piąta pora roku) tak brzmi pierwotny włoski tytuł książki, przerobiony w — porozumieniu z autorem — na najbardziej odpowiadający treści: „POD SKRZYDŁAMI D'ANNUNZIA“. Książka ta, mianowicie, przełożona została z rękopisu francuzkiego na język włoski przez Alberta Luchini i wydana po raz pierwszy po włosku w Inst. Wydawn. Zanichelli'ego w Bolonji, w kwietniu 1922 r. (Przyp. tłum.).

sięcioletniej przerwie, rzucić na nią mogą nowe światło. I poprzez gąszcz malowniczych jedynie szczegółów, pamiątek, wzruszających dla tych, czyją stanowią własność, przypadkowych rozważań i przelotnych obrazów, będzie musiał uważny czytelnik i przyszły historyk rozpoznać i wzajem od siebie odzielić trzy prądy — zapał, prawdę i wiarę — zlewające się z sobą na wybrzeżu Carnaro, aby utworzyć zespolony strumień o potędze nadnaturalnej.

Bunt miasta przeciwko traktatom; Fiume zaznacza swoją wolę: istnieć lub zginąć jako miasto włoskie i aktem wzniesłego szału narzuca tę swoją decyzję Włochom i światu.

Bunt żołnierzy przeciwko złym rządóm, nie przeciwko temu czy innemu rządowi (rząd Nitti'ego nie ponosił o tyle większej winy niż inne), ale przeciwko wszelkim rządóm, przeciwko wszystkim, stojącym u steru: ministrom, generałóm, politykom i dziennikarzóm, którzy od 1914 r. oszukiwali, wprowadzali w błąd, poświęcali najlepsze pokolenia — bunt młodzieży przeciwko kłamstwu.

Bunt wielkiej duszy przeciwko jej epoce.

Gabrjel d'Annunzio dokonał czegoś innego, i czegoś więcej jeszcze, ponad zespolenie się z narodowemi uroszczeniami Fiumeńczyków; ponad przyłączenie swojego głosu, rozpalającego serca, do pomruku bojowników, zawiedzionych, beznadziejnie zgębionych, zapoznanych przez niewdzięczność tłumów, częstokroć niezdolnych do ponownego zajęcia miejsca w życiu społecznem. Powstał przeciwko po-

tędze wojny i przeciwko potędze pokoju. Dał głośny wyraz pogardzie swojej dla prowadzących układy i dla ich targów, dla marjonetek, świecących szychem naszym, pobrzękujących szabelką, dla armji, dla świata dyplomacji, dla kancelaryj i dla ministerjów. — Umiał być człowiekiem i tylko człowiekiem o rękach czystych pośród pajaców, ochlpanych krwią, i pajaców, okrytych złotem.

Komendant, Legja, miasto. Oto aktorzy dramatu. Łatwo zrozumieć po upływie dziesięciu lat, co ich z sobą sprzęgało, co ich dzieliło — i dlaczego przywódca ówczesny nie stoi dzisiaj na czele.

Fiume jest posągiem o trzech obliczach.

Jedno zwrócone jest ku przeszłości. Jest ono z marmuru.

„*Impreza*“ wieńczy epokę, stanowi uzupełnienie „*Risorgimenta*“, zaznacza spełnienie się losów Italji, uświęca sprawiedliwe granice, wyznaczone jej przez Boga, a — po Bogu — przez Dantego.

Drugie jest z żelaza. I patrzy na współczesność. To Włochy dzisiejsze, spowite w pancierz faszystowski, którego wszystkie ogniwa wykute zostały w Fiume. Zapał wojenny, sztylet i piosenka przyszły z okopów, ale w Fiume dopiero nastąpiło ich ze-

tknięcie z masami włoskimi (pochody i obchody narodowe — we Włoszech nazywają to: „*le sagre*“); przodowanie młodości nad statecznością, odwagi nad przezornością, praw wojownika nad szczęściem mas: cały ten nietscheanizm nieco pierwotny, znajdujący ostateczne ujście w wojującym socjalizmie na usługach Państwa — wszystko to zrodziło się z Fiume daleko bardziej, aniżeli z pism Maurrasa, Sorela, Federzoni'ego czy Marinetti'ego. Z Fiume również biorą początek pierwsze próby przedstawicielstwa korporacyjnego.

Mogą te rzeczy podobać się lub nie — niedorzecznie byłoby zapoznawać niesłychaną doniosłość, jakiej nabrały one w życiu europejskim.

Fiume posiada trzecie oblicze. Oblicze płomienne, podobne do roziskrzonych, płonących ogniem rubinów, które na niebie Jowiszowem olśniewają wizję Florentyńczyka. Oblicze to spogląda w przyszłość. Jest ono wieczne.

Komendant pierwszy zrozumiał, że droga Wersalska nie prowadzi do pokoju świata; że Liga Narodów dopóty nie może pretendować do tego tytułu, dopóki nie będą miały w niej przedstawicielstwa wszystkie kraje Europy i Ameryki, ze Stanami Zjednoczonymi na czele; że, poza celami ściśle nacjonalistycznymi, akcja polityczna będzie miała głębokie i trwałe znaczenie o tyle tylko, o ile przybierze charakter wszechświatowy.

Autor „*Laudi*“ był pierwszym, zdaje się — po Papieżu Benedykcie XV — który przeniósł na grunt

rzeczywistości ten imperatyw kategoryczny, wyprzedzając w ten sposób Rathenau'a, Stresemann'a i Briand'a.

Protesty, bodaj płocze nieco, jakie skierowaliśmy pod adresem Ligi Narodów, mogą wywołać uśmiech dzisiaj, po dziesięciu latach. Można to uważać za niewytlomaczoną zajadłość d'Annunzia (czyś to słowną zresztą, bowiem w zasadzie system fiumeński nie przestał być tolerancyjnym) przeciwko Serbom.

Faktem jest mimo wszystko, że dzisiaj, w dziesięć lat zaledwie od 11 września 1919 roku, widzimy wyłaniającą się z oparów mglistych Europę, widzimy świat, zbliżający się coraz bardziej do wizji poety. Liga Narodów, rozszerzająca z dniem każdym swoje pole działania, zyskująca na powadze i znaczeniu w przestrzeni i w czasie, znacznie bliższą się staje w ten sposób wizji d'Annunzia, aniżeli koncepcje Wilsona i Clémenceau. W 1929 wolna Irlandja zdobyła należne jej miejsce w rządzie zrzeszonych dominjów; Egipt wyzwolił się z pod opieki; Turcy wrócili do Konstantynopola; Albanja znalazła właściwą drogę i nie tęskni już za powrotem do dni Ali Paszy.

Poeta widział zatem jasno.

Zestawiano częstokroć „Imprezę“ fiumeńską z marszem wojsk polskich na Wilno w 1920. Należy

wszelako ustalić zasadniczą pomiędzy temi dwoma wydarzeniami różnicę. Rząd włoski nie przestawał zachowywać się wrogo względem Legionistów, od 11 września 1919 do krwawych dni grudniowych 1920. Jeżeli nawet Nitti i Giolitti nie użyli wcześniej siły do pozbycia się Gabrijela d'Annunzio, stało się to jedynie wskutek ich obawy wywołania tem powikłań zarówno wewnątrz kraju jak i na zewnątrz. A przecież Rząd Polski nie zachowywał się w ten sposób w stosunku do wojsk generała Żeligowskiego!

Wilno, w którym król Stefan Batory wznosił w obliczu Iwana Groźnego promieniste swoje Kolegium, Wilno, tak samo jak Fiume, zwycięsko jeno utwierdziło się w historycznym swoim prawie. Gdy też jedno z tych miast zawdzięcza wyzwolenie swoje żywemu poecie, drugie zawdzięcza je poecie zmarłemu: Adamowi Mickiewiczowi. W 1929 r. trzy tysiące dwustu studentów polskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego jest dla Wilna — w oczach świata — pewniejszą obroną, aniżeli najlepiej wyćwiczony korpus armji.

Po studwudziesięciu latach niewoli odzyskała Polska pełne chwały stanowisko w rządzie narodów. Przeżywa ona gorączkowy okres odbudowy, przystąpienia do dzieła tworzenia. Czy jednak myśl polska nie zwarła się zbyt w samej sobie? Czy nie traca tu i owdzie z oczu wielkich zagadnień europejskich, aby oceniać wszystko pod kątem widzenia potrzeb narodowych, najbardziej bezpośrednich?

Stawiam sobie to pytanie, składając w jej ręce to wydanie „*Quinta Stagione*“.

Genjalna myśl Gabrijela d'Annunzio umiała odnaleźć w sprawie, nadewszystko włoskiej i patriotycznej, pierwiastki walki ogólnej, mającej doniosłość wszechświatową, budzącej zainteresowanie i odzwiek w sumieniu każdego.

Komendant Fiume nie chciał, aby sztandar jego Legionistów nosił godło miasta czy prowincji: koronę, orła czy miecz, emblematy partji, klasy czy stronnictwa.

Ale jedynie siedem gwiazd Niedźwiedzicy.

Leon Kosznicki.

Warszawa-Budapeszt
19/21 października 1929.

PROLOG

Willa, ogród, różane krzewy w kwiecie. Pejzaż brabancki. W powietrzu rozsiada słodycz; mam szesnaście lat. Byłem niedawno bardzo chory; nie wiadomo, czy wyzdrowieję. Teraz jest mi lepiej: wychodzę co rano, wdycham w siebie czar ukwieconej Brabancji. Powracam do życia.

Mam szesnaście lat; słodycz rozsiada w powietrzu: lato.

Ławeczka pośrodku murawy; na ławeczce książka; na książce nazwisko:

Gabriel d'Annunzio.

Babka i ciotka mówiły wczoraj o nim; o nim, o Duse, którą nazywają: „Laduze“.

Tytuł książki: „Ogień“. Czy będę ją czytał? Wydaje się taka długa... Otóż tak, przeczytam ją; zaczynam ją czytać.

Zachwyt, oczarowanie, cudowna rozkosz! Porywająca rozkosz wykrywania skarbów, których przeznaczeniem jest nadawanie piękna całemu życiu naszemu; boska rozkosz wieku młodzieńczego, władnego nagle, w jednym momencie, genjuszem, rozumem i żądzami człowieczymi. Rozkosz — utracona na zawsze.

Szesnaście lat: kwitnąca pora roku; czytam...

Minęło pięćdziesiąt lat. Byłem we Włoszech, mieszkałem tam, nie mówię już ani „Laduze“, ani „Leddante“. Czytałem Leopardiego, czytałem „Laudi“.

Paryż; wieczór czerwcowy w *Operze*; grają „Złotego Kogucika“ Rimskiego-Korsakowa; w antraktach wielka ciżba; *tout Paris des premières* (w owym czasie istniał jeszcze); moje zajęcie — spacerowanie tam i zpowrotem po korytarzu z miłą ogromnie zaferowaną. Prawdę powiedziawszy, znałem pięć czy sześć osób, nie więcej: rosyjskiego bankiera, włoską markizę, akademika, paru krytyków; byłem jednak prowincjonalistą, który, postanowiwszy za wszelką cenę wybić się, dobrze zapamiętał maksymę La Rochefoucauld: „*Pour s'établir dans le monde, on fait tout ce qu'on peut pour y paraître établi*“.

Drzwi jednej z łóż otwierają się, wychodzą z niej dwie damy, za nimi niski, łysy pan: to *on!* Od tak dawna mam przed oczami jego podobizny, jego karykatury; poznaję monokl, sposób noszenia fraka, nieco wystające mankiety, sztywny krawat. Słyszę brzmienie jego głosu: „...to cała Rosja!“ Wrastam nieruchomo w podłogę; nadstawiam ucha; patrzę; cały pozostały świat niknie mi z przed oczu. Zbliża się mój przyjaciel-akademik, ociera się o mnie nieomal; udaje roztargnienie i pozwalam

mistrzowi przejść. Pozostają jak skamieniały na miejscu; nastawiam uszu; patrzę.

Nagle wyższa z obu dam (wysmukła brunetka z olbrzymim rajsłym ptakiem we włosach) zwraca się w moją stronę, zmierza mnie wzrokiem. Obłędem się rumieńcem, ogarnia mnie wstyd, oddalam się; usiłuję myśleć o czym innym.

Podczas następnego antraktu stoję na czatach przed łóż. Drzwi pozostają zamknięte. Nie zobaczę go już więcej.

Mija jeszcze pięć lat; wojna przyćmiewa moją młodość jak całun jasne włosy zmarłej dziewczyny. Potem życie znów się odradza. Maj jaśnieje promiennie. Rzym triumfuje. Słońce spowija Pincio w płaszcz z płynnego złota.

Piazza di Spagna; fioraje u stóp schodów sprzedają olbrzymie wiązki błękitnych hortensyj; lazurowe baloniki, prześlizgujące się po białych stopniach; jeden z nich potoczył się aż na krawędź fontanny, szemrzącej bez końca... Piąta godzina; salonik, w którym zebraliśmy się, przeistoczony w ołtarz oczekiwanego bóstwa: drzwi i okna przystrojone różami; przed zwierciadłami ułożone w wazonach mieczyki i tuberozy, i wszędzie (spodziewane bóstwo jest łakome) mnóstwo słodczy, ciast, kremów i najprzedniejszych lodów. Dom, wypełniony krewnymi i przyjaciółmi. Poważni, leciwi panowie, wezwani do oddania hołdu towarzysowi ich młodości, temu, który pozostał pełen zapалу, niepohamowany i buntowniczy; młode panie, podniecone bliskiem jego

Pod skrzydłami d'Annunzia — 2.

przyjściem; jest też kilku młodzieńców, upojonych odurzającą atmosferą sławy.

Ta, która gości nas tego wieczora, jest szczęśliwa, uśmiechnięta, rozpromieniona, piękna, niezapomniana; godna nazwiska, które nosi: Donna Maria d'Annunzio.

Szmer, poruszenie, i wnet potem wielka cisza. Wchodzi *on*.

Bardzo blady, bledszy jeszcze niż owego dnia, kiedy przemawiał w Augusteum do pięciu tysięcy Rzymian; wchodzi krokiem szybkim, równym. Mundur oblega drobne członki, wielki biały kołnierz kawalerski zlewa się z białością twarzy. Po ukończeniu prezentacji siada na fotelu pośrodku sali. Mówi, kosztując równocześnie trochę lodów truskawkowych, potem ananasowych, potem znów wraca do truskawkowych. Z łyżeczką w ręku zwraca się do Adolfa de Bosis, przypomina mu ich nocne spacery po Rzymie, kiedy około drugiej po północy stawali przed cukiernią Aragna, aby zakupić po niższej cenie wszystkie pozostałe lody i słodycze. Czarownie liryczna dusza łagodnego poety, którego życie, dzieła i marzenia są bratniem, przedziwnem „Naśladowaniem Shelley'a“, poruszona jest do głębi; poeta uśmiecha się nieco melancholijnie. Czyż nie posiadali niegdyś jednego serca, czyż nie byli ongi „*single-hearted*“?

Teraz d'Annunzio mówi o polityce. Oburza się na to, co nazywa „nocną ucieczką“, na pośpieszny wyjazd w porze nocnej Orlanda, który świeżo powrócił do Paryża z włoską delegacją.

Śpiewnym i melodyjnym swoim głosem przeskakuje nagle, bez przejść, z jednego przedmiotu na drugi. Mówi o Rasputinie i o księciu Jussupowie, w którego towarzystwie śniadał przed paroma godzinami; o obrazach Benozza Gozzoli i o sonetach Giovacchina Belli, o zwiedzeniu wszystkich fontan rzymskich nocy poprzedniej w towarzystwie pierworodnego swojego, Maria.

Żywa gestykulacja rąk podkreśla opowiadanie; chwilami odrzuca głowę w tył i przygląda się to jednemu, to drugiemu ze słuchaczy z półuśmiechem; milknie na chwilę, potem dziwny wydaje okrzyk — niepodobny do opisanego — rodzaj wyrazu „*hein*“ przez nos, zarazem westchnienie i śmiech: oznaka zadowolenia, ironji, a może życzliwości. Owego dnia nie zdawałem sobie z tego dokładnie sprawy.

Znów mówić zaczyna ze zdumiewającym zapalem; opowiadania wiążą się, albo się i nie wiążą; pytanie, rzucone przyjacielowi czy nieznanemu, wspólne wspomnienie starczą mu za punkt wyjścia. Usadowieni w półkrąg dokoła niego słuchamy w milczeniu. Młodzi i leciwi, nieznani i sławni, jesteśmy wszyscy komparsami, pretekstem jedynie do tej rozmowy, która żywi się i żyje sama sobą; omal nie powiedziałem — dla siebie samej.

Podobny monolog, zrzadka tylko przerywany,

niepobawiony jest teatralności. D'Annunzio jest Rodrygiem, Ifigenią, Hipolitem czy Atalą — my zaś odgrywamy rolę powierników bez znaczenia: Agara, Nabala, Oenona czy Piladesa. Ten i ów z nas jednak jest rodzajem Teramena, który, gdyby chciał, mógłby wypowiedzieć i własne także myśli. Któż odważyłby się jednak? Wygodniej jest słuchać i zachowywać milczenie.

Słuchamy wszyscy i zachowujemy milczenie.
Modlitewne.

I oto czuję rosnący we mnie gniew, tajemny niepokój, przybierający konkretną formę szalonej chęci zakłócenia ceremonii, pogwałcenia rytuału, popełnienia szalonego, przeogromnego nietaktu.

Nie, nie uczynię nic podobnego.

Czyżby miała powodować mną zazdrość, do której się nie przyznaję?

Nie umiałbym powiedzieć.

Rozumiem jednak teraz uczucie gniewu i nieposzanowania, jakiego doświadczył młody Henryk Heine, kiedy go przedstawiono Goethemu, celebrowanemu z wyżyn tronu.

W ciągu następnych tygodni spotykałem niejednokrotnie mistrza w domu Donny Marii.

Pewnego wieczora, był 1-y lipca, obiadowaliśmy pospołu w czarującym gniazdku przy Piazza di Spagna: niewielu zaproszonych, wszystkiego siedem

czy osiem osób; światło przyćmione; różowe i pomarańczowe abażury, podobne do krynolin.

Mistrz opowiadał nam prześliczne historyjki, prawdziwe i zmyślane, z czasów minionych i obecnych; jeśli ktoś z nas zabierał głos, prawie że go nie słuchał, skupiając całą uwagę na tem, co mówił sam. Młoda artystka zasiadła do fortepjanu. Wówczas dopiero zamilkł. Giuditta Sartori grała Bacha, Monteverdego, Schumanna, interpretując utwory z wyczuloną wrażliwością. D'Annunzio słuchał, przestoczon; twarz jego dziwnie się uduchowiła, stając się zjawiskową nieomal w przyćmionem świetle. Wyraz spokoju, nieskończonej pogodności wygładził jego rysy; ciężkie powieki opuściły się; znikły zmarszczki, żłobiące czoło i policzki; zaciśnięte wargi rozchyłały się i przymykały w takt regularnego oddechu ukojonej duszy.

Niema dla mnie rzeczy bardziej wzruszającej, aniżeli „odczytywanie“ muzyki na szlachetnej twarzy. Gabrijel d'Annunzio przeżywa gwałtownie wrażenia muzyczne. Umie więc słuchać, jak chce — pomyślałem.

Księżna rzymska, Amerykanka i wróżbitka, przepowiada mu przyszłość. Przechodzi dwadzieścia minut; siedzę obok Giuditty Sartori; poeta położył rękawiczki na stoliku. Obojgu nam błyska jedna i ta sama brzydka myśl: szybki ruch — pochwytuje

skarb; dzielimy się nim; mnie przypada rękawiczka z prawej ręki. Bliższe w następstwie przyjrzenie się jej wyjawi mi, że zrobiona jest z mięciuchnej duńskiej skórki, prawie bez szwu. Będzie mi służyła za amulet, z którym nie rozstanę się już.

W chwilach gniewu przyjdzie mi na myśl sporządzenie z niej wycieraczki do piór.

Na razie zaledwie miałem czas na ukrycie przestępstwa. „Zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo! Karty były nadzwyczajne!” woła d'Annunzio, zachwycony. Dowiedziałem się później: tego wieczora postanowił iść na Fiume.

W noc na 12 września 1919 komendant Gabriel d'Annunzio, na czele niespełna ośmiuset ludzi, wyszedł z Ronchi; o 11-ej pierwsze samochody ciężarowe wjeżdżały do Fiume.

Trudno jest zdać sobie bezpośrednio sprawę z doniosłości wydarzenia historycznego. W przyszłości oceniony zostanie wedle zasługi najwznioślejszy ten gest buntu.

12 września 1919 zachwiał się w posiadach gmach, wzniesiony w Werzalu na piętnastu milionach trupów. Pamiętna data.

Bawiłem, jako gość jednego z najbliższych sercu mojemu przyjaciół, w willi toskańskiej, położonej pośród pięknego ogrodu, kiedy błysnęła nagle

w mózgu moim myśl (ku końcowi września) udania się do Fiume.

Żądza przygód? Ciekawość? Chęć służenia wzniosłej idei? Czy zobaczenia czegoś niezwyklego? A może złożenia dowodu mojego podziwu dla bohatera, który umiał tchnąć życie w swoje marzenie? Było we mnie coś z tego wszystkiego razem.

Aby dostać się do Carnaro, należało mieć jakiś pretekst.

Napisałem do „Indépendance Belge”, proponując redakcji nadsyłanie jej korespondencji z Fiume i wywiadu z Komendantem; propozycja moja została przyjęta. Zaopatrzyłem się w niezbędne listy i w parę dni później wyjechałem.

Życie na Zachodzie było od pięciu lat mrokiem bolesnym.

Na świecie nie było nic poza złotem, żelazem i krwią.

Wszystko można było kupić i sprzedać, wszystkim handlować i kupczyć: ciałami i duszami, miastami i narodami, zwycięstwem tych, co padli, i wyczerpaniem tych, co pozostali żywi.

„*All things are sold: the very light of heaven is venal*“¹⁾.

I oto latarnia morska rozbliła światłem w głębi Adrjatyku.

¹⁾ Wszystko się sprzedaje; nawet światło niebios jest przekupne (Shelley).

I
PIELGRZYM Z CARNARO

W Rzymie powiedziano mi: „Blokada Fiume?!... Ależ nie istnieje nic podobnego! Nie istnieje! Rozgorączkowane nadmiernie wyobraźnię, romantyzm, usuwający z przed oczu rzeczywistość: do Fiume odchodzą dwa pociągi dziennie, którymi może jechać tam każdy, kto chce“.

Powiedziano mi w Rzymie: „Chce pan pojechać do Fiume? może pan przybyć tam zapóźno; poeci podlegają chwilowym nastrojom, i d'Annunzio zmienia je codziennie: może pan łatwo nie zastać tam nikogo.“

Powiedziano mi:... czego mi zresztą nie mówiono?... Wrogowie Fiume nie cofają się przed drobnymi oszczerstwami, rzucanymi z uśmiechem i mającymi za zadanie — tak sobie wyobrażają — ostatecznie ośmieszyć Komendanta i jego Legjonistów.

Na „forestjerach“ zwłaszcza — na cudzoziemcach — zaprawiają się w podstępnej swojej propagandzie. Artysta czy dyplomata, zwykły turysta, czy *homme d'affaires* — nie dają nikomu spokoju: „awanturnicza przygoda literacka, kabotyństwo, donkiszoterja!“. Nic innego nie słyszy się w *tea-rooms* i w *wagons-restaurants*, na całej przestrzeni od

Sorrento do Lido. To Sanszo-Panszowie polityki, finansów, spokojnego życia.

To podpory biurokracji: wystraszeni urzędnicy; oficerowie Głównego Sztabu (pośród jednych i drugich ile owieczek, ogłupionych dyscypliną i rutyną!).

Znajdują prawie zawsze grunt, dobrze przygotowany. Sześćdziesięcioletnia miss, sentymentalna presbiterjanka, zapalona czytelniczka powieści Marion Crawford i wielbicielka prerafaelitycznego malarstwa, nie lubi d'Annunzia, którego uważa za „*the most wicked man indeed*“ — za najprzewrotniejszego w samej rzeczy. Wielki pan, rodem z Moskwy, który od dwudziestu lat przyjeżdża do Włoch, aby tutaj tarzać się w rozpuście, oświadcza z wytwornym uśmiechem „*qu'on ne saurait le prendre au sérieux*“. Podobne zdanie wygłasza też Francuz, „podróżujący dla studjów“: *Y sont énormes; Y n'dout' de rien; quels fumeurs!*“ Wtórują im wszyscy *ratés*, wszelkie upadłe, zbankrutowane genjusze, wypędki literatury i sztuki, polityki, dziennikarstwa, bodaj nawet odtrąceni przez miłość, którzy nie mogą wybaczyć genjuszowi faktu, że żyje i odnosi triumfy. Zgryźliwa ich bezpłodność uznaje iskrę bożą w posagach jedynie, nie toleruje zachwycania się czemkolwiek poza marmurami grobowców.

Gdybyż przynajmniej szło o biedaka, o poetę z poddasza, o desperackiego głodomora! Ale człowiek, który od tylu lat już posiadał tak wielką sła-

wę, tyle kobiet i tyle źródeł rozkoszy! Kłątwa na jego głowę!

Prasa rej wiedzie w tych napaściach.

Zatrute strzały kłamliwych artykułów, zmyślone, wysane z palca wiadomości, plotki, oszczerstwa, potwarze: że d'Annunzio, oszalały, trzymany jest pod kuratelą swoich oficerów; to znów, że uciekł na pokładzie greckiego żaglowca, albo że gotów jest opuścić Fiume, o ile wypłacą mu pięćdziesiąt milionów.

Przyjaciele fjumeńscy, mający usta skneblowane przez cenzurę, pozbawieni są możliwości prostowania tych kłamstw, odpierania oszczerstw. Czasem zbieg z miasta daje upust swojej żółci na gościnnych łamach „*Corriere della Sera*“, „*Tempo*“ czy „*Lavoro*“: to malkontent, szukający zemsty, ten, co niedalej niż wczoraj jeszcze mianował się zapalonym rzecznikiem sprawy fiumeńskiej.

Nitti-Cagoia (Ślimak) — jak go nazywają w Fiume — nie gardzi braniem udziału w tych nienarazających na nic napaściach. Wiele sensacyjnych historyjek wyrosło wprost na gruncie Palazzo Braschi na wyraźny rozkaz Prezesa Rady; nie nadarmo nazwał on psa swojego: Fiume.

Prasa zagraniczna rozkoszuje się temi bajkami i chętnie pozwala podsuwać je sobie. Zaledwie „kaczka“ podobna rozpostrze swoje skrzydła do lotu, a już rzucają się na nią z godnym lepszej sprawy zapalem wszelakie „*Times'y*“, „*Journal de Débats*“, „*L'homme libre*“ czy „*Chicago Tribune*“.

W kadzi nienawiści kiśnie wino kłamstwa.

Zatkałem sobie uszy kawałkiem waty i pojechałem.

Pociąg do Fiume wyrusza dwa razy dziennie: minjaturowy pociąg z wagonikami z przed trzydziestu lat i lokomotywą o bardzo wysokim kominie, sapiącą, jak dobrze podtatusiały jegomość. W przedziałach podróżni podejrzliwie obserwują się wzajem; szept, nastrój tajemniczy. O 10 wieczorem przybyliśmy na stację Mattuglie-Abbazia; jedynie paru Fiumeńczykom, zaopatrzonemu we wszystkie potrzebne dokumenty urzędowe, wolno pozostać w wagonie. Reszta podróżnych musi wysiąść, niektórzy poddawani są badaniu: w jakim celu przyjechali do Abbazji? Jak długo zamierzają tu pozostać? Czterech czy pięciu moich towarzyszy podróży, którzy nie umieli dostatecznie usprawiedliwić swojej obecności tutaj, zaarrestowano — odchodzą, wprowadzeni przez carabinieri. Ciemność nieprzenikniona: od czasu do czasu tylko snop promieni reflektora rozdziera nocne mroki. Dokoła pociągu zbierają się wszelkie szumowiny i męty społeczne: szperają po wagonach, wysiadają z prawej strony i włączają z powrotem z lewej, nikną za zaroślami, ukrywają się pod wozami; stonogi, z chwilą poruszenia z miejsca chroniącego je kamienia, rozbiegają się na wszystkie strony z takim samym pośpiechem.

Opuszczam stację wraz z moim przewodnikiem-skautem po cywilnemu, wolontarjuszem z Ischii, doskonale obeznanym z miejscowością. Bagaże moje

wziął pod swoją opiekę jakiś kolejarz, któremu dano uprzednio już odpowiednie polecenie. Idziemy chyłkiem; ciemno dokoła; od czasu do czasu natrafiamy na patrolujących żołnierzy, których starannie omijamy; chwilami zatrzymujemy się, nadśledzujemy, wystraszeni najłżejszym szelestem, zdwijając czujność przy mignięciu lada cienia.

Zrazu ledwie szarzące, mgławicowe, potem coraz wyraźniejsze, boleśnie uwypuklone, powstają w pamięci obrazy: wieczór jesienny, powycinane lasy, pola, Campine: 1914. Na gościńcach ulani, ucieczka w milczeniu, Baar — le Nassau. Granica holenderska. Kto tam był, zrozumie mnie.

Zakręt; tutaj pociąg zwalnia tempo; idzie o wskoczenie do wagonu w biegu. Utkwione w nas, roziskrzone, coraz bardziej wyolbrzymione oko lokomotywy. Odżyły w mojej pamięci powieści Verne'a, Phileasa Fogg'a, Passepartout i Sioux z Chatelet. Nocny pejzaż Karstu podobny być musi do Gór Skalistych. Zgrzyt żelaza, moment się zbliża; po raz pierwszy waże się na tego rodzaju eksperyment po pamiętnym *tapis roulant* Wystawy Paryskiej (w 1900 miałem siedem lat); co się tyczy skauta, wyćwiczony jest w takiej gimnastyce: rozkaz, rzut — jesteśmy bezpieczni.

Szarpnięte drzwiczki otwierają się, oślepią nas światło — jaki gwar! Śpiewy, śmiechy; fałszywi kolejarze zrzucają swoje przebranie; z waliz wyciągane są mundury; z wozu węglowego, czarni od sadzy, wylaniają się dwaj młodzi chłopcy; inni, pod-

sadzeni na dach wagonu, wałą wściekle obcasami: po raz pierwszy obija się o moje uszy okrzyk: „Za Komendanta d'Annunzia! Eia! Eia! Eia! Alalà!”

W pięć minut potem jestem w Fiume.

Mijam ulice miasta, już uspiętego; kiedy wreszcie staję w „Komendzie”, jest pierwsza po północy. Tutaj cały dom oświetlony; symfonia pracy: maszyny do pisania, dzwonki, telefony, wysyłane depe-sze, rozkazy dawane i przyjmowane, nieustanne kręcenie się po pokojach i korytarzach: jakgdyby wśród białego dnia. Wre praca, praca gorączkowa, niezmordowana; w jednym z pokojów na drugim piętrze Komendant pisze jeszcze; jego towarzysze wyteżają wszystkie siły, tak samo jak on je wyteża; „*Indeficienter*” (bez kresu i końca) — to hasło Fiume. Widok tej pracy nocnej jest imponujący. W jakim ministerjum, w jakim ośrodku biurokracji wojskowej czy cywilnej znaleźć możnaby podobną organizację? W tej „męce, dobrowolnie podjętej”, w tym „trudzie ochoczym” jest coś godnego najwyższego podziwu, olśniewającego, nieomal klasztornego.

Czyż nie jest ascetą ten, który mnie przyjmuje? Z czasem będę miał możność ocenienia prawości duszy, bohaterstwa i wartości intelektualnych majora Giovanni Giuriati¹⁾. Nasze poglądy polityczne za-

¹⁾ Giovanni Giuriati, wieloletni minister Robót Publicznych w rządzie Mussoliniego; obecnie Przewodniczący Izby Deputowanych.

sadniczo się różnią, niezawsze też będę mógł zgodzić się z jego metodami rządzenia; w każdym czasie wszelako z wzruszeniem wspominać będę surową tę postać, spotkaną na samym progu mojego życia fiumeńskiego. Dzięki wstawiennictwu jego znalazłem tego wieczora nocleg — rzecz w owej dobie bynajmniej nienależąca do łatwych.

Następnego wieczora zaproszony zostałem na bankiet bersagliarów. Tu właśnie ujrzałem ponownie Gabrijela d'Annunzio; tu również po raz pierwszy zetknąłem się z Legionistami.

Zrazu zaskoczyło mnie nieco ich gwarne koleżeństwo, śpiewy, okrzyki i wartka, kipiąca ich młodość. Wszyscy ci młodzi oficerowie brali bezpośredni udział w wojnie; wielu odniosło rany, niektórzy doświadczyli niewoli: radość, jaką okazują z tego, że żyją, pełnia ich ufności i siła ich odwagi zdumiewają mnie. Skąd czerpią energję, aby śmiać się i mówić głośno, skąd biorą tę wiarę w samych siebie? Porównywan się z nimi i myślę:

„Wojna miażdży tych nadewszystko, którzy nie wojują”.

Ale Komendant zbliża się do mnie i wita mnie z nadzwyczajną serdecznością, dopytuje się o wspólnych naszych przyjaciół, bada:

— W jaki sposób przybyłeś pan? Czy łatwo udało się panu przedostać? Pozostanie pan z nami kilka dni, prawda? Mam nadzieję, że będziemy widywali się często?

Pod skrzydłami d'Annunzia — 3.

Przypomina mi wieczór 1-go lipca w domu Donny Marji:

— Widzi pan więc, że karty przepowiedziały prawdę? — uśmiecha się poważnie.

Przyjęcie, tak schlebiające, wprawia mnie w kłopot; nie wiem wprost, jak wyrazić moją wdzięczność.

Nie wiedziałem wówczas, że w uprzejmy taki sposób zwraca się do wszystkich bez wyjątku przybywających do niego w odwiedzin.

Udaje głębokie zainteresowanie się tem, co mówi, i on sam stara się przypodobać każdemu; na tem polega między innymi jedna z tajemnic jego umiejętności zyskiwania sobie wszystkich.

Stale przypomina poprzednie spotkania ze swoim rozmówcą: bez względu na to, czy spotkania te miały miejsce na polu bitwy, czy w salonie, na deskach teatralnych czy w wiejskiej gospodzie. Zachowuje w pamięci najdrobniejsze szczegóły faktów, „mogących sprawić przyjemność“; jego bajeczna pamięć zachowuje nazwiska i imiona osób, nazwy miejscowości, przelotną charakterystykę krótkiej chwili: pamięta, jakie kwiaty wstawione były do wody w wazonie, jaki dźwięk rozbrzmiewał na ulicy, jaki smak miał owoc, jak zabarwione było niebo. Prostymi temi środkami zdobywa z miejsca serca tych, którzy się z nim stykają; zaledwie dostrzegł niezupełnie obcą mu fizjonomję, a już twarz jego rozpromienia się; poprawia monokl i powtórzony parokrotnie okrzyki, wyrażające miłą niespodziankę, służą za wstęp do słów serdecznego powitania.

Ma się wrażenie, że chce nieledwie powiedzieć:

— „*Ah, puisque je retrouve un ami si fidèle...*“

W rzeczywistości, nic sobie z niego nie robi.

Pod koniec obiadu zabiera głos: wyjaśnia towarzyszom położenie międzynarodowe: trzeba wytrwać, trzeba ostać się wobec wszystkich, zwycięstwo niewątpliwie! Konferencja jest bezsilna; rząd włoski waha się; prawdopodobnie gotów zrzec się swoich praw; należy być przygotowanym do odparcia siłą interwencji mocarstw czy rzekomej Ligi Narodów; Fiume nie może liczyć na nikogo prócz siebie samego i swoich Legjonistów: będzie zbawione albo zginie.

Niemilknące oklaski zagłuszają jego słowa.

Po nim przemawiają inni mówcy. Po raz pierwszy oszołomiony jestem potokami wymowy: dzielni chłopcy, którzy są zdumiewającymi żołnierzami, słynni z bohaterstwa wodzowie wypowiadają swoje „credo“ polityczne w sposób liryczny. Naśladowanie prozy d'Annunzia wywołuje efekty niezmiernie ciekawe. W następstwie będę miał okazję stwierdzić, jak dalece udzielającym się jest taki stan duszy, który możnaby nazwać „nasileniem krasomówczem“. Po pierwszych chwilach zdumienia czynią wyrażenia najbardziej pompatyczne, frazesy najbardziej napuszone wydawać się natural-

nemi; zakłęcia, najśmielsze figury retoryczne, najjaskrawsze przenośnie stają się nieodłącznymi właściwościami wszelkich przemówień, zabarwiają nawet rozmowę codzienną. Czyż nie przyłapałem pewnego dnia samego siebie — wychowanego w „grozie przesady“ — na użyciu wyrażenia „w ciągu stu dwudziestu dni i stu dwudziestu nocy“, co miało oznaczać — „od czterech miesięcy“?

Komendant przyobiecał mi, że przyjmie mnie nazajutrz i udzieli mi wywiadu, o jaki przed chwilą go prosiłem. Czekanie trwało cały dzień, nie zostałem jednak przyjęty: tłumaczono się, że moment polityczny jest poważny i że każda chwila d'Annunzia jest policzona, pracuje po szesnaście godzin na dobę; proszono mnie, abym był cierpliwy jeszcze dwa dni, a napewno będę przyjęty. W ten sposób upłynął tydzień, nie traciłem jednak czasu daremnie. Wysłałem rozmaite korespondencje do „*Indépendance Belge*“; unosiłem się nad samą imprezą i nad wspaniałym gestem, który uratował nazawsze miasto; opisałem nieskończone udręki ludności; napiętnowałem nieludzką, niegodziwą blokadę, zbrodniczą obojętność mocarstw. W końcu uzyskałem wywiad; przede wszystkim mogłem oznajmić światu nowy kierunek polityki fiumeńskiej.

— Rozpoczyna się teraz piękny okres! — rzekł d'Annunzio na pożegnanie.

Następnego dnia nadszedł do mnie list z redakcji „*Ind. Belge*“, zwracającej mi artykuły „*sans discuter les idées, la forme de votre article n'est pas compatible avec la tenue habituelle de notre journal*“.

Tak zaopiniował naczelny redaktor, uprzejmie oznajmiając mi zarazem, że z przyjemnością wydrukuje mój wywiad z Komendantem.

„*Mais n'oubliez pas, que l'Indépendance est CHAUEMENT PARTISAN de la Société des Nations*“.

Zastrzeżenie to ubawiło mnie; tępacie tego sposobu myślenia dorównywało jedynie niedbalstwo stylu. Nie odpowiadała mi właśnie „*la tenue habituelle de leur journal*“. Wyrzucałem sobie wysłanie tekstu wywiadu i zaprzysiągłem, że nigdy już więcej w moim życiu nie umieszczę ani jednego wiersza w „*Indépendance*“.

Artykuły moje były zresztą czytane. Od dnia mojego przybycia dbałem bardzo o zapewnienie sobie właściwego sposobu wysyłania mojej korespondencji. Powodowały mną uzasadnione obawy — wiadomo mi było, że blokada pocztowa była surowa, a cenzurę sprawowano nader czujnie. Zapoznałem się z pewnym porucznikiem kawalerji, przydzielonym do „Osobistego Sekretarjatu“ — Ludovico Toeplitz de Grand Ry, miał, jak się nazywało, posiadać jakoby specjalne sposoby bezpiecznego ekspedjowania listów: wystarczyć miało w tym celu składanie mu co wieczór, przed szóstą, całej mojej

korespondencji. Zastosowałem się posłusznie do tych wskazówek.

Ludovico

(„...la faccia sua era faccia d'uom giusto“)— twarz jego była obliczem człowieka prawego.

Mam go jeszcze w pamięci, wytwornego, uprzejmego, w chwili odbierania zaadresowanych kopert, sumiennie mu przeze mnie dostarczanych: uspakajającym gestem lewej dłoni i szczerem, otwartym spojrzeniem zdaje się mówić: „Ze mną nie ma pan potrzeby niczego się obawiać; jestem uosobioną Dyskrecją.“ Rzekłbyś — posąg Tajemnicy.

A jednak otwierał wszystko. Czytał każdy list. O ile zdarzało się, że lektura interesowała go, odkładał wszystko inne na bok: dowiedziano się w ten sposób, że w mojej osobie znaleziono szczerego przyjaciela. Nieufność w stosunku do obcych korespondentów stała się koniecznością po przykrych, poczynionych uprzednio doświadczeniach. Korespondenci „Chicago Tribune“ i „Journal“a“, którzy dawali wyraz swojego zachwyty dla d'Annunzia i Legjonistów, z chwilą znalezienia się poza murami miasta, ogłaszali drukiem artykuły uszczypliwe, obfitujące w kłamstwa, i zmyślane szczegóły. O odmowie „*Indépendance*“ drukowania moich impresyj fiumeńskich dowiedział się Komendant tego samego jeszcze dnia.

Zamierzałem już wyjechać, kiedy kapitan Co-

selschi¹⁾), sekretarz osobisty d'Annunzia, zakomunikował mi propozycję Komendanta: o ile miałbym chęć przysłużenia się sprawie, mógłbym pozostać czas jakiś we Fiume i w takim razie poruczone byłyby mi rozmaite zadania.

Wyraziłem zgodę.

W dwa dni potem objąłem stanowisko w „Komendzie“ w charakterze funkcjonariusza, przydzielonego do Osobistego Sekretarjatu. D'Annunzio był w Fiume od pięciu tygodni.

Nad Carnaro srożyła się pierwsza bora.

¹⁾ Eugenio Coselschi, urodzony w Florencji, potomek rodziny pochodzenia polskiego (Kozelski); jest obecnie deputowanym do parlamentu i przewodniczącym Związku Wolontariuszów Wojennych.

II
MIASTO ŻYCIA

Miasto. Miasto takie, jakie się widuje na obrazkach w podręcznikach Berlitz. Posiada wszystko, co miasto powinno posiadać: dworzec kolejowy, ulice, łukowe latarnie, tramwaje, kawiarnie, hotele, banki, agentów policyjnych, port ze statkami, umocowanymi na linach i z odpoczywającymi tragarzami, a także labirynt starych uliczek, na których niebrak szulerni i domów publicznych.

Pomniki?... O ile można je tak nazwać. Kościoły brzydkie, gmachy rządowe potworne; fasady wahają się pomiędzy węgierskim Louis XV i austriackim gotykiem.

Istnieje coprawda wieża; wieża z zegarem, którą wieńczy dwugłowy orzeł; w braku czego innego uwieczniono wieżę na markach pocztowych: brązowych, różowych, liljowych i pomarańczowych, i w ten sposób obiega ona świat, słynniejsza od wież San Cimignano, bardziej opiewana niż Carisenda — owa wieża w Bolonji, o której mówi Dante.

Wszystko, co zawiera miasto: plac, teatr, dzielniki, których tytuły krzykliwie obwieszczane są co wieczór około piątej. Czegoś jednak brak: ogrodu. Wprawdzie, w odległej dzielnicy, poza dworcem kolejowym, jest park: wilgotny, trudno się do niego

dostać; więcej zarośli niż trawników, więcej krzewów niż drzew, a poza tem kamienie, kamienie. Gąszcz zieleni, pozostawiony w pierwotnym swoim stanie — ale nie ogród. Piękny park otacza willę arcyksiążęcą, zbudowaną na wyżynie, w tyle poza Pałacem Komendy. Ale ogród, ażeby był przyjemnym miejscem wytchnienia, musi być „ogrodem“, i niczem więcej. Willa zajęta jest obecnie przez władze wojskowe, a w alejach, pozbawionych cienia i ciszy, spotyka się jedynie hałaśliwe samochody i mundury.

W jednym z zakątków Fiume odnaleźć można ukwiecone grędy, rozkoszne zagajniki, cieniste zarośla; ukryty ogród, z którym zapoznam się w przyszłości.

Od wylotu Cantrydy do mostu Sussak przecina tramwaj Państwo Poety w całej rozciągłości. Cantryda, która dzięki swej nieprzerwanej ciągłości z Abbazją była drogą dla Wiedeńczyków — jaki spokój, jaka cisza! Aleje lipowe. Willa „Rudolf“, willa „Elżbieta“, willa „Stefanja“ — nazwy, wskrzeszające zjawy. Pozamykane okna, podwoje, nieotwierane napewno już od miesięcy, wielkie oszklone wewroty, pozbawione umeblowania. Odnaleźć tu możemy dawny przepych i radość życia, przepych w stylu anstrjackim z przed dwudziestu czy trzydziestu lat; domyślamy się żaloby dzisiejszej. Wzdłuż fasad, oplecionych pnąciami się roślinami, opadają płatki purpurowych róż, których nie będą już zrywały paluszki fertycznych Wiedenek; cukiernie po-

zamykane, owe cukiernie — piękne czasy! gdzie można było dostać smakowite „Torten“ i nieporównane „Eiskaffe“, którei jedynie imperjum Franciszka Józefa zasłużyło na wdzięczną pamięć potomnych.

Na końcu miasta strażnica: to „postój blokady“, granica pomiędzy wiernymi i zbuntowanymi. „Arditi“ — zuchy d'Annunzia — urządzili zamknięcie poprzez ulicę robotą murarską. Na krawędzi wystawiono dziwaczny grobowiec: na kamieniu i na drewnianym krzyżu wypisane słowa, niezbyt uprzejme, pod adresem Nitti'ego, którego imię wyrżnięte jest łokciowemi literami: to grobowiec „Cagoi“. Droga pnie się wzwyż po skalistym zboczcu. O pięćdziesiąt metrów niżej, na wybrzeżu, naturalny amfiteatr. Czarujący pejzaż, mający za tło Carnaro, cudownie nadający się do wszelkiego rodzaju zabaw pływackich i konnych, gimnastycznych i wojskowych popisów, odbywanych tutaj często przez Poetę i Legjonistów.

Na przeciwległym krańcu Fiume tramwaj — transsyberyjska kolej naszej republiki — zatrzymuje się o parę kroków za mostem Sussak. Rzeczka, wyróżniająca się szybkością swojego prądu — to Fiumara — nazwana również Eneo. — Od niej bierze miasto swoją nazwę; Fiume ma istotnie w swoim herbie dwugłowego orła, opartego szponami o odwróconą urnę; Fiumara jest wytryskującym z niej strumykiem.

Most: strażnica, „placówka blokady“; na tam-

tym brzegu Wschód, Słowacja, jak gdybyśmy nie byli już w Europie. Zwyczaj kładka, jakies piętnaście metrów zaledwie, oddziela dwa światy; przekonują nas o tem nietylko napisy kroackie, ale również kształt domów, sposób, w jaki ludzie chodzą, rynek na wolnym powietrzu i, nieco wyżej, długi ów budynek o dwóch, spiętrzonych jedne nad drugimi, rzędach sklepów, przypominający zarazem bazar turecki i „Gościnny Dwór“ w Petersburgu. Dwanaście tysięcy mieszkańców Sussaku należy prawie wyłącznie do narodowości kroackiej. Czyż miałoby to być wystarczającą racją do poświęcenia na ich rzecz trzydziestu ośmiu tysięcy zaludniających Fiume Włochów?

Powróćmy do Fiume: port opustoszał, semafony wyciągają rozpacznie ramiona ku niebu: w nocy latarnia morska daremnie lustruje zatokę szkarłatnym swoim okiem; ani jednego żagla, ani jednego parowca; nieliczne drzemiące w porcie „vaporetta“ mają zagaszone ogniska; stale. Jedyne tylko okręty wojenne uszykowane w szeregu; tam, woddali, olbrzym *Dante Alighieri* i krążownik *Mirabello*; bliżej, wzdłuż nasypu — naprzeciw Piazza Dante, serca miasta — trzy torpedowce, łodzie torpedowe oraz małe, ale groźne „Mas“ (Motor-Anti-Submarine). Cała ta flotylla uznaje za swojego wodza Gabrijela d'Annunzio, jakkolwiek nie

jest wykluczone czy niejeden z pośród oficerów marynarki, dumnie prezentujący naszywki *vieux jeu*, nie myśli o tem inaczej.

Fiume żyło wyłącznie ze swojego portu. Blokada paraliżuje miasto, anemja każe mu zamierać powolną śmiercią. Składy bez handlu, pośrednicy bez zajęcia, marynarze bez ładowania i wsiadania na pokład, właściciele okrętów zrujnowani, wszędzie zawieszenie pracy, niedostatek. Głód i choroby w drzwiach biedaka stają się pokusą u progu bogacza; dostęp do interesów dwuznacznych i rynków, do których nie można się przyznawać, otwarty: zaczyna się od spekulowania, potem, naturalną koleją, obalamucanie, okłamywanie, oszukiwanie, fałszowanie. Trzeba przecież żyć; i ludzie stają się „hurtownikami“ — nazywając rzeczy po imieniu — „paskarzami“.

Niebrak ich w istocie na wybrzeżu Carnaro.

Fiume żyło wyłącznie ze swojego portu; Fiume jest zasadniczo miastem morskiem. Wyszedłszy nawet z ulic najbliższych przystani i pnać się wzwyż po wzgórzu, ku przedmieściom Zametu, Podmurwitu i Cosali, nie przestajemy czuć towarzyszącej nam obecności morza; małe domki marynarskie, spoglądające wszystkimi swojemi okienkami na zatokę i archipelag, sieci rybaków i sprzedawców ryb, wystawiających na podłożu alg srebrzysto-łuskie barweny i drobne rybki — „scampi“; — owo

miękkie kołysanie bioder, cechujące chód młodych chłopaków, zwykłych wdrapywać się po linach — wszystko przypomina morze, wszystko przesiąknięte powietrzem morskiem. Można się przedostać do wnętrza, wspiąć się wzdłuż wybrzeża aż do zrębów Dynaryjskich; wciąż jeszcze i zawsze morze, którego się nie widzi już, pozostaje obecnem. Alpy jedynie stanęły murem nie do przebycia dla wiatru morskiego, dla ducha morza.

Jest to zjawisko czysto włoskie.

Z chwilą, gdy oddalamy się od pierwszego lepszego portu europejskiego, Antwerpji czy Marsylii, Liverpoolu czy Rotterdamu, Walencji, a bodaj Gdańska, i tracimy z oczu zgiełkliwą przystań i ludne przedmieścia z ich warsztatami okrętowymi, zmienia się scenariusz: zapominamy o morzu. Uprawne pola, łąny zbożowe czy wydmy jednostajne, ogrody warzywne, łąki pastewne, wzgórza, wyżyny czy rzeki, płynące pośród ukwieconych brzegów; każdy widok nasuwa inne zupełnie myśli. Jakgdybyśmy się przenieśli nagle o sto mil od morskiego wybrzeża. We Włoszech nie zapomina się nigdy o morzu: osnuwa ono ustawicznie cały bieg życia, jest towarzyszem prac i dni. Niema szczytu, z którego nie można go dostrzec; jak z owego teatru Segesty, której mądrość starożytnych wzniosła w najwyższym punkcie Akropolu; jak z owego zagasłego wulkanu Radicofani, który zburzonymi murami swojej twierdzy góruje nad szczytami Sieny i nad okręgiem Viterbo. Niema doliny, z której nie wyczuwałoby

się morza, ani laguny, z której nie doznawałoby się wrażenia jego bliskości. Poza Medjolanem i Turynem, a także kilku miastami alpejskimi, lombardzkimi, a bodaj umbryjskimi, wszystkie miasta włoskie są, niby powtórzenie Wenecji, okrążone ze wszystkich stron morzem. Można by spodziewać się dostrzeżenia otwartego morza, z pod błyszczącej kopuły lasku pinjowego Rawenny; z Mantui, osadzonej wśród jej błot; z Bolonji, której wieże wydają się latarniami morskimi bez światła; z Florencji i z Sieny, które nie wysyłają już na Ocean galer, ukwieconych szkarłatną lilją czy zdobnych szlakami czarnymi i białymi. Można by spodziewać się usłyszenia huku fal morskich, kiedy w rozognione popołudnia rzymskie wiatr nagły owionie świeżością swojego chłodu Piazza Colonna czy Piazza di Spagna, kiedy tchnienie jego okrąży całe miasto.

Nie zapomina się nigdy o morzu we Włoszech.

Fiume nie jest portem tylko; jest właściwem dzieckiem morza. Stanowi to jedną z przyczyn, dla których jest ono istotnie „Włoskiem Fiume“.

Czy pora teraz odwoływać się do cyfr, do statystyk, do logiki formalistycznej, do wszelkich przenośni sztuki krasomówczej, aby dowieść, że Fiume jest miastem włoskiem? Zbędne jest wszelkie argumentowanie, dowodzenie, perorowanie, aby rozwiązać zagadnienie natury czysto uczuciowej, której

Pod skrzydłami d'Annunzia — 4.

składniki noszą miano: wysubtelnionej intuicji, wrażliwości, zapału. Tem gorzej dla was, bawiących się w ekspertyzy, plebiscyty, formułki cyfrowe, socjologiczne — tem gorzej dla was. Naco się zdało powtarzać wciąż jeszcze, że trzydzieści osiem tysięcy Fiumeńczyków jest narodowości włoskiej? Spacer po mieście pouczy was znacznie lepiej, aniżeli przeczytanie dziesięciu tomów. Niech też nie przychodzi nikomu do głowy szukać wskazówek w słynnych dokumentach urzędowych; są one do tego stopnia nieprzewidziane, tak pełne sprzeczności, że lepiej wyrzec się usiłowań zrozumienia jednego ich wiersza bodaj. Czem np. wytłumaczyć, że podczas, kiedy jeden rzut oka wystarcza, aby właściwie oszacować miasto wielkości Ancony, Spezii czy Tulonu, pouczają nas księgi, jako na powierzchni ziemi nie istnieje więcej, aniżeli dwanaście tysięcy Fiumeńczyków. Są to niezbadane tajniki dawnej administracji węgierskiej.

Fiumeńczycy dokładali zawsze wszelkich starań, aby utrzymać swoje przywileje, jakie zabezpieczyły im: „*Corpus separatum*“ oraz „*Karta Mariji-Teresy*“, a jakim zagrażała wciąż wzrastająca miejscowa emigracja. Byli też niesłychanie surowi na punkcie przyznawania obywatelstwa czy „uprawnienia“ (*pertinanza*). Ta kwestja uprawnienia jest jedną z najtrudniejszych do rozwikłania w labiryncie adriatyckim. Szczególny artykuł konstytucyjny, pozbawiający wszelkich uprawnień politycznych 75% ludności, jest jakgdyby zamurowanym

kręgiem, pozostałością dawniejszego jeszcze panowania. Niegdyś niezbędne dla zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom — stanowi ograniczenie to obecnie już zaporę jedynie na drodze do ekspansji miasta. Faktem jest, że tylko piętnaście tysięcy mieszkańców posiada owo „uprawnienie“; oni wyłącznie — inni zaś nie, w myśl Statutu Terezjańskiego — obrali Radę Narodową w listopadzie 1919. Łatwo zrozumieć, jak wrogowie Fiume i imienia włoskiego wykorzystali podobnie paradoksalną sytuację.

Twierdzą oni, jakoby piętnaście tysięcy Włochów, posiadaczy uprawnienia, stanowiło mniejszość, narzucającą nie do zniesienia ciężkie jarzmo pozostałej ludności, złożonej z Kroatów i Węgrów. Nic bardziej kłamliwego.

Fiumeńczycy, pozbawieni uprawnienia, ci, którzy nie są obywatelami Fiume, są Włochami w wyższym jeszcze stopniu, o ile to możliwe, aniżeli tamci! Idzie wyłącznie nieomal o wieśniaków z Istrii — z Pisino, Pirano, Parenzo — o robotników z Polli i Trjestu, także o pochodzących z Dalmacji. Czy oznacza to może, że w Fiume niema Kroatów?

Są. Nie spostrzega się jednak tego. Spędziłem rok prawie w tem mieście, bywałem w najrozmaitszych środowiskach; bodaj tam nawet, dokąd Legjoniści nie docierali nigdy. Czasem, bardzo rzadko, miałem sposobność stykania się z ludźmi, mówiącymi po słoweńsku; nie słyszałem nigdy nikogo,

uskarżającego się na rząd i kurs włoski. Raczej wszyscy Kroaci — zarówno ci z Sussaku jak i wieśniacy okoliczni — niewielką darzą sympatją Serbów. Zapewnić mogę, że całoroczny stały pobyt w Fiume ujawnia w mniej wyraźnym stopniu ślady przesiąknięcia obyczajowości słoweńskiej, aniżeli jednogodzinne zwiedzenie Brukselli przekonywa o obecności kultury flamandzkiej.

Panowanie węgierskie pozostawiło po sobie niewiele: kilka gmachów, urządzenia portowe, dwa czy trzy napisy w dziwnym tym języku, zdającym się opierać na dwóch ostatnich literach alfabetu — czytać po słoweńsku potrafi co najwyżej nieśmiały, służący jakiś urzędniczyna, nikt więcej. W Fiume nie widać już nienawiści do Madziarów. Zaznacza się natomiast inny zupełnie wpływ, poza wpływem rządów węgierskich czy też owych Kroatów domniemyanych.

To szerokie i jakgdyby wymyte Corso, te świetne wystawy, to nagromadzenie majolik, wyrobów niklowych i sklepów spożywczych, „*Delikatessen*“ wszelakich barw i rodzajów, ramy i popielniczki, ozdobione sentymentalnymi napisami... czyż to wszystko nie przypomina mi dawnych znajomych?... Ci panowie dostojni, w paltach tak długich, pozdrawiający się tak ceremonjalnymi, tak poważnymi uchyleniami kapeluszy?... Mówią w każdym razie po włosku, najczystszym akcentem fiumeńskim: odmianą narzecza weneckiego, zaledwie tu i owdzie zabarwionego żyłkami tryjesteńskimi. Skąd więc

ten chód niemiecki? W jaki sposób pewne rzeczy wydają się jakgdyby sprowadzone wprost z Hamburga, Monachjum czy Gdańska?...

Rzec można, że w Fiume niema Niemców; kilku hotelarzy, dwaj czy trzech lekarze, kelnerzy kawiarniani, garstka handlowców; mimo to, podczas, kiedy nadaremnie szukałbyś w tem „arcywłoskiem“ mieście wyraźniej uchwytnych śladów węgierskich czy jugosłowiańskich, zdumiewać musi fakt nieustannego natrafiania — jakgdyby na niezliczone szczątki potluczonej na miazgę wieży z porcelany — na drobne pozostałości kultury germańskiej, ducha niemieckiego. Wystarczy przyjrzeć się czystości, panującej w sklepach, wejść do której z cukierni. Czy sam widok tych ciastek nic ci nie nasuwa? Oto „sandwicze“, posmarowane masłem i przełożone gotowaną szynką; posłuchaj melodyj granych w Caffé Budai...

„*Markenbazar*“ i „*Baumkuchen*“, „*Schlagsahne*“, wiedeńskie walce, imitowane figuryнки saskie i kryształły w stylu secesji; z jak daleka idzie to wszystko?...

A w nocie zimowe, czasem, niby płatki śniegu, z wyższych pięter domów lecą w ciszę uśpionych ulic urywki melodyj szubertowskich...

Lubię przechadzać się wzdłuż planty kolejowego linii Fiume — Agram — Budapeszt. Wiele miesięcy minęło już od czasu zniknięcia woddałi ostatniego pociągu, uwożącego ostatnich urzędników Karola IV. Od dnia tego szyny, słupy telegraficzne, tablice sygnałowe, przejścia tunelowe — wszystko kruszy się i rozsypuje na kawałki i wsiąka coraz bardziej w przeszłość. Zacierają się barwy, niepodobna już odczytać napisów, butwieją krzyżownice; wszelkiego gatunku szczątki zaśmiecają linję; nieubłagana, milcząca przyroda grzebie stopniowo pod całunem swoim krótkotrwałą pracę ludzką. Wszędzie krzewi się bujnie roślinność: chmiel i powój oplatają się dokoła słupów, kamienie porastają mchem; osty, koniczyna i dzikie jaskry pstrzą zbocza; domek dróżniczy niknie pod gąszczem dzikiego wina; na dachówkach uwiły gniazdko jaskółki; wzdłuż połyskujących szyn chwytają jaszczurki ciepło blasków słonecznych.

Nieubłagana, niema, zwycięska wydstaje się przyroda z głębin ziemi, jak uwięziona królowa, której udało się odzyskać wolność.

Stare miasto: wenecka wysepka, siódmy „*sestiere*“¹⁾, który pewnego dnia oderwał się i który

¹⁾ *sestiere* — okrąg wenecki. Wenecja dzieli się na *sestieri*. (Przyp. tłum.).

przez mistrza, brata bory, wepchnięty został wgląd Carnaro; pod wieżami ratuszowymi rozwierają się wrota: wejście do starej części miasta.

Wąziuchne ulice; drobne, ostre kamyki; dachy, nieomal stykające się z sobą, domy stare, ale pozbawione stylowości; najrozmaitsze przedmioty handlu porozkładane wszędzie nazewnątrz; madonny na skrzyżowaniach ulic; ślepe zaułki; niepewne, migotliwe oświetlenie...; nic tu nie przypomina Węgiei ani Niemiec; cudzoziemskie panowanie nie zdołało przeniknąć do tego zakątka; wszystko tchnie atmosferą Włoch: na każdym kroku duch włoski, w każdym najdrobniejszym szczególe bez znaczenia.

Co rano u stóp wieży ratuszowej wykwita targ warzywny.

Niedość jest widzieć rzeczy; wsłuchać się należy w wieczną ich symfonję: życie codzienne ma swój rytm, podobnie jak ma swoją melodję morze; tutaj melodja ta jest bardziej włoską, aniżeli uwerwura „Semiramidy“.

Krzyki, wybuchy gniewnych głosów, przekleństwa, urywki piosenek, obijanie się drewnianych trepek o wystające, ostre kamyki; targowanie się i paplanina kumoszek; brzęk dzwonek i rzępole nie na gitarach: wszystko to na tle Piramesi'ego. Pod murami rzymskiego łuku, u wylotu krętej uliczki, idą szeregami kozy; na gzemsach okiennych porozkładana susząca się bielizna; kowal — może zjawił się tu z teatru Marcella? — ustawił swoje kowadło wprost przed drzwiami.

Paru wędrownych sprzedawców krzykliwie zachwala jabłka, pomarańcze, kwiaty, ilustrowane pocztówki i „*frutti di mare*“ — rozmaite ślimaki, kraby i inne żyjątka morskie; setki chłopaków zbiegają się zewsząd i rozbiegają na wszystkie strony; paru przystojnych młodzieńców z czarnymi oczami i ulizanymi włosami zaczepia i drażni uciekającą przed nimi dziewczynę, której kształty zarysowują się pod spowijającym je szalem z frendzlami, żywo przypominającym Rialto; oto ukazują się trzej braciszki klasztorni: dziewczyna robi ręką znak odczyniania uroku — „*la corna*“, a młodzi chłopcy to samo na swój sposób.

Z winiarni wychodzi grupa marynarzy, trzymających się za ręce; w powietrzu unosi się zapach wina, frytury i miłości.

Prezydent Wilson powinien był właściwie przysłać tutaj, do tej „*Città vecchia*“, swoich rzeczoznawców. Czy zrozumieliby jednak?

Grzmi fanfara: „O, idzie orkiestra!“ *Passa la banda!* Muzyka wojskowa przeciąga przez miasto; fakt, powtarzający się na ulicach Fiume co najmniej trzy albo cztery razy dziennie. I za każdym razem wszyscy biegną, tłoczą się dokoła muzykantów, towarzyszą im; tworzy się pochód; tłum biegnie za muzyką aż na Corso, ku Piazza Dante; ilekroć milknie fanfara z powodu braku tchu muzykantów, podchwytyją zastępcy ostatnią zwrotkę, dołączając okrzyki do śpiewu, przytupując nogami do taktu; bardzo często podchodzą aż przed sam pa-

łac i nie decydują się rozejść, dopóki nie zobaczą swojego bóstwa, d'Annunzia, i nie wzniosą na jego cześć frenetycznych „*alalà!*“

Na Piazza Dante, o wszelkich godzinach dnia, zwłaszcza w południe i pod wieczór, przechadzają się, zatrzymują i dyskutują gromadki ludzi: Fiumeńczycy nie zwykli przesiadywać wśród dnia w kawiarni. Wolą pozostawać na otwartym powietrzu; dyskusje bywają często nader ożywione, czasem nawet namiętne; oficerowie i żołnierze łączą się z cywilami; krążą nowiny prawdziwe i fałszywe; rozgłaszane są publicznie „tajemnice stanu“; nierzadko też szerzone bywają oszczerstwa; to rodzaj starożytnego „forum“, przemierzanego wzdłuż i wszerz przez przechodniów: przychodzą, wracają i znów idą naprzód. Znaczna część prywatnego życia Fiumeńczyków przebiega tutaj; i to także jest obyczajem włoskim („*schiettamente italiano*“ — powiedziałby d'Annunzio). We wszystkich miastach włoskich romanse, arcydzieła, rewolucje — rodzą się pomiędzy „*piazza*“ a „*corso*“.

Na włoskiej „*piazza*“ gada się bezustanku; obgaduje się to i owo, i Radę Narodową także; Radę Narodową nadewszystko.

Przyznać trzeba, że „Wysokie Zgromadzenie“ nie jest popularne. Radcy są wszyscy ludźmi, zasługującymi na najwyższy szacunek, chociażby nawet do grona wybranych precyzyjnie się zdołali dwaj czy trzej paskarze: nowobogaccy z manjer, których „*gaffy*“ krążą, powtarzane z ust do ust; bracia sjam-

szy muworiszów całego świata. Lud, żołnierze skłonni są — wiadoma rzecz — do łatwego uogólniania: dwie czy trzy te osobistości są dla nich całym Rządem.

Prawdę powiedziawszy, nie cieszyła się nigdy Rada szczególną opinią. Z zupełnie innych jednak względów. Piętnaście tysięcy wyborców „uprawnionych“ należy wyłącznie niemal do sfer burżuazyjnych; na przedstawicieli swoich obrali oni innych burżujów, wybitniejszych i drobniejszych: proletarijat fjumeński nie bierze udziału, ani nie ma głosu w administrowaniu miastem. Bezpośredni naturalny wynik takiego stanu rzeczy — niepopularność Rady wpośród sfer robotniczych. To zjawisko polityczne pociąga za sobą inne jeszcze konsekwencje, poważniejsze z odmiennych względów: stojący u steru wnoszą do rozstrzygania wszelkich zagadnień, o charakterze bądź moralnym, bądź gospodarczym czy socjalnym, ów ciasny punkt widzenia, właściwy umysłowości burżuazyjnej. W wypadkach poważnych będziemy świadkami zupełnego tracenia głowy ze strony ludzi wykształconych; zapominania kapitalistów o wszystkim, co nie dotyczy bezpośrednio ich majątku; rozpaczliwego czepiania się swoich przywilejów klasowych przez tych samych ludzi, którym powinnyby leżeć na sercu nadewszystko dobro i interes ogółu i którzy dbać winni jedynie o dawanie wiernego wyrazu woli reprezentowanych przez nich obywateli. W momentach niebezpieczeństwa nie zdoła ani głos patetyczny takiego Host

Venturi, ani nawet interwencja samego Gabriela d'Annunzio odciągnąć uwagi tych faryzeuszów od ich obaw, pozbawionych wzniosłości. Zamknięci w swojej dobrze ogrzanej sali, zabezpieczonej od przenikania do niej odgłosów ulicy; mając za jedynych świadków swoich obrad wizerunki węgierskich magnatów — zbyt pochopnie pozwolą powodować sobą własnym swoim uprzedzением i zastarzałym swoim nawykom.

Brak, natomiast, na ich zebraniach męskiego głosu ludu: ludu wspaniałomyślnego, szczerego, impulsywnego i śmiałego, który ich sztucznej sofistyce przeciwstawić mógłby naiwny swój liryzm. Dla wieśniaków o szerokich, kwadratowych barach, dla robotników o rękach czystych, nieskażonych, dla marynarzy o jasnym wejrzeniu — niema miejsca w takim kole.

A ci właśnie są najbardziej zdumiewający, najofiarniejsi.

Historja, miasto, charakter ulic, konstytucje, starożytna „Tarsatica“ (dawna nazwa Fiume), podporządkowana jurysdykcji patriarchy Akwilei, *corpus separatum*, Karol Wielki i Marja-Teresa — ileż argumentów na rzecz włoskości! Wszystko to jednak nie jest niczem, wszystko to nie liczy się wcale. Jeden jedyny argument: „lud fiumeński“.

Trzeba widzieć go, ażeby go zrozumieć, aby pojąć go i pokochać.

Zawieszenie broni nie było dlań niczem innym, jak tylko jedną ze stacyj jego Kalwarji. Nieba-

wem wylądowali Annamici; wojska włoskie „dopuszczone” były do brania udziału w międzyaljanckiej okupacji. Raz jeszcze wypadło Francuzowi wystąpić w roli „*Monsieur, qui ignore la géographie*”; Fiumeńczykom, którzy przyjmowali wojska aljanckie okrzykiem: „*Vive la France!*”, odwzajemnili się Annamici wołaniem: „*Vive la Yougoslavie!*”.

Drogą plebiscytów i uroczystych deklaracyj stwierdziła ludność swoją wolę przyłączenia się do Włoch, jak to już uczyniła 30 października 1918 r., mimo że istniało jeszcze imperjum austro-węgierskie. Wojska okupacyjne przyczyniały Fiumeńczykom tysiące udręczeń, ale Indochińczykowie utrzymywali, jakoby przybywali tutaj nieść światło „*civilisation*”.

Pewnego dnia majowego w 1919 wybuchły zamieszki, wywołane przez arogancję okupantów. Oburzone Fiume dopuściło się pożałowania godnych gwałtów; połała się krew.

Kto, biorąc historycznie, ponosi winę rzezi? Co spowodowało wyłuskanie „krwawego różańca fiumeńskiego”? — nowoczesnej tej odmiany *Martines Brugeoises* i Nieszpór, wskrzeszonych z zamierzchłej głębi średniowiecza? Nie udało się ustalić tego Komisji śledczej, wyznaczonej przez Konferencję; sposób wszelako, w jaki Komisja owa odbywała swoje posiedzenia; powikłania, spowodowane sprawą precedensów, mieszaniną języków, brakiem kompetencji biegłych; gwałty słowne, jakich „instruktorzy” nie wstydzili się dopuszczać w stosun-

ku do świadków, wystarczyłyby do okrycia śmiesznością pacyfikatorów wersalskich. Wyniki śledztwa są znane: wojskom włoskim kazano opuścić miasto, a policja brytyjska miała utrzymywać porządek.

Co to znaczy — dobrze wszystkim wiadomo; od kilku lat już przecież wojska angielskie „utrzymują porządek” na Cyprze, w Kairze, na Gibraltarze, w Hong-Kongu, w Zanzibarze.

Odjazd wojsk włoskich — byli tu między innymi grenadjerzy majora Reina — miał zabarwienie dramatyczne. Kobiety wrywały żołnierzom sztandary i rzucały je na ziemię: „Skoro wychodzicie z Fiume, kładźcie sobie sztandary pod nogi!” Scena, którą rad byłby opisać Guicciardini.

12 września transport angielski z pierwszym kontyngensem policjantów maltańskich zarzucił kotwicę w Carnaro w tym samym momencie, w którym Gabrjel d'Annunzio wchodził do Fiume. Nikt poza tymi, którzy byli obecni, nie byłby zdolny opowiedzieć, czem było takie wejście, „święte wejście”. Do cudów zaliczyć trzeba fakt, że entuzjazm, opromieniający tę godzinę triumfu, potrafił utrzymać się w całej swojej sile w ciągu miesięcy, w ciągu lat. I jeśli Fiume cierpi, szczęśliwe jest, że cierpi, mówiąc słowami Świętego Franciszka z Asyżu: „*per l'amore che non é amato*” (w imię miłości, która nie jest miłowaną).

Wraz z odosobnieniem potęguje się zapal: życie, niezabezpieczone, niemające pewności jutra,

opromienia się nieustannem bohaterstwem, które czerpie natchnienie z obecności Komendanta.

Sublimacja w ciągu tylu miesięcy nie może ujść bezkarnie.

Stwarza się w ten sposób nastrój nieustannego *quatorze juillet*, udzielający się świeżo przybyłemu do Fiume. Orszaki i pochody, fanfary i śpiewy, tańce, race, ognie triumfalne, mowy, krasomówstwo, krasomówstwo, krasomówstwo...

Nie zapomnę nigdy uroczystości Świętego Wita, patrona Fiume, w dniu 15 czerwca 1920. Piazza iluminowana, chorągwie, szumne napisy, łodzie z ukwieconymi latarkami (i morze miało także swój udział w festynie), tańce... Tańczono wszędzie: na placu, na rogach ulic, na molo; w dzień i w nocy; tańczono i śpiewano nieustannie: nie była to zmysłowa słodycz barkaroli weneckich; raczej bachanalja rozszalała. W rytmie wojennych fanfar wdziało się wirujących w namiętych uściskach żołnierzy, marynarzy, kobiety, mieszczan, odnajdujących trójdrobność pierwotnych par, opisywanych przez Arystofanesa. W którąkolwiek stronę kierowało się wzrok, wszędzie widziało się tańce: lampjony, pochodnie, gwiazdy; Fiume wygłodzone, zniszczone, zgnębione, bodaj w przededniu śmierci od ognia czy pod granatami, potrząsając pochodniami, tańczyło na brzegu morza.

W ubogich domkach Citta-Vecchia kobiety pozrywały święte obrazy. Małe lampki płoną przed portretem Gabrijela d'Annunzio.

Są ludzie, którzy nazwą to rozhisteryzowaniem. To *Bal des Ardents*.

Naprzekór wrogiemu, nikczemnemu światu, wywołując ostry wybuch śmiechu tłumów, tańczy Fiume w obliczu śmierci.

Stało się teraz sercem, pochodnią.

Stało się Arką.

III
THIASOS¹⁾

¹⁾ *Thiasos* — zgromadzenie obrzędowe, najczęściej łączące się z kultem Dionizosa. (Przyp. tłum.).

Jestem zupełnie „sfiumanizowany“, jak mówią. Żyję już pełnem zapału życiem Legjonistów; usiłuję, o ile możliwe, upodobnić się do nich.

Dni i prace następują jedne po drugich, cały pozostały świat wydaje nam się szarą mgławicą, rozwiewającą się nieomal „*in un'aer perso*“ — w powietrzu barwy ciemnej purpury. Oddycham jasnością, promieniującą z Gabrijela d'Annunzio, i światłem tem żyję: jestem już tylko bezwolnym instrumentem, narzędziem głuchem i ślepem w rękach mistrza nad mistrzami. Miło mi, że nie jestem niczem innem. Niema nic w kornym takim epigonizmie, co mogłoby być dla mnie poniżające i pomniejszające; bez względu na to, czy jestem aktorem, czy widzem, współtowarzyszem, czy wykonawcą, stronnikiem czy bezstronnym, nieuprzedzonym świadkiem — napawam się bezgranicznie, że mogę widzieć to, co widzę, słyszeć, czemu się przysłuchuje, że jestem tem, czem jestem. Dziękuję Bogu, który pozwolił mi wejść w bezpośrednie, stałe zetknięcie z najbardziej skończonym jego tworem, i oglądam z uwagą żywy ten cud w jego wielkości i w jego małostkach, w jego potędze i w jego słabości. Tem, co najbardziej w nim zdumiewa, jest

dar jasnego i dokładnego widzenia; d'Annunzio wyolbrzymia się idea, czynem, ogromem doniosłości i rozpiętości dokonanego dzieła. Cervantes nie miał pojęcia o dyplomacji, Lamartine nie umiał dowodzić wojskiem, Napoleon nie napisał „Laudi”. Komentant Fiume, największy poeta naszego wieku, jest zarazem wojownikiem i mężem stanu.

Legjoniści nie są niegodni podobnego wodza...

Legjoniści... Wojsko, które nie jest wojskiem; załoga, niepodobna do żadnej innej załogi; powstańcy, którzy są raczej Wandejczykami; białe gwardje, mające wiele z gwardyj czerwonych; buntownicy, będący jaknajbardziej dyscyplinowanymi żołnierzami; korsarze, którzy rabują poto tylko, aby dać jeść głodnym.

Legjoniści... Weterani, w których cztery lata wojny nie wypaliły płomienia pierwszego dnia, nieskalani wciąż jeszcze i gotowi do najwyższej ofiary. Młodociani ochotnicy, którzy wyrwali się ze szkoły, aby wciągnąć się na listę; całe bataljony, które, uprzykrzywszy sobie życie bezbarwne w sferze zawieszenia broni, poszły za „impresą”; oficerowie, chłopcy nieledwie, dalecy od poniżającej roboty z przymusu i od porywczej pewności siebie pułkowników.

Legjoniści... Wyżsi oficerowie, nieco zdumieni, że znaleźli się tutaj w samym ośrodku, pogodzeni mimo to z dziwaczością położenia; zwolnieni od służby wojskowej, zbiegający się tutaj rojami; i inni, którzy nie chcieli opuścić Fiume; i jeszcze inni,

którzy chcieli pójść za d'Annunziem; dwudziestoletni oficerowie, którzy rzucili się na tę przygodę z takim samym zapałem, z jakim niegdyś biegli do szturmów; lotnicy, którzy przypadli do ziemi z samolotami swojemi, wysoko w górach, w sępiem gnieździe Grobnicy; oficerowie marynarki, którzy wieczorem powracają do ciasnego domku z błyszczącą stalą; wszyscy ci, którzy zgromadzili się, stworzywszy niesamowitą taką i burzliwą kohortę; „bataljon oficerów”, spędzających dnie całe w kawiarniach z muzyką czy bez muzyki... I ci także, którzy nie bywają nigdy w mieście, pozostając ze swoimi żołnierzami na przednich placówkach: skromni, surowi, ofiarni; bodaj najbardziej zapaleni.

Legjoniści... dziwna zbieranina ludzi wszelkiego wieku, wszelkich warstw społecznych, z wszystkich dzielnic Włoch. Dwunastego września było ich siedmiuset; następnego dnia liczba ich wzrosła już do tysiąca, potem do dwóch, trzech, pięciu, ośmiu tysięcy. Przybywali ze wszystkich stron, ciągnęli wszystkimi szlakami: morzem, lądem, z obłoków; niebawem było ich zbyt wielu na miasto zablokowane, wygłodzone, i Komenda oznajmiła, że na przyszłość nie będzie się już przyjmowało ochotników. Fiume, odcięte od reszty świata, zamykało teraz z kolei wrota nad własnym swoim cierpieniem. Mogliśmy już odtąd rachować się wzajem i wzajem obserwować.

Jesteśmy pielgrzymami do tej samej świątyni, współpasażerami na tym samym pokładzie. Dokąd

zdamy?... Nikt nie umiałby tego powiedzieć. Jakie są nasze cele wojenne? Trudno to określić... A zatem...

Nad nami jest Gabrjel d'Annunzio, który nami kieruje.

Ponad Gabrjelem d'Annunzio NIEWIADOME i los, który go pcha naprzód.

Z jakim stronnictwem politycznym są Legjoniści zbratani ideowo? Sądzę, że z wszystkimi. Nacjoniści i międzynarodowcy, monarchiści i republikanie, konserwatyści i syndykaliści...: jest pośród nas wszystkiego tego potrochu.

Fiume to tygiel czarodziejski, w którym wrą skłócone razem pierwiastki. Czy stopią się w metal szlachetniejszy?

Fiume jest mgławicą, z której nowa zrodzi się genesis. Czy wyblśnie z niej przyobiecana gwiazda?

Wspólna idea zwarcie trzyma dokoła dobrowolnie obranego wodza wszystkich tych ludzi o dążeniach tak rozbieżnych. Jedna jedyna wola wiąże ich w snop, zwarciem z sobą złączony aniżeli ten, jakiego nie zdołała stworzyć blokada. Bezmiernie pragnienie sprawiedliwości przepełnia wszystkie serca. Legjoniści fiumeńscy łakną sprawiedliwości.

Mówić to należy i powtarzać: Fiume jest bolesnym symbolem wszystkich niesprawiedliwości postwornego okresu. Wydane na łup na mocy tajnego

traktatu, porzucone przez tych właśnie, których obowiązkiem było stanąć w jego obronie, zdradzone przez pośredników zbrodniczo nieświadomych rzeczy. Kaci jego wszelkich dokładają starań, aby wydrzeć mu z gardła krzyk bólu. Legjoniści fiumeńscy pożądamy sprawiedliwości. To samo już starczy za wyjaśnienie wielu przeciwieństw. Dla współtowarzyszy Gabrjela d'Annunzio ma niesprawiedliwość tysiączne oblicza. Zowie się ona zkolei Wilsonem, Clémenceau, Lordem Curzonem, Lloyd Georgem, Sonnino, Tittonim, Nittim-Cagoią bodaj, o ile wciela się w tę otyłą maskę. Siła nasza zrodziła się ze świadomości stanięcia mocno i twardo i utrzymania się w tak drobnej liczbie przeciwko sprzysiężonej potędze narodów, stronnictw, kast.

QUIS CONTRA NOS? Owe osobistości urzędowe, zarzucające nas, cedzonemi w literacko-banalnej francuzczyźnie, frazesami, które mogłyby być groteskowemi jedynie czy wprost głupimi, gdyby nie służyły do maskowania samowoli, nienawiści, najcyniczniejszej i najnędniejszej żądzy zysku.

QUIS CONTRA NOS? Liga Narodów, bezwładna ta akademja ze swojmi suto opłacanemi synekurami. Ci ministrowie włoscy, ci politycy z podprefektur, którzy, kiedy rzucony zostanie na kartę los Dalmacji, wodzić będą pękatemi palcami po mapie — rozpostartej przed drapieżnym okiem „Tygrysa” —, szukając pomiędzy Triestem i Durazzo: „Spalato? Spalato?... Spalato. O, tu jest!...”

QUIS CONTRA NOS? „Avanti“ i pseudo-socjaliści Pusa¹⁾, przekładający ponad męki rewolucji przyobiecowaną im współpracę z Nittim, radosne mirażę tek ministerjalnych i rozkoszy burżuazyjnych. Na Kongresie III Międzynarodówki w Moskwie jeden z deputowanych socjalistycznych, mający pełne usta „bliskiej rewolucji socjalnej we Włoszech“, usiłował rozdmuchać do olbrzymich rozmiarów rewolucyjną potęgę Włoskiej Partii Socjalistycznej, na co Lenin, przerywając mu w połowie zdania, rzekł: — „We Włoszech istnieje jeden jedyny rewolucjonista — Gabrijel d'Annunzio“.

QUIS CONTRA NOS? Olbrzymia machina biurokratyczna, „uwikłana w normalny bieg swoich spraw“: groźne to przeładowanie, pod którego ciężarem od półwieku już rząd, nad miarę centralistyczny, grzebie prawdziwą fizjonomję kraju. A także niezliczone falangi urzędników: od woźnych do dyrektorów departamentów i aż do ich brzuchów, poruszonych i drgających oburzeniem.

„Chciałbym, aby pułk Legjonistów fiumeńskich przedefilował przed którym z angielskich pułkowników“ — napisał pewnego dnia korespondent „Morning Post“. Zacny pułkownik angielski był

¹⁾ P. U. S. (*Partito Ufficiale Socialista*) — Włoskie Oficjalne Stronnictwo Socjalistyczne.

by napewno zdumiony, tak samo zresztą jak każdy inny pułkownik wszelkiego innego wojska na świecie. Zuchwalcy raczej aniżeli obrońcy zablokowanego miasta — takie sprawiają wrażenie.

„*Les sombres séraphins d'une autre Apocalypse.*“

„*Arditi*“ są mniejszością; w miarę wszelako organizowania się życia fiumeńskiego inne składowe części armji ulegają wpływowi tego stylu zuchwałego. Kawalerzyści i piechota, pułkownicy i kaprale, artylerja i lotnicy, a nawet zacny poeta amerykański, Henry Furst — niema ani jednego, kto nie chciałby być „*ardito*“, kto nie chciałby nosić wyhaftowanej na lewym rękawie szpady w wieńcu dębowym. Po upływie krótkiego czasu zyskują Legjoniści indywidualnie ich wyróżniające cechy, zrazu odcienie nieuchwytnie: bersaglierzy po dawnemu rozwiewają na wietrze swoje pióropusze i pędzą jak poprzednio; oficerowie „Królewskiego Piemontu“ zachowują dumny swój wdzięk; grenadjerzy — półwściągliwą wytworność... a jednak dokonała się w nich wszystkich pewna zmiana: *ożywia ich nowy duch*; i równocześnie nieomal z metamorfozą duchową zachodzi zmiana w zewnętrznej ich postaci, w ich sposobie noszenia mundurów. Pewnego dnia piechota rozchyła kurtki; rozwiera się kołnierzyk i z pod niego obnaża się szyja, która rychło na wietrze morskim przybierze barwę brązu; wszyscy następnie zechcą nosić puginał u pasa. W lecie Komenda Fiume zawładnie składami, pozostawionymi

przez aljantów: z szarych namiotów „*Armée d'Orient*“ wykroimy sobie fantazyjne mundury galowe. Sami „*Arditi*“ nawet zaprowadzą różnego rodzaju odmiany w stroju: niektórzy oficerowie usieją srebrnymi gwiazdkami zawadjacką fezkę i opaszą pierś czarnym szamerowaniem: *ożywia ich nowy duch*. Ochotnicy nie są już więcej przyjmowani, powiększa się natomiast zastęp podoficerów, bowiem Komenda mianuje kaprali, sierżantów, adjutantów połowych. Przyznać należy, iż dziwny jest widok tych osobników, ozdobionych naszywkami, z całą tęczą różnokolorowych wstążeczek na piersi: dekoracje wojenne, dowody wypróbowanej zasługi, błękitno-żółto-amarantowa wstążeczka fiumeńska, czarna — arditów, szkarłatna — Zary! Prawda, że wszystko to: ruchy, okrzyki, śpiewy, puginały, uczesanie — bardzo jest niezwykle.

Angielski pułkownik istotnie zgorzony byłby widokiem tak wyglądających żołnierzy. Ale Gabriel d'Annunzio nie jest angielskim pułkownikiem; na szczęście!

Tam, gdzie Fiume się kończy, u delty Eneo — słynnego owego Porto Barros, który takiego nabrać ma w następstwie rozgłosu — rozsadowiły się największe zuchy pośród zuchów, najśmielsi ze śmiałych: „Kompanja d'Annunzia“, „gotowa na wszystko“! Życie radosnego zbratania, karnych zabaw w samotnych koszarach nad morzem, albo też

na wzgórzach, na które wbiegają pędem! Oto oni z obnażonymi do pasa torsami na piasku Cantrydy; ćwiczą się w ciskaniu ręcznych granatów, zaprawiają się do skoków wwyż. Defilują przed Komendantem; jakgdyby jednym gestem dwieście rąk, uzbrojonych w puginały, wyciąga się ku niemu; czarna chorągiew pochyla się, i wieszczy okrzyk, zrywający się z dwustu piersi, rozbrzmiewa w obliczu morza:

DO NAS!

Pomiędzy zuchami Kompanji d'Annunzia jest kobieta — pułkownika, zasłoń oczy! — kobieta, która na krótkiej, szaro-zielonej spódniczce nosi kurtkę z czarnymi wyłogami. Ma stopień porucznika; bierze udział w marszach, w ćwiczeniach; z męskim wdziękiem podporządkowuje się ta istota zahartowana surowym koniecznościom blokady, czuwając nad zdrowiem moralnym i nad dyscypliną „swoich“ oddziałów, broniąc ich sprawy wobec Komendanta. Widzieć ją można nieustannie u boku Rossi Passavanti, wodza najtęższych zuchów, kompanji „la Disperata“. Zadzierzguje się wątek romansu. Przyjdzie dzień, w którym dowódca „Disperaty“ poślubi markizę Incisę di Camerana; w Igl'iori okaleczony bohater złoży dowództwo „Kompanji d'Annunzia“.

Może protestować dowoli angielski pułkownik; nie znajdzie się artysta, który potrafiłby wiernie

opisać „Kompanję d'Annunzia“. Na uciechę dla oczu i uszu wskrzesiła ona „falangi czarno-pasiate“ „*le bande nere*“, niewolniczo oddane ambitnemu, okrutnemu ich wodzowi, Giovanni dei Medici.

Na wiosnę towarzyszy Komendant wojskom podczas długich ich marszów w okolice miasta. Siódma rano. Pułk, na który przypadła kolej, ustawiony jest w szyku na Piazza Roma, przed Pałacem. Trzy fanfary trąb. Oto on, autor „*Laudi*“, w wysokich butach i ostrogach; pierś jego obciska kurtka „arditów“. Jaki rzeński krok! Jaka prężność ruchów, jaki ogień spojrzenia! Jest rówieśnikiem swoich żołnierzy; ma dwadzieścia lat tak samo, jak oni!...

Ruszają ze śpiewem ku wybrzeżu albo ku wyżynie. Około południa zobaczy się ich powracających. Porywająca metamorfoza... kwietniowe słońce... czar... Czyżby to las Birmanu zbliżyć się miał ku fiumeńskiemu pałacowi? Nie, to raczej cudowny ogród, girlanda, wijąca się bez końca, różowa i biała... Legjoniści ogołocili drzewa i rozkwitłe krzewy.

Porządek, hierarchja, krok rytmiczny wymarszu — wszystko to poszło w niepamięć. Rozszalała banda, dziki, frenetyczny thiasos pnie się po stro-
mem zboczku, oddzielającym morze od pałacu. Potrzeba ukwieconemi gałązkami... szal djonizyjski...

W Poniedziałek Wielkanocny tłumny orszak urzęda wypoczynek na piasku nadmorskim. Polana układane są w stosy, „*arditi*“ pieką w ogniu jagnięta, a Komendant dzieli jadło z wojskiem swoim. Innym razem powrót nocą przy świetle pochodni. Zawsze, wszędzie, wykwitają na ustach piosenki.

Pewnego wieczora w teatrze Verdi'ego dawano: „*la Fiaccola sotto il moggio*“¹⁾: przedstawienie dla Legjonistów. Przedstawienie dziwne zaiste. Olbrzymi *Opernhaus* z niemiecka zapełniony wojskowymi; oficerowie w krzesłach i w łóżach, szeregowcy na galerji i na paradyzie. W jednej z łóż blisko sceny Komendant ze swoim Sztabem Głównym. Nieprzerwane, niekończące się, ogłuszające oklaski: entuzjazm, musowy niejako. Doświadczamy przez parę chwil wrażenia, nieco niepokojącego, jakobyśmy byli widzami na igrzyskach Nerona; ci, którzy wzdrgają się zachwycać, zginą wśród mąk. Zapada kurtyna po drugim akcie; podczas kiedy Atrydzi z Aquili wychodzą na scenę, aby podziękować za oklaski — grali zresztą marnie — rozlega się głos protestu: Jego głos!

— Przerwijmy tę nudną tragedję i zaśpiewajmy nasze piosenki!

¹⁾ „Pochodnia (światło) pod korcem“ — tytuł jednego z utworów dramatycznych d'Annunzia.

Oklaski. Alalà! Z krtani obecnych bucha hymn Mameli'ego, hymn Garibaldi'ego, *Giovinezza*. Ale żołnierze domagają się: „*na tazza é caffè, na tazza é caffè!*“

Czy d'Annunzio nie powiedział wyraźnie: *nasze* piosenki? Oficerowie spoglądają po sobie, stropieni. Niema jednak rady. Cicha zrazu, zaledwie pobrzękująca, potem potężna, żywiolowa, rozbrzmiewa piosenka neapolitańska. Tercyny tarantelli, wyrzucane całą pierśią, tysiącem gorących głosów, grzmiają jak burza. Elektra i jej wór pełen węży, naszywki, odznaczenia i stopnie, uroczystość hymnów oficjalnych, wszystkie akcesorja — teatr i rzeczywistość — żyjące życiem błyskotliwym i zwodnym — zmiecione, niczem zeschnięte liście, porywem wichru huraganowego. Pospolita piosenka z jej słowami bezsensownymi olbrzymieje, potężnieje, przeistaczając się w najprzeróżniejszą karmanjole. Towarzysze moi dają sobie znaki; uważają epizod ten za przekomiczny.

Patrzę na d'Annunzia. Zbladł nagle. Zrozumiał. Wczoraj jeszcze usiłował nauczyć żołnierzy skomponowanej na modłę grecką patriotycznej melopei Maria-Castelnuovo-Tedesco.

A oto lud uczy go własnej swojej pieśni: brutalnej, bezlitosnej, triumfującej.

Zrozumiał...

Na rogatkach jest granica, strzeżona surowo. Zdarza się czasem na odcinkach odleglejszych, że

patrol Legionistów przekroczy linię i zapuści się aż do osterji, oddalonej od naszych pozycji niewielej niż o sto metrów. Osterja stanowi „*No man's Land*“ — strefę neutralną.

Pewnej nocy zimowej zdarza się, że „Cagolowcy“ przychwytyją tam paru żołnierzy z Fiume. Chcą wziąć ich do niewoli; tamci nie dają się; żołnierze wojsk regularnych strzelają i fiumeńczycy cofają się na swoją linię, unosząc jednego z towarzyszy, trafionego kulą.

Na łożu szpitalnem dogorywa młody żołnierz...

Starają się go wypytać; d'Annunzio wyraża chęć zobaczenia go; umierający odpowiada tylko: „martwy — tak, żywy — nie“. Mającąc, powtarza nieustannie te cztery wyrazy; i w tych czterech wyrazach zawarte jest całe bohaterstwo świata.

Egoistyczni burżuje i głupi demagodzy nie rozumieją nigdy ludu; udziałem umysłów wyższych, duchów wzniosłych i szlachetnych jest umiejętność odnajdywania skarbów, ukrytych w jego prostacznych sercach, należytej oceny wielkości jego poświęcenia.

U stóp łóżka, na którym spoczywał Luigi Siviero, żołnierz fiumeński, rażony włoską kulą, autor „*Laudi*“ ukląkł i płakał. Przyszła też kobieta, wezwana z Fiume celem spełnienia swojego obowiąz-

zku, jako inspektorka Czerwonego Krzyża, poważna i surowa pod czepeczkiem pielęgniarki.

Ujrzeliśmy czysty jej profil, pochylony nad leżącym. Rozdzierająca chwila, na zawsze żywa w pamięci każdego, kto był jej świadkiem. Prawnuczka Filipa-Egalité, Helena Francuzka, księżna Aosty, modliła się na klęczkach przy łożu zmarłego żołnierzyka.

Legjoniści nie zdolni są znieść tysięcznych gwałtów i aktów przemocy, doświadczanych ze strony wojsk regularnych i władz. Rychło zemsta przybiera formę niezapomnianych kawałów, słynnych „coups de main“, pysznej zabawy „arditów“, wściekłego gniewu biurokratów i zbirów. Obrabowywane parki automobilowe, porywane wozy ciężarowe, wykolejane pociągi... Pewnego dnia, patrole, wylądowawszy w Volosce, zagarniają czterdzieści sześć koni taborowych i uwożą je do Fiume *en trois bateaux*. Innym razem w odległości paru kilometrów od miasta zaczajony oddziałek „arditów“ zatrzymał samochód generała Nigra i odprowadził go pod silną eskortą do Pałacu. Przetrzymano tu generała trzy dni i traktowano z największym szacunkiem, aby mógł się przekonać, że nie jesteśmy takimi „nicponiami“, o których tak źle się wyrażał.

Włoski Czerwony Krzyż zaopatruje w żywność ludność cywilną. Z czego wszakże mają żyć Legjoniści? Pomimo otwartych zapisów — sam dziennik „*Popolo d'Italia*“¹⁾ zebrał liczne miliony; także z kolonij włoskich w Brazylii i w Argentynie ponadsyłano fundusze pomocnicze — brak nam żywności, brak odzieży. Co robić? „*Coups de main*“, korsarstwo. W ciągu wieków „*Uscocchi*“, piraci z Carnaro, nakładali pogłównie na galery *Serenissimy* — Republiki weneckiej — legjoniści wznowili tę tradycję. Gdyby nie to, na cóż zdałaby się flota i „*Mas*“²⁾, smukłe i szybkobieżne? To znów marynarze nasi gaszą latarnię morską przy wjeździe do Quarnero. W noce bezksiężycowe poza skałami Chersu stoi chart morski na 'czatach. Parę chwil wystarczy do „przekonania“ załogi i narzucenia jej kierunku do Fiume. Do nas należy już ładunek, składający się ze zboża! Do nas transport, naładowany amunicją! Do nas statek transatlantycki, przepełniony bogactwami! Wszystkiego potrochu znalazło się na pokładzie „*Persji*“, udającej się na Daleki Wschód: marmelada, amunicja, nawet szampan, przeznaczony dla Sztabu generała Kołczaka, opony gumowe, buty i w dodatku ambasador, niebywale oszołomiony, zaskoczony przygodą i puszczonej na wolność tego samego dnia.

¹⁾ Sumy, zebrane przez dziennik: „*Popolo d'Italia*“, przywiózł do Fiume jego redaktor, Benito Mussolini.

²⁾ Motor-Anti-Submarine.

Pod skrzydłami d'Annunzia — 6.

Pewnego wieczora wielkie poruszenie w Pałacu: dalekie szmery, wciąż wzrastający zgiełk tupot, maszerujące cienie, skaczące światła, odgłosy pośpiesznych kroków. Hałaśliwa kohorta wpada gwałtownie do przedsionka, wbiega pędem po szerokich schodach: to nie *Djinsowie*, Uskołki raczej. Niosą przy świetle pochodni cenny łup — dwie ciężkie szkatuły, zdobyte przez nich przed chwilą na pokładzie parowca, płynącego do Albanji. Zamki są mocne, nie poddają się. Wreszcie zostają podważone: wysypują się ze szkatuł talary i dublony, także całe pakiety banknotów.

Jako pogrobowiec romantyzmu doświadczam istnego upojenia wobec tego Delacroix w najlepszym stylu. Kasjerzy ekspedycji każą zabrać skarb — około trzech milionów. Niema powodu do obaw: ani jedna z tych rąk, zahartowanych od żelaza, nie umiałaby zagarnąć dla siebie najmarniejszego papierka lirowego. Płoną pochodnie. Zdawałoby się, że to scena w „hallu“ jakiegoś *vikinga* północy.

A oto Komendant.

Rozbrzmiewa pieśń, triumfalna pieśń Arditów:

„*Giovinezza, giovinezza,
Primavera di bellezza.*“

Wzniosła pieśń, która wytrysła samorzutnie w tragicznej godzinie nad Piave z głębin serca tej samej rasy; pieśń, której nie napisał nigdy żaden poeta, pieśń, której Goethe pozazdrościłby Dantemu!

Giovinezza — młodość, *primavera* — wiosna, *bellezza* — piękno! Czy nie jest to ta sama pieśń, która niegdyś, na falistym wzgórzu Fiesole wykwitła na wargach Wawrzyńca Wspaniałego?...

„*Quant'e bella giovinezza
Che ci fugge tuttavia!*“¹⁾.

Odwieczne myśli, bezkresne żale „potęgi ludzkiej“, liście jesienne, rozproszone na wietrze, łkania Homera i Antygony, ból,

„*ch'uom morto non risurge a primavera*“ — że człowiek, co umarł, nie wskrzesza wraz z wiosną.

D'Annunzio powiedział pewnego dnia w Fiume:

— Los uczynił mnie księciem młodości u schyłku mojego życia.

¹⁾ Jak piękna jest młodość, która umyka przed nami ustawicznie!

IV

PALAC

Obszerny, wygodny; pałac zresztą jak wszystkie inne pałace.

Oto cały wierny jego opis, owego „*Palazzo di Fiume*“.

Quelconque. Nieokreślony ten przymiotnik określa go lepiej aniżeli wszelkie określniki. *Quelconque*, przeraźliwie *quelconque*. Bylejaki.

Same festony i girlandy w niedającym się prześcignąć złym guście. Podwójne schody marmurowe prowadzą do wielkiego przedsionka z dachem szklanym, mającym udawać styl Odrodzenia, a przypominającym raczej wejście do zakładu wodoleczniczego. Zaoszczędzę czytelnikowi opisu sali jadalnej, białego salonu i trzech loggii z żółtego marmuru na pierwszym piętrze, wychodzących na przedsionek.

Same listewki na kolumnach... Tu i owdzie piękny dywan i dwie kadzielnice chińskie z cyzelowanego brązu u stóp klatki schodowej: znikną one tu końcowi listopada.

Co się tyczy pozostałych ozdób... na każdej ścianie każdej sali zawieszono portrety magnatów węgierskich: olbrzymi, pyzaci, brodaci, pyszni, smagli; wszyscy gubernatorzy Fiume, zacząwszy od wie-

ku XVII! Biedni magnaci! Ładnych się nasłuchają rzeczy!

Do pałacu nie wchodzi każdy, kto chce; „*a Palazzo*“ — jak mówią Legjoniści — czuwa oddział gwardji z wartownikiem przy każdym wejściu. Wymienić trzeba kilka haseł, zanim się uzyska możliwość dostania na pierwsze piętro, gdzie rezyduje Komendant, gdzie przyjmuje on odwiedzających. Nikt — poza oficerami ordynansowemi i sekretarzami — nie może być wprowadzony bez uprzedniego zameldowania.

W pałacu mieści się około dwudziestu urzędów: Generał, komenderujący dywizją, Szef Sztabu marynarki, Szef Gabinetu Komendanta, oficer łącznikowy: urzędy, urzędy... „Sekretariat Oosobisty“ zaśługuje na wzmiankę: tutaj obmyślane są i przygotowywane najzuchwalsze „*coups-de-main*“, tutaj stają do raportu emisariusze, rozsyłani po wszystkich dzielnicach Włoch. W pierwszych dniach listopada 1919 był „Sekretariat Osobisty“ najżywotniejszym organem Komendy. Powiedziałem w „pierwszych dniach listopada“, jakkolwiek przez cały czas trwania „Imprezy“ nie ustawano w tworzeniu, znoszeniu, zmienianiu czy przeistaczaniu funkcji i urzędów.

„*Legge, moneta, e ufficio, e costume*“ — przepisy prawa, pieniądz, urząd i obyczaj — wszystko w „*Palazzo di Fiume*“ zmiennie było i chwiejne.

„*Ardisco non ordisco*“ — śmiem, nie knuję — wypisane jest na papierze listowym, na proklamacjach.

„*Ardisco non ordisco*“ — powtarzają artykuły w pismach.

Niestety, dumne to hasło przestaje być prawdziwem u stóp żółtej klatki schodowej. Pięćdziesięciu, sześćdziesięciu oficerów, przeważnie młodzieńskich, upoiło się zdobytą nagle władzą, radosną dumą, że oto stali się pewnego dnia „małemi osobistościami“. Tworzą się „klany“. Obozy, wzajem zwalczające się i obmawiające; każdy z nas ma swoich protektorów i swoich protegowanych, swoich pochlebców i swoich zawistnych. Najbliżsi Komendantowi — i najmłodsi zwłaszcza — stali się celem ataków podziemnych ze strony wszystkich tych, którzy chcieliby być na ich miejscu. Moglibyście coś o tem powiedzieć, drodzy przyjaciele: Ludovico Toeplitz, Eugenio Coselschi, Guido Keller, Antonio Masperi!

Czyż nie mówiono, że tworzyliśmy dwór, bizańtyński dwór naszego Basileusa? A dziennik „*Tempo*“ czy nie ogłosił pewnego dnia poważnych rewelacji, wieści, jakoby sekwestrowało się Purpurata?

Nie; naprawdę nic tu nie przypominało Bizancjum... Rzut oka na stół jadalny wystarczy do ustalenia tego faktu. Komenda mieści trzy sale jadalne: należą do sali Nr. 1, tej, w której zasiada do stołu Komendant.

Stół jest skromny, chleb czarny prawie, kawa —

liczy cienkusz. Komendant spożywa często śniadanie lub wieszczę w swoim pokoju, i wówczas miejsce jego pozostaje niezajęte. Sala jadalna Nr. 1 jest nieco ponura. Jedynie szefowie wydziałów mają prawo należenia do niej: przeważają majorzy i pułkownicy.

Z pośród młodych Coselschi i Bracco, bersaljer-cyklista: drogę z Archangielska do Fiume przebył na rowerze jednym rozpedem. Waleczny kapitan, zarazem człowiek bystrego umysłu, roztropny, „*del mondo esperto*“ — znający świat nawylot — przywiózł z sobą jakiś powiew rosyjskiego powietrza: jasnego, olśniewającego, zupełnie odmiennego od tego, jakim się oddycha nad Białym Morzem, pośród Sztabów Generalnych międzyaljanckich czy pośród baronów bałtyckich na wygnaniu.

Wszystko dokoła mnie ma cechę wojskową, wszystko „nosi gwiazdki“: biesiadnicy, usługujący; nie wyłączając Alessandry Porra, łagodnej i bolesnej, której towarzyszy nieodstępnie cień bohatera. Stworzyła ona dom żołnierza, własnymi rękami rozdziela żywność i zasilki cywilnej ludności; o każdej porze widzi się ją, idącą i powracającą, niepoddającą się nigdy zmęczeniu, w czarnej krepie żałobnej.

Pośród takiego jaśnienia świetnych mundurów, jakim zgrzytem jest mój żakiet!

Ofiarowują mi wielokrotnie stopień podporucznika w „Legji dalmatyńskiej“, pułku nieregular-

nym, w którego skład wchodzi kolega amerykański, Furst! Odmawiam. Ubiór cywilny zapewnia mi niezależność, bodaj nawet nadaje mi pewną korzystną cechę odrębności.

Kilkakrotnie w ciągu tygodnia zmienia się wygląd sali jadalnej: kryształ, kwiaty; zasiadamy do stołu w trzydzieści, czasem w czterdzieści osób. Goście; goście, przybyli zdaleka, których Komendant zaprasza zawsze do swojego stołu. Uzupełnia się wówczas program jakimś numerem wyjątkowym: sprowadza się ciasta od Pivy, patentowanego cukiernika; otrzymał on dyplom z własnoręcznym podpisem Komendanta, ozdobiony cytata łacińską: ETIAM EX AMARO DULCEDO. Będziemy mieli szampana czy inny surogat, mniej lub więcej równowartościowy („Persia“!), bodaj nawet i czekoladki.

Godzina pierwsza po południu: goście przechadzają się tam i zpowrotem po przedsionku, jak gdyby czekali na pociąg. Ale oto rozlegają się powtarzane kilkakrotnie dźwięki gongu: zamieszanie dosięga szczytu — i nagle z małych drzwiczek wysypuje się orszak jak w momencie wydzwaniania południa na zegarze Katedry Strasburskiej: d'Annunzio, jego oficerowie ordynansowi, sekretarze. Prezentacje: przybysze, którzy zaniemówili w pierwszej chwili z onieśmielenia, zdumieni są, widząc przed sobą człowieka, tak prostego, uśmiechniętego, gościnnego; kto wie, spodziewali się może urzeć go, obnoszonego w triumfie na sedji papieskiej.

Komitet stronników Fiume z Bolonji, Wenecji czy Neapolu. Deputowany, który przepadł na ostatnich wyborach, dziennikarz z Chicago z kodakiem w rękę, japoński poeta, francuski pisarz, „*voyageur éslettes*“ czy propagandzista belgijski. Dla każdego właściwe słówko, czarujący uśmiech... I nigdy najmniejszej pomyłki; nie zdarzy mu się nigdy zwrócić ze słowami zachwytu nad „bohaterską Belgią“ do Japończyka, ani przypomnieć Hokusai rumuńskiemu mężowi stanu. Nigdy też zaznaczanie uprzejmości doktora Balanzona ani jego sądu w sprawie Banatu nie będą skierowane do neapolitańskiego adwokata.

O czym mówi się przy stole? Czy wogóle „mówi się“? — nie przypominam sobie doprawdy! Ale on! To, co mówi on, zapamiętałem dosłownie. Aby utrwalić to sobie w pamięci, posługuję się maleńkim błękitnym notatnikiem, z którym nie rozstaję się ani na chwilę; przy stole rozpościeram go sobie na kolanach, pod obrusem: raz wraz kreślę na jego stronicach ołówkiem parę słów, nie opuszczając nań ani na chwilę oczu. Pewnego pięknego dnia podstęp mój zostaje wykryty: współbiednicy bawią się moim kosztem; Komendant śmieje się: w gruncie rzeczy nie jest niezadowolony. Nie wszystkie jego powiedzenia są godne zapamiętania, nie utonie wszelako w morzu niepamięci ani jedno wypowiedziane przez niego słowo!

Nadszedł moment przemówień. Komendant wstaje. Wszyscy zrywają się z miejsc. Zwroty, peł-

ne zapadu: „...O, wy, którzy przybywacie z...“, i oto defilują przed nami „czerwona Bolonja“, „słodka Wenecja“, „Florenceja Dantego“ — zależnie od okoliczności. Nierzadko zespala się z nazwą miasta zaimek dzierżawczy: „słodka moja Wenecja“, „moja Florenceja“... Dziękuje gościom za to, że przybyli i wypowiada ustnie posłannictwo, jakie ma im do zakomunikowania: „Powiecie waszym współobywatelom, że Fiume... że Legjoniści... że świat... Obco-krajowcy wysłuchują przypominania im narodowych ich sław: Shakespeare'a i Milтона, Abrahama Lincolna, Wiktora Hugo i Króla Alberta; coś dla każdej parafji i dla każdego kościoła. W momencie końcowego „alalà“, wykrzykniętego jednym głosem przez wszystkich współbiedników, błyszczą w wielu oczach szczere łzy. Mówcy odpowiadają z mniej lub więcej wzniosłym oratorstwem. Zdarzyło się raz, że Harukishi Shimo — zadeklamował wiersz japoński.

Wieczornica podobna — omal nie powiedziałem Wieczera — powtarza się parokrotnie w tygodniu. I zawsze w tych improwizacjach na wiecznie ten sam temat, w tym drobnym motywie, obrabianym w dalszym ciągu bez końca, ile szczęśliwych pomysłów, ile kwiecistości wyrażień, świeżych jak malina, dźwięcznych jak dzwon! Jakże działają tu czary? Gdzie owo źródło ukryte, z którego Gabryel d'Annunzio czerpie wszystkie te skarby? Studnia niewyczerpana?

Powiedział kiedyś:

„*Il segreto di Fiume è la verità del mondo*“ —
Tajemnica Fiume jest prawdą świata.

Przy stole dawny duch wojenny wskrzesza nie-
raz ponownie. Bardzo rzadko zresztą. Prawie za-
wsze błysk taki wywołuje obecność cywila: któregoś
z wybitnych fiumeńczyków, deputowanego „w ob-
jeździe“, kobiety. Przelotna iskra, wyblaskująca
w podobnych momentach, rozpalająca się przez
chwilę, spadająca i gasnąca. Bojownicy, żołnierze
nie mają dawnego ducha wojennego: pokonała go
pokonana wojna.

Niech tylko jednak zjawi się „napychacz cza-
szek“: wnet puszcza rakiety podżegających frazesów,
groźnie wymachuje rękami, tupie nogami. Czasem
też udaje mu się istotnie podniecić ducha tych, któ-
rzy go słuchają. Tak łatwo jest wywoływać Niena-
wiskość, czyhającą jeno na sposobność wydostania
się na wierzch! Oto pojawia się widomy znak takie-
go podniecenia na szkarłatnej, rybiej twarzy bur-
żuza, któremu udało się wykreślić ze służby woj-
skowej; roziskrza się w oczach dziennikarza, na-
cjonalisty z zawodu; triumfuje we wrzaskliwej de-
klamacji recytatorki patryjotycznych poematów. Nie
udziela się jednak większości. Starym nienawiskość
zbyt ciężko dała się we znaki; obowiązek w ich poję-
ciu nie polega na puszczeniu krwawych fajerwer-
ków retorycznych. Co zaś do młodych, tyle mają

oni zapachu, tyle wiary, tyle wyrozumiałości dla lu-
dzi i rzeczy..., że takie mowy podżegające nie wy-
wierają na nich wpływu. Nie biorą ich.

Przelotna iskra, rozblaskująca, rozpalająca się
przez chwilę, potem spadająca i gasnąca.

D'Annunzio wysłuchuje cierpliwie narzucanych
mu banalności. Uśmiechem przyjmuje niedorzeczne
deklamacje; po chwili wzrok jego staje się błędny;
myśli o czem innym. Napychacz czaszek, niefortun-
ny współbiednik, opuszcza ponuro oczy na swój
talerz, myśląc z pogardą o marności naszych czasów.

O, piękne lata minione; czasy błogosławione;
misje wspaniałe na tyłach frontu; o, śniadania
w Głównej Komendzie! I służba propagandowa!
Sleeping na koszt rządu. Miła zażyłość z dyploma-
tami, z mężami stanu, z księżętami krwi; wizyty ofi-
cjalne, oddawane armjom sprzymierzonym, wzajem-
ne prezentowanie okrucieństw.

Przelotna iskra, rozblaskująca, rozpalająca się
na chwilę, potem spadająca i gasnąca.

Po jedzeniu przechadzka po ogrodzie; to pora
fotografa. Każdy żywi tajemną nadzieję uwiezie-
nia z sobą dotykalnego świadectwa bytności w Fiu-
mie. Fotografii, na której paradytuje obok Gabrjela
d'Annunzio w swobodnej pozie, na jaką pozwala
migawkowe zdjęcie.

I wielu Legionistów także, i to nie z pośród najmniej wybitnych, pała pragnieniem ujrzenia się po lewicy czy po prawicy wielkiego człowieka: zyskania „dokumentu“ dla historii przyszłości, „dowodu“, niezaprzeczalnego, nieodpartego: I JA TAM BYLEM!

Zaledwie dostrzegają na widnokręgu zacnego, Anzelma z jego aparatem, spieszą wszyscy — oficerowie, żołnierze, zaproszeni — ptactwo na żer. Próżność, próżność, próżność! Towarzysz mój, Guido Marchesani, kapitan walecznych, umysł wytworny i wysubtelniony, nazwał ten pęd „polowaniem na obiektyw“.

Goście odjeżdżają, zabierając z sobą podpisane pocztówki, wstążeczki, medale. My z kolei powracamy do pracy. Wąskie, źle oświetlone schody prowadzą na pierwsze piętro. Komendant zamyka się znów w swoim pokoju.

A oto „Sekretarjat Osobisty“. Biedny, biedny Eugenjusz Coselschi! Inwalida wojenny, udekorowany kilkoma medalami. Sądzę, że subtelny poeta florencki dać musiał dowód stokroć większego samozaparcia, większego bohaterstwa, większej rezygnacji i ofiarności w przedpokojach „Palazzo di Fiume“ aniżeli w okopach Karstu. W ciągu trzech miesięcy byłem świadkiem jego męczeństwa, współ-

czującym obserwatorem jego nigdy niekończących się cierpień.

Jakie jest zadanie osobistego sekretarza? Co robi? Raczej, czego nie robi?... Musi regulować sprawę posłuchań, układać program dnia, odbierać i przeglądać pocztę, przedstawiać Komendantowi streszczenia artykułów z prasy włoskiej i zagranicznej, przyjmować gości. GOŚCI? Osobistości ze świata politycznego, także przedstawiciele kleru, dziennikarzy, osobistych przyjaciół, wielbicieli i „wielbiicielki“! Nie koniec na tem. Hałaburdów, darmozjadów, pieczeniary, awanturników i „awanturnice“. Jak odróżnić ziarno od plew? Jak przeciwstawić się temu tłumowi, nieubłaganemu, niedającemu ani chwili wytchnienia, ściągającemu ze wszystkich stron świata na próg tego domu, rozkładającemu się tutaj obozem i sposobiącemu się do regularnego oblegania go? Każdy ma ważny list do wręczenia, doniosła wiadomość do zakomunikowania, musi za wszelką cenę zobaczyć się z d'Annunziem, bodaj na jedną chwilkę tylko.

Prawie nieodmiennie idzie o błahostki. Jak odmówić, nie urażając; przyobieczać z myślą niedotrzymania; zwlekać, nie zniechęcając; znajdować zawsze wymówki, mniej lub więcej usprawiedliwione? Oddawać nieobecność i wyjście, które nie mają miejsca, wymyślać nieistniejące migreny? Coselschi umie wykręcać się z istic czarodziejską zręcznością. Komendant nie ponosi nigdy winy. Chciałby z całej

Pod skrzydłami d'Annunzia — 7.

duży... byłby szczęśliwy... nie pragnie niczego goręcej... gdyby tylko... Uprzejmy i umiejący ułagodzić wszystkich i wszystko „sekretarz osobisty“ nie szczędzi ani słów pocieszających, ani gestów serdecznej zachęty: głos jego przybiera zawsze intonację szczerego smutku, ciepłego współczucia, zgnębienia nieledwie, ilekroć „zmuszony“ bywa do grzecznego wskazania drzwi.

„Komendant przyobiegał“. Komendant przyobiega zawsze. Że zaś, oczywiście, fizykiem niepodobieństwem byłoby dotrzymanie zaciągniętych milionowych zobowiązań, wynik jest taki, że jedynym winowajcą okazuje się stale Coselschi! Nad biedną jego głową gromadzą się góry uraz i żalów. Inny na jego stanowisku nie wytrzymałby ani trzech dni nawet. Coselschi zwlekaniem i odkładaniem na dogodniejszą porę, składaniem winy na to i owo, czasem na jedno i drugie równocześnie, potrafił utrzymać się przez dziewięć miesięcy bezmała.

Ulegając pewnego dnia napadowi złego humoru, zbeształ go d'Annunzio w sposób okrutny: tyle tylko, że nie kazał zaszyć go w skórzany worek i wrzucić do zatoki, jak wygrażali się nieprzyjaciele jego, że uczynią to własnymi rękami, o ile nie zostanie zniesiony „sekretarjat“, a sekretarz odprawiony. W kilka tygodni później będzie Komendant niezmiernie rad, że znajdzie Eugenjusza bardziej oddanego, nieskazitelnej jeszcze wiernego, szczerzej przywiązanego niż kiedykolwiek: wojaka, a przecie

ludzkiego, roztropnego obrońcę i zarazem melodyjnego poeę.

Nietylko zresztą sekretarz osobisty zmuszony jest stawiać czoło nadpływającej i rozbijającej się o próg fali. Iglioni¹⁾ i Cais de Pierlas, dwaj oficerowie ordynansowi, mają też sporo roboty. Co się mnie tyczy, pozostaję wraz z Furstem pod komendą Eugenjusza Coselschi'ego. Mój wydział stanowią dzienniki francuskie i poczta z Francji i do Francji; obowiązkiem moim jest też przyjmowanie i oprowadzanie pò Fiume dziennikarzy oraz innych gości cudzoziemskich, których językiem macierzystym, czy używanym w podróży, jest francuski. Anglo-Amerykanów ma w swojej pieczy Furst. Jak tylko zjawia się „klijent“, zaczynam stosować faszerowanie jego mózgowicy w sposób najbardziej skuteczny. Bierzemy tedy samochód i... zwiedzamy miasto; wszystko, co łaskawy czytelnik czy łaskawa czytelniczka oglądali, prezentowane im w rozdziale drugim.

Jesteśmy nieubłagani. Jedynie wtedy, gdy nasz pupil, dzięki szczeroci uczuć i inteligencji odpowiedzi wydaje nam się „*dignus intrare*“, zaczyna być

¹⁾ Porucznik Iglioni, ciężko okaleczony na wojnie, w następstwie generala milicji faszystowskiej, jest jednym z tych, którzy odegrali decydującą rolę w marszu „czarnych koszul“ na Rzym w październiku 1922 r.

mowa o przedstawieniu go Komendantowi. Ostrożność konieczna. Pewna dama z północy, korespondentka wielkiego dziennika północnego, nie zaważała się zapytać mnie pewnego dnia, która z wysp, wylaniających się na horyzoncie w głębi Carnaro, jest Korsyką.

— Chce pani powiedzieć zapewne — Cherso?

— Ależ nie, nie — dokładnie określiła literatka. — Korsyka, gdzie się urodził Napoleon...

Innym razem pewien polecony nam przez największe znakomitości dziennikarz anglosaski miał być przedstawiony Komendantowi podczas obchodu wojkowego święta w Cantrydzie. Obaj z Furstem udaliśmy się do niego do hotelu, gdzie zastaliśmy go przy stole, a przed nim ustawionych rzędem siedem kieliszków Sherry Brandy: uważaliśmy za właściwe przeprosić go, ale ciężko obracający się język odpowiedział nam:

— *Oh, I'm not in company! I'm just having a little fun by myself.* — O, nie jestem w towarzystwie; zabawiam się tak sam.

Nie było na to nic do powiedzenia; pozostawiliśmy też pijanicę przy rozkoszach jego samotności.

Przedefilowały przed nami osobistości nieprzeczuwane i nieprawdopodobnie komiczne. Piemontczyk, który przyjechał, aby przedstawić nam swój system polityczno-filozoficzny, mający uszczęśliwić ludzkość i polegający na stworzeniu powszechnej instancji sprawiedliwości o charakterze imperjali-

stycznym, rodzaj Rzymskiego Senatu. Poeta, który napisał ode, obejmującą conajmniej 500 wierszy na cześć Komendanta. Chce odczytać wobec d'Annunzia owoc swojej pracy i przybywa w tym celu, chudy, wymizerowany, zziębnięty w czarnym, cienkiem swoim paletku, trzymając w czarno urękawiczowanej ręce zwój papieru: niczem posąg męża stanu na placu przed dworcem kolejowym. Nalega, rozpacza, przybył z tak daleka... Coselschi daje się ubłagać... przyobiecuje mu, że zobaczy d'Annunzia, byleby zrzekł się wydekłamowania mu ody, i zadowolnił się ofiarowaniem mu rękopisu. Wprowadzony zostaje wreszcie do przedpokoju. Drzwi się otwierają; d'Annunzio, gościnny jak zawsze, wychodzi mu naprzeciw... gdy wtem wydobywa się głos jak z podziemia: uroczysty, proroczy:

— „*O, vate, che dal ciel...*“ „O, wieszczu, co z niebios...“

Nieszczęście! Nauczył się ody napamięć! Niepodobna było już zatrzymać go.

Innym razem deputacja podoficerów przybywa z adresem po łacinie, rozpoczynającym się w ten sposób:

NOS LEGIONARES...

Autor Elegij Rzymskich puszcza mimo uszu potwornego byka, ani drgnąwszy nawet; po skończo-

nem odczytaniu adresu ofiarowuje tom własnych poezyj z dedykacją „*all'eccellentissimo umanista*“ — prześwietnemu humaniście.

Naogół jednak są goście o wiele mniej interesujący. Gabrijel d'Annunzio cieszy się największą popularnością wśród sfer mieszczańskich: dziwny los geniusza; autor „*Laudi*“ jest prorokiem w swoim kraju, nadewszystko wszakże jest prorokiem burżuazyjnym. Rzecz zrozumiała. Bardziej niż jego wiersze popularne są jego powieści: miliony czytelników odczytują je z zapalem. „*Ogień*“ i „*Rozkosz*“ przemawiają zwłaszcza do wyobraźni mieszczańskiej: ludowi obce są tajniki kosmopolitycznego zbytku i elegancji, nie odczuwa on też potrzeby uświadamiania się w tym kierunku; aspiracje zamożnego wieśniaka nie różnią się wielce od aspiracji chłopca stajennego. Marynarz i właściciel okrętu tak samo, jak robotnik i przemysłowiec, o ile lojalnie poświęcają się odmiennym rodzajom swoich zadań, dążą w rzeczywistości do jednego i tego samego celu, znacznie przerastającego osobisty ich dobrobyt materialny — mają na względzie „powodzenie wspólnej imprezy“. Ta teoria Waltera Rathenau'a, zrodzona z niemającego precedensu doświadczenia socjalnego, wydaje mi się nader przekonującą.

Życie, wypełnione rozrywkami i próżniactwem, jakie prowadzą bohaterowie „*Rozkoszy*“, nie bę-

dzie nigdy pociągało człowieka, świadomego, że ma zadanie jakieś do spełnienia, człowieka, który nakreślił sobie w życiu drogę, uważając, że jest ona drogą obowiązku i cnoty, ponieważ w kroczeniu nią właśnie znajduje szczęście. Z drugiej zaś strony ludzie światowi, którzy niezawsze widzą samych siebie, odtworzonych ze zbytnią dokładnością na chromolitografjach dannunzianowskich, niełatwo dają się olśnić kaskadami brylantów i naszyjnikami z rubinów, beryłów czy turkusów, które tak zachwyciły Stelia Effrena.

Nie wystarcza mężczyźnie zawiązanie stosunku z hrabiną, aby stać się odrazu interesującym. Gdy czara jest piękna, fakt, że była ona własnością Izabelli d'Este czy Katarzyny Cornaro, nie potęguje ani trochę jej piękna. A Kampanja rzymska nie zmienia się dlatego, że się przebiega ją galopem na grzbiecie wierzchowca pełnej krwi, biorąc udział w polowaniu na lisa w towarzystwie znudzonych arystokratów, raczących się wykwiłtami głupstwami w wątpliwej francuzczyźnie.

Snobizm i liczne jego surogaty, przewrażliwienie na punkcie historii, estetyczne zachwyty — nie wywierają już teraz wpływu na nikim poza najbardziej wsteczną garstką ludzi współczesnych, których Laforgue i Gide przyzwyczaili do bardziej „ziemskiego pożywienia“¹⁾. Kiedyś — kto to wie —

¹⁾ Aluzja do tytułu jednego z utworów André Gide'a: „*Les Nourritures Terrestres*“. (Przyp. tł.).

okażemy się i my sami zacofańcami: może nowe zastępy przywróca do czci prerafaelityzm, sztukę dla sztuki, „*princes of life*...” —książąt życia.—

Wówczas, spośród wszystkiego tego, co stanowiło chwałę epoki, wśród świata form, w którym znalazła swój wyraz przodująca Europa z 1890, nie będzie znów istniało dla krytyka nic bardziej harmonijnego i piękniejszego plastycznie, aniżeli długi ów szereg wizerunków i obrazów, materyj i lśniących kamieni, wobec których mężczyzna i kobieta mdleją z zachwytu, oszołomieni ich świetnością.

Na razie, subjekt sklepowy, przebiegający w południowej porze Via delle Quattro Fontane, zatrzymuje się, snując nic marzeń, przed wrotami Palazzo Barberini; czytanie powieściowych utworów d'Annunzia dało mu klucz do tej siedziby książęcej. W trakcie spożywania śniadania, złożonego z butersznytu i szklanki kawy w mleczarni przy Via Frattina — przedostaje się Andrea Sperelli aleją wiązową do wspaniałych komnat, w których Helena Muti, piękna, jaką być musiała w 1889, czeka....

Co, zdałoby się, może mieć większe znaczenie dla skromnej nauczycielki szkolnej z Medjolanu ponad niedostateczną jej pensję, ponad bezradosną pracę jej codzienną w rozprażonym jak piec mieście?! Ale oto, podskakując na roztrzęsionej ławce tramwajowej, sunie w gondoli obok Stelia Effrena, który wiezie ją, aby jej pokazać przepych siedzib patrycjuszowskich; omdlewającym gestem rozsypuje na frontonie pałacu płatki róż herbatnich...

Ten, co szczodłą dłońią sypał dary drobnemu mieszczaństwu, helotom, trzymanym na łańcuchach przez społeczeństwo burżuazyjne i całującym ręce własnych katów; ten, co dał im taką pociechę, co szeroko otworzył przed nimi świat radosnych ulud, ma najzupełniejsze prawo być dumnym ze swojego dzieła. W tym przynajmniej wypadku mała pod ręczna z pracowni krawieckiej odnosi triumf nad poetami.

Faktem jest bądź co bądź, że włoscy goście Komendanta pochodzą przeważnie ze środowisk drobnego mieszczaństwa: nauczycielki szkolne, urzędnicy biurowi, funkcjonariusze, handlowcy; czytelnicy „*Rozkoszy*” raczej, aniżeli „*Laudi*” czy „*Elegij Rzymskich*”.

A korespondenci jego! Codziennie przywozi mu poczta setki listów, które my jedni tylko czytamy. „*Donne, che avete intelletto d'amore*”¹⁾... Kobiety... nie pisujcie do Poety... daremny wasz trud...

Mnożą się najdziwniejsze przejawy adoracji: perfumiarz przysyła tuzin tubek pasty do zębów, robotnik z Kanady dołącza do listu dolara, tłumacząc się, że nie jest w stanie posłać więcej... Jakiś

¹⁾ „Kobiety posiadające inteligencję miłości” — początek najslawniejszej canzony Dantego. (Przyp. tł.).

chłopiec japoński prosi o marki pocztowe, nazywając Komendanta wujaszkiem.

Włoch, mieszkający w Buenos Aires, pisze: „Od dwudziestu lat czytam z zachwytem dzieła pańskie, które przechowuję na honorowym miejscu pomiędzy utworami Matyldy Serao i Karoliny Invernizio“. Jakaś dama komunikuje, że dotknięta jest chorobą oczu i zwraca się do d'Annunzia o poradę — właściwie dlaczego nie o lekarstwo?

Każdy znany rodzaj epistolarny ma tutaj swoje wzory: od namiętnego listu à la Werther aż do oświadczenia w stylu pigulek Pinka, napotykanego w rubryce płatnych ogłoszeń w najpoczytniejszych dziennikach. Biedna jakaś obłąkana, akuszerka w Finistere, bombarduje nas epistołami bez związku. Zdarza się także osobistościom wybitnym pisać listy kretyńskie: obowiązuje wszelako dyskrecja.

Mimo to wszystko jednak zyskuje Sekretarjat osobisty coraz większą z dnia na dzień doniosłość, dążąc coraz wyraźniej do przeistoczenia się z osobistego w ogólny. Redagowane są tutaj komunikaty, ku niezadowoleniu oficerów, stojących na czele „Wydziału Polityki Zagranicznej“ Skończy się to konfliktem i zdystansowany „Wydział Polityki Zagranicznej“ nie wyjdzie z tych zapasów zwycięsko. Straci w nich życie.

Z okazji ekspedycji do Zary podałem mój pierw-

szy komunikat. Nie brałem udziału w owej przejażdżce morskiej, która stała się powodem słynnego sprzysiężenia i zadecydowała o pamiętnym powrocie: triumf morski, orszak ukwieconych i odświętnie przystrojonych statków...

Nie brałem w niej udziału, ... że zaś nie jestem historykiem, nie będę o niej mówił.

Komendant zadowolony jest z mojej roboty: 28 listopada otrzymuje „Uroczystą Pochwałę“.

Dni i czynności następują po sobie wzajem.

Trzecia rano: przeciągnąłem pracę aż do tak późnej pory w towarzystwie najbardziej oddanego współpracownika, Henry Fursta; zabieram klucz od biura i schodzimy razem po skrzypiących schodach. W obszernych tylnych salach zajęci są jeszcze tu i owdzie oficerowie pod wyniosłem okiem porozwieszanych na ścianach magnatów.

W mdłym świetle przedsiionka czuwają wartujące straże wśród ciężkich dębowych mebli; smyrniskie dywany przygłuszają ich kroki; niżej, pod schodami, leży pokotem kilku śpiących arditów, otulonych w swoje żołnierskie płaszcze.

Czy nie tak wyglądały

„Ces palais d'Italie où dormait

l'Empereur?

v

„PRZYJAŻŃ WIELKIEGO CZŁOWIEKA“

Cichy szmer, łagodny i rytmiczny: rysik złotniczy. Pióro posuwa się po wielkim arkuszu papieru, ozdobionego rysunkami; pióro, szybkie i kapryśne, które to zatrzymuje się nagle, to znów pośpiesznie rzucać zaczyna na papier znaki: pilnik, szydełko, rysik. W przeciągu paru chwil duża biała stronica uwieńczona jest arabeską; potem druga stronica, trzecia — d'Annunzio nigdy nie pisze na odwrocie kartki. Przejrzyście błada ręka, na której błyszczą dwa nierznięte szmaragdy, tęższe na narzędziu pracy, jakgdyby pisarz usiłował przelać siłę swoich nerwów w ten kawałek nieczułego metalu, w ten drobny, drgający w jego ręce stalowy sprzączek. Lekkie nasilenie, prosta, ciężka linja pod władczym podpisem, zazębionym niczem *Dent du Midi*.

Chwila milczenia: poeta rzadko odczytuje powtórnie, nie skreśla nigdy; rzuca krótkie zdanie, a potem znów biała kartka... cichy szmer, łagodny, rytmiczny...

Wystarczy mi przymknąć oczy, abym znów usłyszał ów pilniczek złotniczy; wystarczy przymknąć oczy, abym wyczarował w mojej pamięci obraz bia-

łej kartki, na której wypisane jest godło: „*Hic manebimus optime*“ albo „*Cosa fatta capo ha*“ czy „*Ardisco non ordisco*“ abym widział znów Jego, Gabrijela d'Annunzio, siedzącego przy swoim stoliku, pochylonego nad płytką.

Jak melodji wewnętrznej, której „*la dolcezza ancor dentro mi suona*“ — słodycz dźwięczy jeszcze we mnie — nie zapomnę nigdy akcentów jego głosu, melodyjnego zarazem i słodkiego, o brzmieniu metalicznym, jemu tylko właściwem. Jakże czaruje rytm tych przejść harmonijnych, a mimo to wyraźnie rozczłonkowanych: zgłoski wyczelowane, podwójne spółgłoski, wymawiane każda z osobna dokładnie, samogłoski wibrujące: jakże czaruje taki głos, tajemniczy i powolny, słabnący czasem do najłżejszego „*pianissima*“, zamierający w szept zaledwie dosłyszalny, pozwalający, aby zdanie rozwiewało się we mgłę długiej fermaty. Potem ożywiający się znów nagle, iskrzący się, żwawy, rozbudowany, tnący jak ostrze obnażone, połyskujące w promieniach księżycy. Ci, którym dane było słyszeć go raz jeden, nigdy go już nie zapomną.

Tak muszle, pozostawione na nadbrzeżnym piasku, przechowują w zwojach swoich dźwięk morskich fal.

„Drogi przyjacielu, dzięki. Otrzymałem listy. Wracaj prędko do zdrowia. Tutaj przechodzi się od marności do marności, a ludzie pomniejszają wszystko, gdy losy wszystko wyolbrzymiają! Zachowaj się dla czystej przyjaźni.

twój

Gabriel d'Annunzio.“

Kilka wierszy... Bilecik, nakreślony naprędce... w moim pokoju chorego usłyszałem okrzyk bólu wielkiej duszy.

Zarzucają mu nieustannie niewierność, brak przywiązania do ludzi, do idei, do kobiet.

Nikt nie jest bardziej od niego skłonny do zwierzeń, nikt nie cieszy się bardziej niż on, ilekroć zdarza mu się odnaleźć szlachetne oblicze, czystą duszę, wzniosły sposób myślenia: w radosnym porywie młodzieńczym oddaje klucze swojego serca, ufa uległej zmii, która otarła się o jego nogi. Ale rozczarowania nie dają na siebie czekać; ci, którym udało się narazie zdobyć go, próbują wykorzystać jego genjusz: szydzą z jego ufności, okłamują całą jego istotę, ofiarowaną im w porywie. Celem ich jest ujarzmić i wprząc do swojego wozu porywcę ognia, przekuć płomienny miecz jego słowa na użytkowe i dochodowe narzędzie albo też na miłą ozdobę, zadawalniającą w przyjemny sposób ich próżność.

Pod skrzydłami d'Annunzia — 8.

Wówczas, dotknięty do żywego, buntuje się. Idea zbeszczeszczona, zdradzona sprawa, judaszowe uśmiechy, sprofanowane piękno... Wszystko to staje mu przed oczami i w sercu jego osadza się męt pogardy: pozostaje już potem nieczuły na łzy, na krzyki, na skargi i groźby jednostek i tłumu. Nie spoczywa wszelako beczynn timer, myśl jego zwrócona jest nieustannie ku nowym ideałom. Marzenia, które dotychczas nie przemknęły błyskawicą bodaj przed oczyma jego duszy, wypełniają teraz ją całkowicie; bogatszy w nowe smutki i nowe radości idzie za coraz wyższ timer swoim przeznaczeniem. „A wszystko pomniejszają ludzie, gdy wszystko wyolbrzymiają losy...”

Czy i ja także opuściłem bohatera w niebezpieczeństwie, zaparłem się mistrza?

Omal tego nie uczyniłem.

W połowie grudnia 1919 wody fiumeńskie zmały się. Układy, wszczęte z rządem Nitti'ego, bliżkie były dobiecia do mety; generał Badoglio w imieniu rządu włoskiego przedstawił projekt *modus vivendi*, który Rada Narodowa, po wprowadzeniu pewnych drobnych zmian, pośpieszyła zaaprobować.

Komendant d'Annunzio, któremu Rada powierzyła najwyższą władzę, dał zlecenie majorowi Giurriati i komendantowi Luigi Rizzo, aby reprezentowali go przez cały czas układów.

Po kilku dniach pobytu w Rzymie — dokąd wezwał ich hrabia Sforza, w owym czasie podsekretarz Stanu w Ministerjum Spraw Zagranicznych — wydało się obu ambasadorom, że propozycje rządowe możliwe są do przyjęcia.

Zasadniczą ich treścią było uznanie przez Rząd woli, wyrażonej przez wolne miasto Fiume w dniu 30 października 1918 roku, i zobowiązanie się do nieuznawania żadnego rozstrzygnięcia, odmiennego od owej woli miasta; do udzielenia Fiume wszelkich środków, koniecznych do gospodarczego jego odrodzenia się; do uszanowania miejscowej milicji: „Legji fiumeńskiej”; wreszcie do zarządzenia, aby miasto zajęte zostało przez wojska wyłącznie włoskie i do zagwarantowania nienaruszalności całego obszaru *corpus separatum*.

Dla chytrego Cagoi najbardziej uchwytnym wynikiem takiego *modus vivendi* było pozbycie się w eleganckiej formie Gabrjela d'Annunzio. Dobrze wiadomo było, że Komendant nie pozostałby nigdy w Fiume jako „dowódca strażaków” na czele miejscowej milicji. Byłby opuścił Fiume i wyjechał do Tokio, do Wenecji, na koniec świata; a tego właśnie chciano.

Ale ludność Fiume nie zgodziła się na takie stawianie kwestji. Z chwilą, kiedy dowiedziano się prawdy — mianowicie, że przyjęcie *modus vivendi*

spowoduje odjazd Komendanta — wylegli fiumeńscy na plac jak jeden mąż. Przez szereg dni rozgrywały się dziwne sceny: setki kobiet i dzieci oblegały parkan, otaczający pałac, wzywały d'Annunzia i błagały go o interwenjowanie u Rady Narodowej. Ilekroć wychodził, otaczał go tłum, tłocząc się dookoła niego z wszystkich stron, czepiał się jego ubrania, płakał.

„Tłum, tonący we łzach...“; śmiałem się w swoim czasie, czytając „*Borysa Godunowa*“, myśląc o całej niedorzeczności podobnego widowiska... Teraz sam je oglądałem na własne oczy i nie przejąłem się nim! Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z lirycznej gwałtowności tego tłumu, zdecydowanego na wszystko, byleby utrzymać swojego zbacwcę, byleby nie opuszczać go w godzinie próby. Nie rozumiałem lekcji, jakiej mi tłum ten udzielał.

Stała podejrzliwość, przesada słów, brutalność niektórych gestów budziły we mnie odrazę. Komendant odwołał się do plebiscytu. Wyborcy — zawsze ci sami, „upoważnieni“! — wezwani zostali do wypowiedzenia się za lub przeciw ugodzie z Rządem. Wiadomo było zgóry, jaki będzie wynik takiego zarządzenia. „Wyborcy“ odpowiedzieli „tak“ wówczas, kiedy całe miasto ryczało „nie“! Zamieszki i dzikie zbiegowiska nie ustawały.

Raz jeszcze „*Bal des Ardents*“, odtąńczony na pokładzie „*Naus Stultitiae*“.

Legjoniści coraz bardziej byli rozgoryczeni; obiegały wśród nich pogłoski o rychłym przyby-

ciu francuskich kontyngensów, które czekały pomalutko na podpisanie układu, aby zająć miasto w imieniu Konferencji.

W tym stanie rzeczy major Reina, ten, który w noc Ronchi pierwszy stanął u boku d'Annunzia, został zaaresztowany wskutek niedorzecznego oskarżenia go o „zradę“. W rzeczywistości Reina, w którym dyplomata zwyciężył żołnierz, nie zapomniał ani na chwilę w trakcie układów z generałem Badooglio, że mówi z przełożonym, a nie z „pełnomocnikiem“. Niewątpliwie nie okazał całej niezbędnej stanowczości, ani też był *in the right place* w charakterze Szefa Głównego Sztabu Komendanta. Nic w jego przeszłości walecznego bojownika i wzorowego oficera nie usprawiedliwiałoby wysunięcia go na przedstawiciela d'Annunzia, jawnie buntującego się przeciwko wszystkiemu na świecie, co mogło nosić cechę wymuszenia, hierarchji czy obyczaju, który zyskał prawo obywatelstwa.

Bądź co bądź zaaresztowanie go, dokonane przez wrzaskliwą gromadę młodziutkich oficerków, zaskoczyło mnie boleśnie. Zamknięty w własnym swoim, sąsiadującym z moim biurem, pokoju w Komendzie, czekał Reina na decyzję przygodnych swoich „sędziów“. Nie mogłem pogodzić się z myślą, aby w pałacu fiumeńskim miała powtórzyć się historia *Bonnivard'a*. Jakiegokolwiek rodzaju mogły być błędy, popełnione przez byłego Szefa Głównego Sztabu, nie zasługiwał on w żadnym razie na podobne potraktowanie go.

Stało się więc, że 19 grudnia zawiadomiłem d'Annunzia o postanowieniu mojem opuszczenia Fiume. Nie próbował mnie zatrzymywać. „Byłeś — rzekł — świadkiem naocznym; byłbyś mógł stać się historjografem imprezy; nie chciałeś“. Wyjawiłem mu moje obiekcje. „Ktokolwiek zechce krytykować działania moich oficerów, spotka się z mojej strony z bezwzględną opozycją“ — odparł sucho; poczem powtórzył mi, że kontrtorpedowiec francuski „*Touareg*“ zarzucił kotwicę na wodach Abbazji. Nie było to prawdą; mówiąc to jednak, działał w dobrej wierze, jako że informatorzy jego — może umyślnie — wprowadzili go w błąd. „Nie lubię mówić nikomu przykrych rzeczy — zakończył — ci, którzy byli moimi towarzyszami, będą nimi zawsze; będziemy wszelako odróżniali dobrych fiumeńczyków od złych“.

Nazajutrz mały parowczyk wysadził mnie na ląd w Volosce, skąd już bez przeszkód dotarłem do Wenecji.

Nagle zetknięcie się z rzeczywistością; pograżenie się znów w odmęt życia przyziemnego i pospolitego; jękliwe skargi oszukanej Europy... Wenecja, obojętna i omdlała, wydała mi się najbardziej plotkarskiem ze wszystkich miast prowincjonalnych: o ile mówiło się o Fiume w południe na Piazzie — po stronie słonecznej pomiędzy Quadri i Laveną — interesowano się jedynie powtarzaniem sobie wzajem

śmiesznie niedorzecznych historyjek o neronowskich orgjach, o bankietach, na których autor „Laudi“ miał jakoby wcielać się z kolei w Baltazara czy Trymalchjona, a towarzysze jego — odgrywać rolę Rycerzy Okrągłego Stołu.

Pusta gadanina kosmopolityczna. Spotykam znanego, wybitnego Francuza: zachwyca się wielce „*Danon-Ciaux*“, zaznacza jednak, że poeta przebrał miarę. Napada na Konferencję, ośmiela się buntować przeciwko Clémenceau!... *C'est intolérable!*...

Pompatyczne, słuszne w zasadzie przemówienie mojego interlokutora zdumiewa mnie zarazem i bawi; grzeczną i ponurą intonacją głosu wypowiada ważne frazesy, w jakie obfitować musiały w owym czasie naczelne artykuły *Constitutionnel'a*.

Na pokładzie *Pittsburgha* grzmia amerykańskie fanfary. Marynarze, wysiadłszy na ląd, kupują „*Ricordi di Venezia*“ — pamiątki weneckie. Lubią tę Wenus Adrjatyku! Wszakże szef ich postanowił miał pono zabranie szczegółowego planu miasta, aby kazać sobie zbudować w Kalifornji dokładną jego kopję! Sam wyraził się o tem: „*it will be a fine job*“ (będzie to wspaniała robota).

W hotelu Danieli tańczą; na Piazzie młode parki w podróży poślubnej kręcą się dokoła gołębi; nikt nie chce słuchać utyskiwań „Adrjatyku, niezaznajacego spokoju“: zablokowane Fiume, Istrja skazana na zagładę przez „linję Wilsona“, Dalmacja na dogasnięciu; Czarnogórze, skoszone pomimo śmiałego protestu angielskich parlamentarzystów, pomimo

przerazającego raportu hrabiego de Salis, dokoła którego starannie zorganizowano konspirację milczenia; Albania, zdradzona przez Nitti'ego i już ściągająca hordy do najścia na Vallone... W hotelu Daniela tańczą, a wiatr morski przywiewa jeno groteskowe zwrotki muzyki murzyńskiej z pokładu krążownika „Yankee“.

Untergang des Abendlandes?

Nie pozostanę tutaj, ani też nie pojedę do Rzymu. Czuję, że potrzeba mi samotności, oddalenia, zapomnienia: spędzę koniec zimy w Syrakuzach, w owej willi Politi, gdzie drzemie jeszcze siostrzana zjawia mojego wieku młodzieńczego.

Następnego rana poczta z Fiume z listami dla mnie; odrazu poznaje „Jego“ pismo.

„Drogi mój przyjacielu,

tutaj wszystko uspokoiło się; Rada Narodowa uznała mnie po raz trzeci Zbawcą Fiume. Deklaracje Rządu wykazują, że tylko ja jeden widziałem rzeczy jasno. *Le borgne est roi entre aveugles*. Nieobecność twoja jest dla nas bolesna; brak nam twojej pracy.

Nie tracimy nadziei ujrzenia cię jeszcze tutaj. Zaczny Furst chciał jechać dzisiaj wieczorem po ciebie. Zgnębiony jest, że nie może pracować z tobą. I my także żalujemy tego bardzo.

Śmiejemy się z niezliczonych bajek, obiegujących państwo.

Tutaj po pięknych chwilach następują smutne i tak dalej kolejno. Onegdaj odbyliśmy cudowne zebranie nocne na wzgórzu nadmorskiem przy świetle pochodni.

Wróć, jeśli możesz.

Tylko tutaj jest światło, jest życie.

Twój

Gabriele d'Annunzio.

28. XII. 1919.“

Odnalazłem życie i światło; chce mi się krzyknąć z radości, przekrzyknąć morze, wrzeszczeć tak głośno, ażeby mój wrzask radości dotarł aż do głębi Carnaro.

Zatelegrafuję do niego wprost: znam sposób niezawodny, aby telegram go doszedł. Co wszelako można telegrafować do Gabrijela d'Annunzio? Dopomaga mi Pismo:

„*Beatus populus, qui scit jubilationem. Quia melior est dies una in atriis tuis super millia*“.

Urzędniczka patrzy na mnie podejrzliwie:

— Cóż to za język?

Odpowiadam bez wahania:

— Angielski.

— Spodziewaliśmy się ciebie, spodziewaliśmy się ciebie!

Okrzyki, powitania, wesoly rozgwar; zbłąkana owieczka powróciła do owczarni.

Pospołu z Ludovico Toeplitz'em de Grand Ry obejmując kierownictwo „Wydziału Spraw Zagranicznych“, zorganizowanego na stałe 12 stycznia 1920.

Manna o smaku cierpkawym dostała mi się odtąd w dziedzictwie.

Czy przyjaźń wielkiego człowieka jest naprawdę *un bienfait des dieux* — dobrodziejstwem bogów? W rozprażonej do czerwoności atmosferze Palazzo di Fiume nie istnieją dla mnie zakazy: o każdej godzinie dnia i nocy wolno mi przekroczyć potrójny szereg straży i przedostać się aż do samego *sancta sanctorum*, do komnaty, obitej chorągwiemi, w której czuwa poeta.

Na czarze z brązu płoną kadzidła; w czarze z kryształu dwie róże, z których cicho opadają płatki; wytworna czekolada leży na dnie czarzy ze srebra, która w czerwcu zamieni się na piedestał góry truskawek. O wszystkim tem lepiej nie wiedzieć. Te małoznaczne szczegóły zasilają legendy. Pomińmy je.

„Powiedz, że jest broń i trofea...“

Na stoliku — białe kruki bibliograficzne — oprawy z szesnastego stulecia. Na fortepianie partytura *Peleasa i Melizandy*, otwarta....

Śmieją się pospolite natury z podobnych atrybutów estetycznych, które nigdy nie przestają otaczać poetyckiego naszego Cezara, dokądkolwiek się udaje, czemkolwiek się zajmuje. W tej komnacie

„Palazzo di Fiume“ nakreślił plan i opracował ową wspaniałą konstytucję, w której zrównoważyły się w doskonałej i mądrej zgodzie: umiar łaciński, sprawiedliwość średniowiecza i reformatorska śmiałość nowoczesna. W komnacie tej musnęła go śmierć w postaci granatu włoskiego w parę miesięcy później.

Ile oczu, utkwionych w tę komnatę!

„Wszystko, cokolwiek się mówi albo co się robi w moim pokoju, znane jest po pięciu minutach od Cantrydy do Sussaku; w pięć dni potem od Medjolanu do Palermo“.

Tajemnica Fiume jest istotnie prawdą świata...

Zarazem też i kłamstwem świata, i to bardzo często. Jakże sroży się po całych Włoszech wśród estetyzujących cudzoziemców i zwarjowanych prowincjonalistów zabawa w przypisywanie Bóg wie jakiego, tajemniczego znaczenia dzikich orgij najdrobniejszemu odruchowi tego człowieka, który, poza tem jeszcze, że jest artystą czy żołnierzem, jest pracownikiem — i jakim pracownikiem! Najwytrwalszym, najuczciwszym z pracowników.

Pewnego dnia wykrywa Toeplitz starą trattorię fiumeńską „Pod Złotym Jeleniem“. Można tam dostać bajeczne „risotto“, dla którego warto odbyć daleką przechadzkę. Rezerwujemy sobie pokójek na pierwszym piętrze. Komendant przychodzi tam na

obiady z pięcioma czy sześcioma towarzyszami, uwalniając się w ten sposób od niemiłego towarzystwa pilujących go nudziarzy. Środowisko tej małej osterji bawi go; chętnie tu powraca. Obijamy pokój kilkoma metrami taniego czerwonego kretonu, który nie ma nic wspólnego z bogatą bizancką ornamentacją ścian pałacowych, i zasłaniaamy rysy, szczeliny i popękania muru gałązkami warzynu. Biesiadnicy w „Złotym Jeleniu“ dostępują zaszczytu stworzenia organizacji. Od czasu do czasu przyłącza się do nas Eugenjusz Casagrande ze swoją żoną, Donną Ninetta; bywa tutaj także z nami Aleksandra Porro. Pewnego pięknego poranku Komendant chrzci „Złotego Jelenia“ fantastycznym mianem „Ornitorinco“, które będzie mu odtąd stale już przysługiwało.

W „Ornitorinco“ otrzymuje też swoją nazwę „Krew Morlacchich“. Niewinny *Sherry Brandy*, mocno wątpliwego pochodzenia i gatunku, pod żadnym względem nie zasługiwałby na tak szumną nazwę, gdyby nie to, że pewnego dnia jedno z codziennych pism brytyjskich ogłasza rewelacyjną wiadomość, jakoby „d'Annunzio był tyranem barbarzyńcą, wysysającym krew Morlacchich“. Pomysł ten bawi nas niewypowiedzianie, i Komendant nadaje tę nową nazwę fałszywemu *Sherry Brandy*. Nic sympatyczniejszego, nic bardziej prostego, aniżeli grono biesiadników w „Ornitorinco“; szczupła garstka przyjaciół, stanowiąca miłe, dobrane towarzystwo, zgrupowane dokoła Komendanta.

Nie trwa to wszelako długo, a już zaczynają krążyć i szerzyć się na wszystkie cztery strony świata najprzeróżniejsze legendy.

Więc „Ornitorinco“ ma być piwnicą, wysłaną skórami białych niedźwiedzi; tam pośród dymów kadzidlanych odbywać się mają niepodobne do opisanie orgje, połączone z szatańskimi libacjami: niebrak nawet w tych opisach sztucznych rajów. W sali jadalnej łać się ma strugami kokaina; w czaszkach kościotrupów ludzkich złapie się krew dymiąca... Szerzyciele tych nedorzecznych bajek sięgają po porównania do reminiscencyj literacko-historycznych: Han d'Islande i Heljogabal, Alboin i Rosamunda, *Parc aux Cerfs* i obchody na modłę antyczną wicehrabiego di Adelsward: jaka mozaik!

.....

Drogie nam są te wieczory w „Ornitorinco“.

Na krótką chwilę rozluźnia się potrójny ciężki szyszak władzy, czujności i odpowiedzialności i odsłania swobodniej szerokie czoło myśliciela. W takich chwilach, a także podczas krótkich przechadzek czy też w godzinie zmierzchu w pałacu, ukazuje się nam Gabrijel d'Annunzio, skupiony, serdeczny, prosty. Możemy wówczas śledzić nurt podziemny jego myśli, iść ich śladem, wytkniętym przez wspomnienia jego i medytacje.

.....

Jego wspomnienia... Przymykam błękitny notatnik. Zdjęcia momentalne, wyblakłe już; wolę je w każdym razie od wątpliwych chromolitografij, mimo że dają słaby jeno refleks wspaniałego malarstwa.

Liceum Cicogniniego w Prato. Wychowawcy wyśmiewali jego akcent abruzzki, jego obyczaje prowincjonalne. Uczył się, spędzał całe noce na nauce. Kiedy wypalał się olej jego lampki, brał za wartość lampek mniej pracowitych wychowawców i przelewał do swojej. Pewnego wieczora, chcąc obserwować gwiazdy, schował się na poddaszu i pozostał tam przez całą noc.

Kiedy skończył piętnaście lat, wydrukował jego ojciec własnym kosztem pierwsze poezje syna. W Liceum wywołały one skandal: „Pierwsze strofy“! Mowa w nich była o obnażonych łonach, o wilgotnych ustach, o drgających ciałach... „Wyobrażenia moja lubowała się w opisach zmysłowych rozkoszy, o których nie miałem pojęcia...“ Cenne wyznanie wiecznego Cherubina! Wkrótce potem posłał młodzieńki Gabrijel napisaną przez siebie nowelę Ferdynandowi Martini, który ją wydrukował w swoim tygodniku i zapłacił mu za nią pięćdziesiąt lirów. Profesorowie oznajmili radosną nowinę wszystkim wychowawcom, zgromadzonym w refektarzu, i jeden z nich wymachiwał w triumfie nadesłanym

banknotem: chciał przekonać się namacalnie o korzyściach, jakie zapewnia talent i literatura. Przez kilka miesięcy — opowiada autor „Laudi“ — pieściłem na sercu cenny bilet bankowy. Pewnego jednak dnia posuchy zmuszony byłem rozstać się z nim. Nigdy już potem nie udało mi się utrzymać pieniędzy tak długo.

Lubi wyczarowywać pamięć pewnej podróży do Sardynji, odbytej kiedy miał dwadzieścia lat, jak mi się zdaje. Zapoznano go z kolegą górą, bardem improwizatorem, który z miejsca skomponował odę na cześć młodego przybysza. Życzył mu wiele szczęścia, przyczem powtarzała się wciąż zwrotka:

„E Umberto Ranieri te fazza Cavaliere!“¹⁾

Ranieri było drugim imieniem króla Humberta.

Gabrijel d'Annunzio nuci tę zwrotkę głosem nieco ochryplym, ale przyjemnym.

Mówi często o towarzyszach młodości. O Tosim, o którym chętnie przytacza nienadające się do powtórzenia facecje, specyficznie neapolitańskie, na dworze królowej Wiktorji, i o Francescu Paolu Michettim. Pewnego razu podróżował wraz z obu

¹⁾ Humbert Ranieri niech ci nada szlachectwo.

tymi przyjaciółmi. Pociąg zatrzymał się na stacji Porto S. Giorgio, która wydała im się bardzo pociągająca. Wysiedli: oglądają miejscowość; syndyk, wedle przyjętego w tej części Włoch obyczaju, ofiaruje im gościnę w jaknajszerszym zakresie. Pierwszy ten obywatel miasteczka miał trzy urodzive córki, fortepian i dobre wino w piwnicy. Wobec czego trzej podróżni zainstalowali się w jego domu.

Tosti zasiadał do fortepianu, Michetti kreślił plany, a d'Annunzio snuł przeróżne fantazje. Krewni młodzieńców myśleli o nich, że poumierali, że zapadli się w ziemię; opłakiwali zaginionych, którzy nie dawali o sobie żadnego znaku życia. Pewnego dnia wreszcie pojawiła się na gościnnym stole syndyka jajecznicca. Jajecznicca! Znak nieomylny, wymowny symbol, zapowiadający na ziemiach, sąsiadujących z Abruzzami, koniec gościnności.

W dniu, w którym gość spożył podaną mu przez gospodarza jajecznicę, nie pozostaje mu nic innego, jeno zapakować manatki i podziękować za okazaną gościnę.

Trzej przyjaciele zapakowali manatki.

We wspomnieniach poety występuje też często de Bosis. Na Iódeczce, na weneckiej lagunie, obaj młodzieńcy wywiesili na swojej chorągiewce herb Shelley'a — trzy srebrne muszle — i tak całymi dniami płynęli, płynęli bez celu...

Gdzież są jednak ci przyjaciele lat młodych? Dlaczego nigdy nie widzimy ich tutaj w tej godzinie niebezpieczeństwa i czynu? Bardzo często zadaje sobie to pytanie. Tysiące młodzieńców dałoby się bez sekundy wahania porąbać w kawałki za Komendanta... Czy posiada on jednak PRZYJACIÓŁ? PRZYJACIELA? Są coprawda ludzie, wierni mu: ich oddanie, wypróbowane, wyższe ponad wszelką wątpliwość, trwa od dwudziestu, od trzydziestu lat. Hannibal Teneroni, także Tom Antongini. Czy ma wszelako przyjaciela? Gdzie są towarzysze czarnych chwil, powiernicy tajemnych myśli, strażnicy radości i smutku, ci, co mogą rozsądnie radzić i perswadować? Ci, co zbliżają się do niego nie dla wyrażenia mu swojego zachwytu, nie pod wpływem wyrachowania, ciekawości, a nawet miłości?... Przez przyjaźń jedynie? Ci, co towarzyszą genjuszowi, skuci łańcuchem lat, wieńcem wspólnych wspomnień? Ci, którzy, niewzywani, są jednak obecni, którzy, niebłagani o to, darzą pociechą?... Gdzie oni wszyscy?

Duchom najwznioślejszym, najdumniejszym, najgłębszym, sercom najbardziej buntowniczym, daniem było oglądać owo słodkie światło, które opromieniło życie całe: Goethe'emu, Byron'owi, Leopardi'emu, Nietzsche'emu. Gabrijel d'Annunzio ma swoich stronników, wiernych, fanatycznie oddanych: *nie ma przyjaciół*, a przynajmniej *nie ma już teraz przyjaciół*. Może Bóg chciał go doświadczyć w ten sposób na najwyższym szczycie chwały ludzkiej?

Pod skrzydłami d'Annunzia — 9.

A może ta istota nieporównana, zdolna do wypromieniowywania z siebie takiego piękna, takiej wzniosłości, także takiego miłosierdzia, miłości i ofiarności, nie umiała odnaleźć w zakątku swojego serca tajemnego źródła, tak nieporównanie świeżego i czystego, wytryskującego w sercach skromnych pracowników, żołnierzy, uczniów szkolnych, studentów, mnichów i podróżników? W sercach tych wszystkich skromnych ludzi, których zbliżają wzajem do siebie drogi ich przeznaczeń bodaj na jedną chwilę tylko na ciernistej, krętej drodze życia?

Nie wiem.

Pewnego wieczora na moście Sussaku Komendant na czele swojej „Compagnia-d'Annunzio“ spotkał się z generałem Sailerem celem parlamentowania z nim w jakiejś „sprawie granicznej“. Nieufni, jak zawsze, żołnierze tworzą samorzutnie wał dookoła swojego wodza.

— Cóż, u licha, d'Annunzio nie jest przecie waszą kochanką! — woła zniecierpliwiony generał.

— Bardziej niż kochanką! — wykrzykuje w odpowiedzi głos, pełen zapалу.

Innym razem kancelista mój znajduje na stoliku gruby tom Shakespeare'a i ogląda księgę z wielką ciekawością.

— Czy to po francusku?

— Nie, po angielsku. To księga wielkiego poety angielskiego.

— Większego niż Komendant?

Pocóż sprawiać mu przykrość? Cóż odpowiedzieć mu zresztą?

— Conajmniej tak samo wielkiego.

Żołnierz patrzy na mnie wzrokiem nieufnym, rzecz można, pełnym politowania.

Od tej chwili jednak obrzuca wściekłym spojrzeniem niepokojącą księgę, obraca ją w palcach, miętosi, a przy byle okazji rzuca pogardliwie.

— Ehi, Scaropardi!

Tak przeczytał i zapamiętał nazwisko Shakespeare'a.

Czy Gabriel d'Annunzio jest czy nie jest tercjarzem franciszkańskim? Zapewniają nas, że nosi sznur i że nie chodzi do teatru.

Czyż nie wystarcza to?

Faktem jest, że posiada trzy domy i że jeden z nich, jedyny prawdopodobnie, który ma:

„*des poutres et des chevrons*“ — belki i krokwie — mieści się w Asyżu; nabył go niegdyś za siedemset pięćdziesiąt lirów.

Co się tyczy „Torre Cavendone“ na Lago Maggiore, jest to ruina, niezmiernie romantyczna, à la Walter Scott, zupełnie niemieszkalna, jak utrzymują.

Cóż dopiero powiedzieć o „trullo“¹⁾ w Alberobello w Puglii?

To trzecia posiadłość Komendanta, który chce stanowczo przekonać nas o niezwykłych rozkoszach, jakich dostarcza zamieszkiwanie w fenickim grobowcu.

Napisał „Kontemplację Śmierci“ — rzecz zbyt mało czytana. Czy myśli kiedykolwiek o śmierci?

Mówi o niej bardzo często.

— Nie boję się śmierci; pewien jestem, że jak umrę, spotkają mnie nadzwyczajne niespodzianki, większe niż ze strony Aljantów.

Pewnego razu odbywał przejażdżkę konną po wybrzeżu w pobliżu Forte dei Marmi. Nagle koń jego puścił się galopem pośród niezliczonych ostrych złomów, nagromadzonych tu przez marmurarzy z pobliskich kopalni.

W osłepiających blaskach lipcowego słońca na marmurowym wybrzeżu, oplukiwanem przez nieruchomą, rozpaloną tafłę morza, ogarnęła duszę jego wyraźna świadomość bliskiej śmierci, której nie sta-

¹⁾ „Trulli“ — są to konstrukcje formy konicznej, nieznanego pochodzenia, prawdopodobnie fenickiego. (Przyp. tł.).

rał się nawet przeciwdziałać. Po chwili koń uspokoił się: d'Annunzio zrozumiał, że śmierć oddaliła się od niego.

Czy była mowa o jego zabobonach? Wierzy w zły urok — „jettature“, w dni szczęśliwe, w jedynastkę, w wróżenie z kart, w chiromancję; widywałem go, biorącego w sposób najzupełniej poważny udział w niezmiernie prymitywnych seansach spirytystycznych. Zapewnia nas, że podlega zjawiskom lewitacji: pewnego razu został nagle uniesiony aż do sufitu: wyraźnie przesadza lekko. Intonujemy wówczas chóralnie na nutę z Fra Diavola:

„Ten człowiek o dumnym obliczu

Nie mówi, nie mówi... nam głupstw.“

Nierzadko zapytuje siebie: „jaka zaporą dzieli mnie od niego?“ Przemawia do mnie życzliwie, uprzejmie, wspaniałomyślnie: zawsze z wyraźną sympatją, czasem nawet z przywiązaniem. Odpowiadam mu stale tonem, pełnym szacunku, podziwu i oddania. Hołd mu składam i, czyniąc to, pełnię jeno moją powinność. Ceni mnie on — jestem o tem przeświadczony.

Mimo to jednak jaka tkwi pomiędzy nim a mną zaporą? Jaki rodzaj nieufności utrzymuje się pomiędzy mną a nim pomimo wszystko? Dlaczego rozmowa z nim jest dla mnie zawsze batalją? Jaka siła zniewala mnie do zakucia się w zbroję? Ja-

ka rękawica żelazna obciąża mi dłoń? I on sam, rzec można, nie czuje się chwilami zupełnie swobodnym.

Dzieli nas trzydzieści lat.

Trzydzieści lat.

Wiek lubi wiek.

Czuję się bardziej zbratany, przystępniejszy dla koleżeństwa z malarzem czy stolarzem, równym mi latami, aniżeli z Gabrjelem d'Annunzio.

Poznać w nim— po pewnych rysach— człowieka z dziewiętnastego stulecia, z drugiej połowy dziewiętnastego stulecia.

Ofiarowano mu w prezencie pewnego dnia zegar piaskowy.

— Lubię je bardziej od innych — rzekł, dziękując — posiadam dwie konsolle, zapelnione niemi.

Ma zmysł kolekcjonerski.

Pomysł gromadzenia w domu, w którym się mieszka, przedmiotów, zasadniczo jednakowych, dla egoistycznego zadawalniania niemi własnych zachcianek, musi wydawać się nam dziwaczny i niezgodny z naszym usposobieniem. Każdy z tych przedmiotów, wzięty poszczególnie, jest piękny: piaskowy zegar, antyczne wydanie, bizantyjska kość słoniowa. Nie mogę jednak zgodzić się, aby pięćdziesiąt cztery zegary piaskowe, osiemnaście krucyfiksów z kości słoniowej albo dwadzieścia trzy wydania

tej samej książki mogły sprawić mi jakąkolwiek przyjemność. Kto z nas nadałby się do zamieszkania na stałe w willi Dorjana Gray'a albo w „buon ritiro“ — miłym ustroniu Andrea Sperelli?

Chcemy mieć w naszych domach światło, obszar, jasne białe ściany, okna, wychodzące na ogrody bez posągów, poduszki o żywych barwach i błyszczące posadzki. Stare rupiecie budzą w nas przerażenie. Stulecie ubiegłe było stuleciem zbieraczy — rzecz dowiedziona; nie miało własnego stylu. Nasza epoka nie chce zdobić się ornamentami, zapożyczonymi od trupów. Zyska też własne swoje piękno, dzięki któremu nie zginiemy dla potomności.

Młodość Gabrjela d'Annunzio towarzyszy nam w tym wieku żelaznym.

D'Annunzia, poetę, powieściopisarza, dramaturga, żołnierza, lotnika, mówcę czy męża stanu — cechuje zawsze jednaka energja, przechodząca samą siebie: siła, odradzająca się nieustannie, wzrastająca, zyskująca przy każdym odrodzeniu na bezpośredniości i na płodności; zawsze ta sama zdolność do pracy, która zdaje się przekraczać granice możliwości ludzkiej.

„Natura ujawnia się z nadmierną szczodrością, człowiek idzie naprzód dzięki nadmiernej ekspansji“ — mówi d'Annunzio. Po okresach wytężonej pracy następują długie przerwy wypoczynkowe. Po

ukończeniu powieści „*Innocente*“ (Niewinny) przebywał sześć miesięcy w Neapolu, w „*Hotel du Vé-suve*“, nie napisawszy przez cały ten czas ani jednego wiersza. Wysiłek był zbyt wielki. Pracował przeciętnie po osiemnaście godzin dziennie, zdarzało mu się nawet przesiedzieć przy stoliku przez pięćdziesiąt dwie godziny zrzędu: kazał sobie podawać tylko marmeladę i mocną kawę. W takich warunkach napisał, mając dwadzieścia pięć lat, pierwszą swoją powieść. Nastrój erotyczny „*Rozkoszy*“ powstał, jak mówi, w samotni Pescary, gdzie zrodziła się książka. Samotność zawsze sprzyjała powstawaniu pięknych obrazów kultu Wenery.

Łatwo zrozumieć, jak ten pracownik bezgranicznie wielbić musiał Flauberta; cytuje go też i powołuje się na niego bardzo często. Wydawało mi się nieraz, że z ust jego słyszę powtórzone wprost słowa tamtego. Z jaką bystrością potrafił zarzucić pewnego dnia prozie mojej użycie dwóch rymujących się przymiotników! A! jego wstręt do użycia dwóch zrzędu dopełniaczy!

Czy to prawda, że bronił niegdyś tezy „W sprawie zbioru instrumentów muzycznych, będących w posiadaniu Mateusza Korwina, króla węgierskiego? Zapewnił, że tak było, młodego literata z Budapesztu, tego samego, który chciał dowiedzieć się, co d'Annunzio myśli o Romain Rollandzie.

„Romain Rolland był moim przyjacielem, zachwycałem się jego utworami; przed laty spędzałem z nim często tygodnie całe u pewnych przyjaciół zurychskich. Drogi, jakimi poszliśmy podczas wojny, są niewątpliwie wręcz odmienne, nie mogę też pochwalać jego zapatrywań“.

Słuchałem d'Annunzia: z życzliwym umiarem mówił o pisarzu, którego ceni, mimo że przepaść otwarła się pomiędzy ich ideałami i wierzeniami. Oczywiście, uważał Romain Rollanda za równego sobie, jeżeli nie artystycznymi walorami utworów, w każdym razie doniosłością moralną dokonanego dzieła. Gabrjel d'Annunzio nie mylił się pod tym względem. Jaki dowód wysokiej jego etyki i jaka nauuczka dla oszczerców!

Mówiono o jego dumie, przekraczającej wszelką miarę; przytaczano dziwaczne jej dowody.

Cieszy się jak dziecko, o ile uda mu się zadrzeć z ludzi bliskich rzuceniem nieprzewidzianego, niezwykłego zdania, czasem mającego posmak władczy. W rzeczywistości jednak pod temi pozorami dumy kryje się nieporównana szczerłość artysty.

O, ileż dałbym za to, aby niejeden z moich rówieśników, upierających się przy pisaniu, mógł słyszeć przez jedną chwilę bodaj przemawiającego autora „*Laudi*“! Uleczyłoby to ich odrazu z niedorzecznej ich zarozumiałości!

To, co jest najniezwyklejsze w jego sposobie mówienia, nazwałbym — jeśli wolno użyć podobnego wyrażenia — „wrodzoną kunsztownością stylu“. Myśli, obrazy, ugrupowania słów, które w mowie każdego innego człowieka wydawałyby się wyszukane i sztuczne, roją się w sposób tak prosty i naturalny w jego mowie, że nikt, rozumujący sprawiedliwie, nie mógłby się co do tego pomylić. Najistotniejsza treść jego genjuszu pozwala poecie wyrażać się w ten sposób i w takiej formie: niema w tem pozy, ani sztuczności, ani estetyzmu.

Mówiono o nim, nie bez złośliwości, że posiadał on treść wszystkich „istniejących podręczników informacyjnych“; znajomość miejscowości przewyższa u niego znajomość faktów; znajomość geografji, konfiguracji terenu, właściwości klimatu i wpływu jego na atmosferę, roślinności i ludzi: wszystko składa się na to, że potrafi on w sposób właściwy z niezrównaną dokładnością „lokować“ wszelkie fakty.

Jedyny spośród wszystkich poetów na ziemi — po Hezjodzie i kilku innych Grekach, których czytania zaniedbuje publiczność pełnego chwały naszego wieku — posiada Dante taki dar wzruszania za pośrednictwem obrazów topograficznych czy kosmologicznych, wrzynających się w pamięć aż do końca życia: Dante jedyny potrafi w taki sposób ożywić niewyczerpanem swoim tchnieniem ziemię, morze, góry i niebo — wszystko, „co stanowi powierzone człowiekowi dziedzictwo.

Duma pozorna!... Bardzo często doświadczałem wrażenia, że duszę Komendanta dręczy rodzaj niepokoju o losy stworzonych przez niego dzieł. Cudowny skrupuł twórcy, który nie może się wyzbyć wątpliwości i nie śmie też wydać sądu o swoich utworach. Rozpacz Michała Anioła po ukończeniu fresku. Freski d'Annunzia dokonywane są przez niego w dalszym ciągu jeszcze; najpiękniejsza może jego karta „Notturmo“¹⁾ wciąż jeszcze pozostaje niedokończona. Duch, szybujący tak wysoko, jak jego duch, nie zatrzymuje się na rozkaz generała Cavigli.

Werset Psalmisty odpowiada nowemu przeistoczeniu:

RENOVABITUR. IUVENTUS.
TUA. UT. AQUILAE.

Dumnym się jest z tego, że żyje się na ziemi równocześnie z tym człowiekiem, którego młodość odnawia się jak młodość orła!

¹⁾ Zdumiewające to dzieło ogłoszone zostało drukiem w 1922 i niezwłocznie przełożone na wszystkie języki. (Na język polski w tłumaczeniu Staffa, nakł. „Renaissance'u“). (Przyp. tł.).

VI
POD ZNAKIEM LWA.

Legjoniści, na dobre już osiedleni w mieście po przebyciu straszliwych przejść, otwierają oczy na świat, wielkim głosem ciskając w twarz całej kuli ziemskiej owo oburzenie, będące właściwym, ożywiający ich duchem.

Mają prawo potępiania samowoli i gwałtu: Fiume było czynem bohaterskim, uświęconym sankcją powodzenia. Wszyscy buntownicy świata zwracają oczy ku Fiume, na którym powiewa sztandar nowej krucjaty.

Oddawna już nakreślił sam Komendant stanowczymi, gwałtownymi rysami główne wytyczne programu polityki zewnętrznej. Oto, co oświadczył w tym przedmiocie 24 października 1919 roku w swoim przemówieniu na temat „Włochy i życie“:

„Możemy wszyscy zginąć pod ruinami Fiume; ale z ruin tych wyłoni się Duch czujny, i działający.

„Od nieposkromionego Sinn-Feinizmu irlandzkiego do czerwonego sztandaru, który łączy w Egipcie Półksiężyc i Krzyż, rozpalą się wszystkie bunty ducha przeciwko pożeraczom surowego mięsa i przeciwko wysysaczom bezbronnych ludów o lecące daleko iskry nasze.

„Zachłanny imperjalizm, który zawładnął Persją, nową Arabją, znaczną częścią Afryki, nigdy nie-nasycony, może posłać po nas tych samych katów powietrznych, którzy nie wstydzą się w Egipcie urządzać rzeź powstańców, uzbrczonych jedynie w gałęzie drzew. Zachłanny imperjalizm, czyhający na Konstantynopol, ukrywający posiadanie co najmniej trzeciej części olbrzymiego obszaru chińskiego, nabuwający wszystkie wyspy na Oceanie Spokojnym pod Równikiem — z kolosalnymi ich bogactwami — i nigdy nienasycony, może zastosować przeciwko nam te same *środki wykonawcze*, użyte przeciwko bezbronnemu ludowi Pendżabu i ujawnione przez poetę Rabindranatha Tagorę, *środki, którym niema podobnych w dziejach państw cywilizowanych*. Mimo to pozostaniemy zawsze zwycięzcami.

„Wszyscy buntownicy wszelkich szczepów połączą się pod naszym znakiem. I bezbronni zostaną uzbrojeni.

„I siła przeciwstawiona będzie sile.

„I krucjata wszystkich narodów biednych i zubożałych, nowa krucjata wszystkich ludzi biednych i wolnych przeciwko narodom uzurpatorskim i gromadzącym wszelkie bogactwa, przeciwko rasom drapieżnym i przeciwko kaście lichwiarzy, którzy wykorzystali wczoraj wojnę, aby wykorzystać dzisiaj pokój, ta najnowsza krucjata przywróci sprawiedliwość prawdziwą, przytwardzoną do krzyża przez zimnego obłąkańca czternastoma wystającymi gwoź-

dziami i młotem, wypożyczonym od niemieckiego kanclerza.

„Fiumeńczycy, Włosi! Kiedy w dniu 18 maja 1919 roku rzuciliście w twarz Radzie Najwyższej okrzyk, że historia, wypisana najszlachetniejszą krwią włoską, nie może zatrzymać się w Paryżu i że gotowi jesteście odpowiedzieć na przemoc, z którejkolwiek przyjdzie ona strony, w tej samej chwili obwieściliście staremu światu jego upadek.

„Dlatego też sprawa wasza jest największą i najpiękniejszą ze wszystkich, jakie przeciwstawiane są obecnie obłąkaniu i spodleniu świata.

„Rozpiętość jej sięga od Irlandji do Egiptu, od Rosji do Stanów Zjednoczonych, od Rumunji do Indji. Łączy ona pod jednym sztandarem szczepy białe i szczepy kolorowe; godzi Ewangelję z Koranem, Chrystjanizm z Islamem; zespala w jedną jedyną wolę buntu wszystkich ludzi, posiadających w kościach swoich i w żyłach wystarczający zapas soli i żelaza do zasilenia ich żywej akcji.

„Wszelki bunt jest wysiłkiem ekspresji, wysiłkiem twórczości. Chociażby nawet zdławiony został w potokach krwi, ci, którzy pozostali przy życiu, przekażą przyszłym pokoleniom — wraz z duchem wolności i dobrej nowiny — głęboki instynkt nierozzerwalnych węzłów, jakie łączą ich z ich pochodzeniem i z ich ziemią.

„Zwalczanie we mnie, zwalczanie w was, wiary w bliski już świt jest daremnem i niedorzecznem usiłowaniem.

Pod skrzydłami d'Annunzia — 10.

„Dla wszystkich walczących, dla wszystkich, dźwigających krzyż, którzy przeszli czteroletnią swoją Kalwarję, czas już iść przebojem w przyszłość.“

Program, w ten sposób nakreślony, był teraz w okresie stawania się czynem. Rozpocząła się „Piąta pora roku“¹⁾. Czy chcieliśmy nazwą tą zaznaczyć, że Komendant Fiume przyobiegał swoim Legjonistom „rozpadnięcie się w gruzy starego świata“? Że Liga Narodów, Jugosławja, Nitti i Zanella zamierzali ofiarować nam, jako „bukiet“ apokaliptycznych swoich ogni sztucznych, niweczący kateklizm „Zachłannego Imperjum“? Nie; ale wezwania nie utonęło bez echa w piekielnej wrzawie bezsensownych zgromadzeń. Przez chwilę zawahali się hipokryci; usiłowali uśmiechać się, uważać „wszystko to za bardzo zabawne“. Pewni byli swojej siły: faktem jest, że „impieza“ stłumiona została we krwi i że „przywrócony został porządek“. Lord Curzon wspominał o „nieodpowiedzialnym awanturniku“, a pan Lloyd George złożył powinszowania Włochom, że doprowadziły do opamiętania się tego, „który przynosił im wstyd jeno“. Czy podobna jednak zdławić ducha „czujnego i czynnego“, płomień wciąż odradzający się? „*Chi'l tenerà legato?*“ — Któż potrafi utrzymać go na uwięzi? W cztery miesiące

¹⁾ Quinta stagione.

po grudniowych dniach 1920 Prezydent Stanów Zjednoczonych wznawiał — ku potępieniu Ligi Narodów — te same ściśle wyrażenia, użyte przez Gabrijela d'Annunzio 4 lutego poprzedniego roku.

Echo krzyku fiumeńskiego nie przebrzmiało jeszcze na świecie. Przez długi czas wspominać będzie waleczny Shanty O'Ceallaigh serca braterskie, bijące — w takt z własnym jego sercem — na wybrzeżu Carnaro. Przez długi czas szlachetna dusza Saad Zagloul'a wskrzeszać będzie pamięć wolnego miasta Zachodu, gdzie sztandar wolnego Egiptu powionął po raz pierwszy. A w przyszłości będzie obowiązkiem Republiki Irlandzkiej, wyzwolonej Turcji, uwolnionego od jarzma Egiptu nie dozwolić, aby zapomniano, kto walczył za nich, kto pogrążonemu w mroku świata rzucił okrzyk wiary swojej w piękniejszą przyszłość. Ten moment „Imprezy“ — gotów byłbym nazwać go proroczym — nie pozostanie w pamięci ludzkiej jako przelotne jeno przemknięcie snu podniosłego i bezrozumnego, wspaniałego i nieziszczalnego, ale jako trwały obraz, który przejmować będzie dreszczem pierwszego poświęcenia, najwcześniejszego brzasku wiary pierwszych męczenników; pozostanie jako ślad, odcisnięty przez wieczną odradzającego się ducha, ze stulecia w stulecie, z epoki w epokę.

Jak Filip Buonarotti, Lord Byron i Armand Carré zwalczali Święte Przymierze (rzekome — jak je nazywał kochanek pięknej Guiccioli — *Święte Przymierze, łączące despotyzm z hipokryzją*) tak

samo Gabrijel d'Annunzio zwalczał Ligę Narodów, ową pseudo-Ligę Narodów, którą, jako narzędziem, pragnie się posługiwać imperjum Brytyjskie i inne państwa kapitalistyczne celem zapewnienia sobie hegemonji nad światem.

Szczęśliwy jestem, że, w charakterze nieznanego, pozostającego w cieniu, posłusznego wykonawcy, znalazłem się wraz z Byronem i z Nim po tamtej stronie barykady.

W zablokowanym Fiume były niespodzianki w ciągu sześciu miesięcy rzeczą codzienną.

Od początku stycznia zaczęło zmieniać się coś w Komendzie i Gabrijel d'Annunzio obrał sobie na szefa gabinetu Alcesta de Ambris.

Ten, który objął następstwo po szlachetnym, wykutym z jednolitego bloku majorze Giurati'm, nie był człowiekiem banalnym. Organizator-syndykalista pierwszej wody, mówca namiętny i przekonujący, samouk, wyrobiony w Ameryce Południowej w twardej szkole pionierów, umysł wielostronny i zdolny do entuzjazmu, był Alceste de Ambris jednym z najgorętszych i najszczerzych rewolucjonistów przedwojennych. Nie moją jest rzeczą przypominać udział, jaki brał w faktach parmeńskich. W jaki sposób się stało, że w 1917 spotykamy go jako wieszczącego hasło wojenne Stanom Zjednoczonym pospołu z Gomperssem i Destrée? Ci,

którzy nie byli w stanie zrozumieć jego roli bezinteresownego, walecznego wojownika, nie wahali się osądzać surowo tego rodzaju działalności jego jako propagandzisty. Trudno dowieść, że nie mieli słuszności.

Czy Komendant okazał się zręcznym politykiem, powołując de Ambris'a na szefa gabinetu? Zapewnić można, że ufność swoją dobrze skierował. De Ambris nie przestał nigdy bronić sprawy fiu-meńskiej z całkowitem, niepodzielnym oddaniem; mistrzostwo jego wymowy i znakomita znajomość zagadnień socjalnych zaważyły wielce na losach Legjonistów. Należy, bądź co bądź, zaznaczyć tu raz jeszcze dotkliwą prawdę: włoskie stronnictwa skrajne — zwłaszcza stronnictwo socjalistyczne, jakim było ono wówczas, w roku 1920 — nie żywiły uczuć nieprzyjaznych w stosunku do Gabrijela d'Annunzio, bez względu nawet na pozory, na plotki, szerzone przez niektórych deputowanych w bazgralinach artykułowych „Avanti“ czy „Lavoratore“a. W każdym razie sama już obecność Alcesta de Ambris w Komendzie Fiume wystarczała do zwarzenia w paku budzących się sympatyj, do zniechęcenia najlepiej usposobionej woli: wzajemna nienawiść, wymuszająca się pomiędzy nim, a socjalistami, uniemożliwiała wszelkie próby porozumienia i zgody.

12 stycznia 1920 roku ukonstytuował się Wydział Spraw Zagranicznych, którego kierunek objąłśmy pospołu: ja i Ludovico Toeplitz de Grand Ry. Około 25 stycznia powrócił Ludovico Toeplitz do

Włoch, pozostałem więc sam na czele fiumeńskiego *Foreign Office*.

Pierwsza wyrzucona przez nas strzała przeleciała wesoło poza Alpy i wbiła się w serce Paryża, uwolnionego od niekończącej się zmory, wieczorem 17 stycznia. Samolot fiumeński, kierowany przez pilota, Cesare Carmigiani, rzucił na Plac Opery w tej samej godzinie, w której ogłoszony został wynik wyboru Prezydenta, ową „*parola di Fiume*“, oredzie, napisane w przeddzień przez Gabriela d'Annunzio. Lot trwał siedem godzin i dwadzieścia minut.

„*L'épée de la révolte est bien fourbie... Salut à la quatrième République et au jour prochain!*“ — brzmiały słowa Komendanta.

„*Non è mai troppo tarao per andare piu oltre!*“ — Nigdy nie jest zapóźno iść dalej naprzód! — powiedział za nim Alceste de Ambris. Wydział Spraw Zagranicznych szedł w samej rzeczy „naprzód“! W liście, napisanym na żądanie Komendanta do Henri Barbusse'a, przewodniczącego grupy „Clarté“ — wypowiedzieliśmy się, jak następuje:

„Komendant d'Annunzio i jego Legjoniści nie chcą narzucać ani swojemu krajowi, ani światu nowej postaci integralnego nacjonalizmu. Żaden wtórny cel militarystyczny nie przyświeca tym, którzy zgromadzili się nad Carnaro, ożywieni jedynie ogniem poświęcenia... Miasto Fiume, jego wódz i obrońcy nieugięte są zdecydowani ostać się wytrwale aż do zatriumfowania ideału braterstwa świata, który

sprzął ich w jedną zwartą grupę. Prawo narodów samoistnego decydowania o własnych losach, tak często głoszone i zawsze deptane nogami, winno być wreszcie uszanowane. Republika Sowieków w imię tego prawa zwalczała armje Kołczaka i Denikina opłacane przez międzynarodową finansjere, podszczuwane przez Konferencję Wersalską“.

Oredzie odbiło się olbrzymiem echem we Włoszech. O niczem innym nie mówiło się odtąd poza polityką „Italo-Wschodnią“, prowadzoną przez Komendanta Fiume. „*Corriere della Sera*“ ryczał z przerażenia pod grozą wyolbrzymianego widma bolszewizmu.

W tym samym okresie Urząd Spraw Zagranicznych opublikował swoją „deklarację“, skierowaną do pseudo-Ligi Narodów.

Dokument ten zasługuje poniekąd na dosłowne odtworzenie go:

„Urząd Spraw Zagranicznych Komendy Fiume polecił przedłożyć następującą deklarację Sir Ericowi Drummondowi, generalnemu sekretarzowi pseudo-Ligi Narodów:

W chwili, kiedy zgromadzenie Rządów aljancich chce narzucić wdanie się pseudo-Ligi Narodów, bądź aby przekazać władanie miastem, bądź aby objąć administrowanie portem jego i kole-

Komenda Fiume, stwierdzając:
że pseudo-Liga Narodów nie jest w rzeczywistości niczem innym, jak tylko narzędziem, którym

chce posługiwać się Imperjum Brytyjskie oraz inne państwa kapitalistyczne celem zapewnienia sobie bardziej niepodzielnie hegemonji nad światem; że pseudo-Liga Narodów reprezentuje faktycznie, pozbawiony właściwej siły, konglomerat interesów strategicznych, bankowych czy kolonialnych, a to ze względów poniżej wyluszczonej:

I) ponieważ znaczne większości tych samych państw, związanych Paktem, otwarcie nieprzyjaźnie odnoszą się do Ligi Narodów w tej formie, w jakiej ukonstytuowana ona jest obecnie;

II) ponieważ niektóre państwa neutralne, a szczególnie Konfederacja Szwajcarska, Szwecja, Norwegja i Holandja, zaproszone do przyłączenia się do Ligi Narodów, zaczęły od udzielenia — w grzecznej formie — odpowiedzi wymijającej, a w końcu przyjęły zaproszenia pod wpływem silnej presji ze strony państw kapitalistycznych;

III) i wreszcie, ponieważ narody, które z racji swoich tradycyj kulturalnych oraz bardzo rozwiniętego życia socjalnego mają prawo do zajmowania wybitnego stanowiska pośród narodów ucywilizowanych — Niemcy i Rosja — wykluczone są arbitralnie z pseudo-Ligi Narodów na tej zasadzie, że ich położenie geograficzne lub też forma ich rządów rozbieżne są z interesami strategicznymi, bankowymi czy kolonialnymi państw przewodzących;

że z drugiej strony niepodobna udzielić żadnego kredytu moralnego instytucji, która, przyjmując, jako zasadę, wolność decydowania o sobie narodów,

nie pomija żadnej okazji deptania nogami tej zasady; że Imperjum Brytyjskie, nakładające na Irlandję, na Egipt, na Indje najokrutniejsze i najhaniebniejsze jarzmo, okazało się, bardziej niż wszelkie inne państwo, ponoszące winę zbrodni militarizmu, niegodnym szacunku i zaufania narodów ucywilizowanych —

łączy się z analogiczną deklaracją Republiki Irlandzkiej;

wyraża wiarę swoją w sumienie powszechne, które zniewoli wszystkie narody do napiętnowania, obłudy i wyparcia się pseudo-Ligi Narodów,

i formalnie oznajmia niezachwiane swoje postanowienie opierania się siłą wszelkiemu aktowi pseudo-Ligi Narodów, wymierzonemu przeciwko miastu, portowi czy najmniejszej z pośród miejscowości, wchodzących w skład terytorjum fiumeńskiego.

Szef Urzędu Spraw Zagranicznych

Leon Kosznicki

Edoardo Susmel

Członek Rady Narodowej, przydzielony

do Urzędu Spraw Zagranicznych

Kontrasygnował Szef Gabinetu,

Alceste de Ambris.“

„Rada Narodowa po zapoznaniu się z niniejszym dokumentem aprobuje jego treść i oświadcza, że

odpowiada ona jednogłośnie wyrażanym uczuciom obywateli fiumeńskich.

Przewodniczący
Doktor Antonio Grossich.

Fiume włoskie, 2 lutego 1920."

Zbytecznym byłoby dodać, że Sir Eric Drummond nie dał żadnej odpowiedzi. Wyobrażam sobie, że w Sekretarjacie Ligi Narodów pękać musiano ze śmiechu po otrzymaniu tego orędzia. Gotów jestem nawet przyznać, że proza nasza wydać się mogła nieskończenie barokową. Kto wie jednak, z kogo śmiać się będzie świat za sto lat?

Zdaje się wszelako, że Fiumeńczykom niezbyt zależało na tem, aby wypowiedziana przez nich prawda przybrać miała znaczenie wszechświatowe: jakgdyby prawda, tak samo jak wiara, nie była z natury swojej „nieskończenie szerzącą się“. Historjografowie Fiume, których ścisłość graniczy z pedanterją, o ile w grę wchodzi najbardziej zbędna z dyskusyj prowadzonych przez Radę Narodową, wolą wstydliwie osłaniać gazą tajemnicy przejawy żywotności budzącego grozę URE (UFFICIO RELAZIONI ESTERIORI)¹. Należy przypuszczać, że tak jest, skoro niepokojący ten urząd nie został zaszczycony wzmianką nawet w świeżo wydanym tomie Edwarda Susmela, który, jako członek URE, mógł sięgać bezpośrednio do źródeł — specjalne zadanie jego

¹) URE — UFFICIO RELAZIONI ESTERIORI (Urząd Spraw Zagranicznych).

polegało na utrzymaniu łączności z Radą Narodową —; powyżej też widzieliśmy jego podpis na dokumencie wielkiej doniosłości.

Prawda jest jak kropla oliwy, wylana na powierzchnię morza; ale ta kropla oliwy, rozlewając się coraz szerzej, sięga zarazem warstw coraz głębszych.

Rychło fumanizm, nowa doktryna, wcieliła się w trzy uzewnętrzniające ją i bardziej odpowiadające jej istocie formy. Były niemi: Liga fiumeńska, Konstytucja fiumeńska oraz „La Fiamma Intelligente“ (Płomień Rozumu) nowa ordynacja, ustalona przez d'Annunzia dla Regencji Carnaro.

Liga fiumeńska? Czy można było brać na serjo tę próbę zespolenia w jedną nierozdzieloną grupę wszystkich sił, ustosunkowanych wrogo do Ligi Narodów? Położenie geograficzne i sytuacja polityczna sprawiły, że w Fiume, położonem w pewnym stopniu najbliższej środka ciężkości Europy, zespoliły się potrzebne do tego warunki. Miasto zachodnie i łacińskie u przedproża słowiańskiego i mahometańskiego Wschodu zawdzięczało wolne swoje istnienie aktowi buntu; rzecz naturalna wobec tego, że narody ujarzmione zwracały oczy ku Carnaro.

Nie była więc tak śmieszną idea przeciwstawienia Lidze Narodów „Ligi fiumeńskiej“. W Ameryce zrozumiano to od samego początku, i opinja publiczna żywo zainteresowała się *Antyligą (Anti-League)*.

Niebawem nazwa Ligi weszła powszechnie

ważycie; pokazało się odrazu, że nadaje się ona do pieczętowania nią papieru listowego obcych narodowości. Czy spowodowałyby to napływ do Fiume Irlandczyków, Egipcjan, Turków, Albańczyków, Czarnogórców, Katalończyków, Indusów i Persów? Czy rząd Sowieców udzieliłby Lidze swojego poparcia? Dużo o tem mówiono w Pałacu w marcu i kwietniu. Zaczęły nadchodzić doniosłe zgłoszenia przystąpień. W pewnym momencie można było uwierzyć, że będziemy w Fiume świadkami niezwykłego widowiska; inauguracji *Salon des refusés* narodów, nieprzyjętych przez narody, stojące na straży, akademickie i *leonbourgeoisjne*. Stwarzanie walorów historycznych zależy jednak nade wszystko od szybkości wykonania. Tej wszelako wybitnej zalety napoleońskiej brakło zawsze Gabrjelowi d'Annunzio. Upływały tygodnie bezowocnego czekania na orędzie przeciwko węgierskiemu białemu terrorowi, które miał on napisać, aby samoloty mogły potem opuścić je na Budapeszt... Orędzie to miało poprzedzać wysłanie misji do Wiednia, która na pewno osiągnęłaby poważne wyniki: nie zrobiono nic. Stopniowo widnokrąg zacieśniał się, imponujące plany skurczyły się do wiele skromniejszych rozmiarów. Łódź „Ligi fiumeńskiej“ wciągnięta została w morski wir intryg bałkańskich, w których pierwsze role odegrali Czarnogórcy i Albańczycy.

Przy tej okazji ciekawem będzie zaobserwowanie, jak Komenda Fiume — pomimo popełnianych błędów i chwiejnego działania poomacku — nie traciła

nigdy z oczu dokładnego obrazu „zagranicznej polityki włoskiej“ bardziej jeszcze na Bałkanach i na Wschodzie, aniżeli na górnym i środkowym Adriatyku.

14 marca 1920 roku wręczyłem Komendantowi raport, zredagowany przez Gustawa Traglia, który świeżo powrócił z Albanji, gdzie pozostawał przez czas dłuższy w charakterze korespondenta rozmaitych pism włoskich. Traglia nie ukrywał niepokojącej sytuacji, w jakiej znalazły się wojska włoskie po poświęceniu przez rząd Nitti'ego — na rzecz wątpliwej ugody z Grecją i Serbją — terytorjalnej niepodzielności Albanji, formalnie i uroczystie zagwarantowanej przez Włochy w 1917 w proklamacji z Argirocastro. Zażęgło to ze wszystkich stron wojnę podjazdową przeciwko Włochom. I-go marca bandy nieregularne, do tego czasu pozostające na usługach Włoch, zostały rozwiązane i cofnęły się w góry, unosząc ze sobą broń. Najście na Walonę było już teraz nieuniknione, bowiem w tym samym czasie apel, z jakim Albańczycy zwrócili się do narodu włoskiego, przejęty został przez cenzurę i skonfiskowany.

Słowa Traglia okazały się istotnie prorocze: i tym razem młody i przenikliwy dziennikarz zdawał sobie jaśniej sprawę ze stanu rzeczy, aniżeli wszelkie Sztaby Główne. Gdyby Komenda Fiume mogła była wówczas podjąć się obrony Albańczyków w imieniu Włoch wbrew Nitti'emu, nie przyszłoby nigdy do wielu tragicznych epizodów.

Stwierdzić można rzecz ciekawą, że dzisiaj¹⁾ Włoskie Ministerjum Spraw Zagranicznych „*la Consulta*“, nieco zapóźno, zbliżyło się pod wieloma względami — specjalnie co do Albanji i Czarnogórze — do polityki fiumeńskiej z 1920: Albańczykom dostały się piękne słowa, a na polu Kossowskiem postawiono pomnik Gabrjelowi d'Annunzio.

To było wszystko.

Skąpe powodzenie polityki zagranicznej rychło skłoniło Komendanta do zwrócenia oczu ku innym celom.

Jako wódz maleńkiego państewka, dla którego kwestja przyłączenia do Włoch okazywała się naraźnie muzyką przyszłości, mógł uczynić zeń niezrównane pole doświadczeń w zakresie układów społecznych.

Fiume, miasto przemysłowe i nadmorskie dzięki swojemu portowi, było rolniczem na przedmieściach i w okolicy. Niczego nie brakło tutaj do całości obrazu: ani przedstawicielstw wszelkiego typu klas społecznych, ani żywej rozbieżności interesów, ani nawet węzła gordyjskiego: kwestji rasy i języka — i Gabrjel d'Annunzio poświęcił się zredagowaniu Konstytucji.

¹⁾ Pisane w lecie 1921 r. (Przyp. aut.).

Alceste de Ambris był jego niezmordowanym współpracownikiem w dokonaniu tego zadania.

Tekst ostateczny został opublikowany w sierpniu 1920.

Nie ulega wątpliwości, że owe sześćdziesiąt cztery artykuły tworzą skończone dzieło sztuki, którego każdy wyraz tchnie myślą mistrza. Jest rzeczą więcej niż pewną, że republika d'Annunzia podobałaby się, niczem wezola uroczystość, ze swoimi urzędnikami o szumnych nazwach, z korporacjami i ich harmonijnymi śpiewami, zgromadzeniami ludowymi i municypalnemi koncertami. Wspaniały triumf, oficjalna defilada w malowniczych strojach, wzorowanych na Carpacciu raczej, aniżeli na Ambrogio Lorenzettim. Miała tu być i Rada „Najlepszych“ i Rada „Zastępców“, i „Dobrzy Ludzie“, i „Sędziowie Pracy“, i „Sędziowie w togach“ — wszyscy odziani naturalnie w szaty z szkarłatnego sukna, jak Dante na filmach — i „Sędziowie przestępstw“: z obfitością liktorów mayerbeerowskiego zbrojnego pocztu, giermków, ludzi z orszaku, i innych grup i osobistości o nazwach równie średniowiecznych. Co znaczą te okrzyki? Głosy, następujące jedno po drugim, rzemieślników i członków bractw? Spójrzcie na falangi młodocianych terminatorów, niosących godła rozmaitych cechów! To nie trzeci akt „Śpiewaków Norymberskich“; bynajmniej; to dziewięć cechów fiumeńskich; a oto, sama jedna, dziewczyna: rozpuszczone loki, taka złotowłosa i taka zwiędła w białej swojej chlamidzie... zaskłoniła twarz

i kroczy zwolna, dzierżąc w prawej dłoni latarnię o podwójnym płomieniu; to cech dziesiąty.

Nie uosabia ona ani rzemiosła, ani liczby, ani słowa... Jest jakgdyby postacią ofiarnicy, poświęconej nieznanemu genjuszowi...

Za nią szkarłatna chorągiew Regencji: złoty wąż zwija się, zamykając w pierścieniu siedem gwiazd Niedźwiedzicy. I jeszcze tłumy radosne, potrzęsające ukwieconymi gałązkami...

Estetyzm, estetyzm, nieuleczalna choroba zachodniego upadku, choroba minionego stulecia... orszaki, pochodnie, literatura, *couleur locale*, odtworzenie historii, wielbienie czczej formy, złudnego pozor; akademizm, mózgi, nadziane zwodniczymi skarabami, bogactwo słów, dusze, nieznające wewnętrznego życia, serca, pozbawione liłości... Konstytucja fiumeńska jest szczytem pomysłowości dwóch pokoleń estetów, parnasistów, symbolistów, ruskinistów, wilde'zistów; naturalny wykwit sześćdziesięciu lat bibliotek, zbiorów, muzeów; to zabawka światowej erudycji, łatwej, opartej na bogactwie imion własnych.

A w każdym razie sen duszy szlachetnej.

Coś się kończy wraz z Konstytucją: strój wieczorny, który się odkłada, a kiedy wyjmujemy go ponownie po kilku miesiącach, znajdujemy wszystko zdefasonowane, wyszłe z mody, przysypane grubą warstwą pyłu.

Wraz z Konstytucją coś się rozpoczyna.

Gdyby nowemu Savonaroli przyszło na myśl oddać na pastwę płomieni Kartę fiumeńską, widziałby, jak trawi się w ogniu i rozwiewa w kłębach gęstego dymu skomplikowane pompatyczna groteskowość niesamowitych określeń: „lampa ofiarna“, „sędziowie przestępstw“, „dwór Rozumu“. Kiedy jednak rozwiałyby się ostatnie lotne popioły, ujrzałby z zachwytem zdumiewający, czarowny brylant najczystszej wody, którego nie zdoła naruszyć ogień najżarłoczniejszy. Tym brylantem, zrodzonym z płomienia stosu, który pochłania bezpowrotnie brylanty ziemskie, jest głębia myśli Gabrijela d'Annunzio, nieśmiertelne jądro jego dzieła, cząstka wiekuista jego serca. Chce on skierować ponownie dni i czyny ku owemu poczuciu harmonijnej radości, której zadaniem będzie głębokie odrodzenie ludu ostatecznie wyzwolonego z pęt niezmiennego ustroju, opartego na poddaństwie i kłamstwach.

Życie jest piękne i goan? tego, aby przeżywał je surowo i wspaniale człowiek, całkowicie przerodzony wewnętrznie drogą wyzwolenia;

człowiekiem w całej pełni jest ten, kto potrafi codziennie odkrywać w sobie nowe własne cnoty, codziennie darzyć swoich braci nowym darem;

praca, najskromniejsza nawet, najbardziej ukryta w cieniu, o ile dobrze jest wykonana, przyczynia się do spotęgowania piękna i zdobi świat.

U podstawy życia moralnego, na progu wszelkiego gmachu społecznego — PRACA: oto czego chciał Gabrijel d'Annunzio. Głosi on też religję świę-

Pod skrzydłami d'Annunzia — 11.

tego obowiązku, aby każdy człowiek mógł „ofiarywać własną pracę bliźnim swoim“.

Zupełnie miał prawo w przeszłości do wydania okrzyku: „*Io ho quel ch'ho donato!*“ — Posiadam to, czem obdarzyłem.—

Ten darzyciel radości, ten pracownik niestrudzony może służyć za wzór życia, całkowicie poświęconego wytężonej pracy. Mógł ongi opisywać próżniaków i bezsensowne ich zajęcia: spory i utarczki rycerskie, erotyczne szaleństwa, polowania na lisa. On sam wszelako był w najlepszym razie tolerowany jeno przez podobne „puste dusze“, a życie ich nie było nigdy jego życiem.

Pocieszającym jest stwierdzenie, że, po niezliczonych doświadczeniach, „król życia“, esteta nad estetami, literat z wyboru i zawodu, bard i bohater, żołnierz, walczący w setkach bitew, podżegacz narodów, ten, który ukochał miłość i śmierć, rozkosz i niebezpieczeństwo i umiał poskramiać je i lekceważyć — uznał wartość pracy, bez której życie nie ma znaczenia.

On właśnie jest na drodze ku światłu.

Jest na drodze ku litości.

Godzien jest wskazywać drogę innym i uczyć ich mądrości, jak uczył ich poznawania Dobra, i Zła i Poświęcenia.

Winien też czczonym być przez ludzi.

Bóg nie opuści go.

Uznał wartość pracy: od dedukcji do dedukcji, czy niema obawy dojścia tą drogą do bolszewizmu? A jeżeli nie do bolszewizmu, w każdym razie do czegoś mu pokrewnego? D'Annunzio powtarzał to bardzo często: wierzy on niezłomnie w bliski zanik ustroju parlamentarnego, opartego na „nieśmiertelnych zasadach 89-go“. Falszywe pojęcie OBYWATELA zastąpi osobowość PRACOWNIKA. Podobne ujęcie pociąga za sobą radykalne zmiany w poglądzie na własność.

Państwo nie uznaje własności jako bezwzględniego panowania osoby nad rzeczą, uważa je natomiast za najpożyteczniejszą funkcję społeczną. Żadna własność nie może być przywiązana do osoby, jakgdyby stanowiła nierozzerwalną jej część; ani też dozwolilić nie można, aby gnuśny posiadacz własności pozostawiał ją nietkniętą i źle się nią rozporządzał z pominięciem wszystkich innych.

Jedynym prawnym tytułem władania wszelkim narzędziem produkcji i zamiany jest praca.

Praca jedynie jest panią własności, która powinna przynosić maksimum korzyści gospodarce ogólnej.

Samo już uważne odczytanie tych zdań wystarczy do zrozumienia, w jakim stopniu tak pojęty sposób „utrzymywania“ własności wpływa na całe prawo handlowe, na układ sprzedaży i kupna, na dotychczasowe prawa i ich granice, na prawo dziedziczenia.

Miałaby d'Annunzio być bolszewikiem? Śród nieczystości fiumeńskiego zapanowała konsternacja. Rada Narodowa była zaskoczona i spłoszona.

Zręczni faryzeusze, zanim jeszcze zdolali zapoznać się z fatalnym tekstem, opracowali inną konstytucję, która co do ducha swojego i brzmienia niewiele się różniła od Karty Marji Teresy. Nadzwyczajne stanowisko zachowane było między innymi dla Komendanta, podniesionego do godności „Księcia Carnaro” i tytułowanego najwyższem określeniem „*Magnifico*” (Wspaniała). Zbyteczne zaznaczać, że naiwne pochlebstwo wywołało uśmiech politowania na ustach d’Annunzia. Głuchy duch opozycji zawrzał wówczas w szeregach mieszczaństwa. Nie ukrywano się z sympatjami dla urzędników, dochowujących wierności włoskim przepisom kodeksowym. Trzymając się rozpaczliwie oburącz wszystkiego, co mogłoby uchronić od zagłady dawne przywileje, nie przebierano w środkach, korzystając z każdego pretekstu oddalenia od Komendanta wszystkich, uważanych za „wywrotowców”.

Skandal wybuchł, kiedy Węgier, Mikołaj Sisa, ex-komisarz ludowy higieny przy Beli Kuhnie, przybył do Fiume. D’Annunzio trzymał się jednak mocno. Nie ustępował. Sisa pozostał kilka dni; dano mu do przejrzania naszkicowany w ogólnych zarysach projekt Konstytucji, który zyskał jego aprobatę: wyraził się o nim, że zawiera „wspaniałe zasady”. Rzecz szczególna! Pewien wielki przemysłowiec z Medjolanu, który w kilka dni później zapoznał się z Kartą fiumeńską, wyraził również niezmiernie z niej zadowolenie, nie szczędził też entuzjastycznych pochwał pod adresem d’Annunzia.

Faktem jest, że, składając najwyższą władzę w ręce przedstawicieli Korporacji, usuwał Komendant zło Parlamentaryzmu: izba wyborcza, oparta na podstawie powszechnego prawa głosu, zachowywała swoje funkcje jedynie w charakterze pewnego rodzaju senatu. Niepotrzebnie jednak porośli w pierze burżuje dzwonili na alarm, strasząc bolszewizmem: *d’Annunzio był i pozostał zdeklarowanym przeciwnikiem „dyktatury proletariatu”*. Wszystkie kategorie pracowników winny — w myśl jego koncepcji — grupować się w korporacje, zorganizowane na wzór „cechów”, w tej formie, w jakiej występowały one w średniowieczu włoskiem. Tem samym więc kierunek polityczny d’Annunzia, — mimo że mówił on często o zlatynizowanym bolszewizmie — w znacznie wyższym stopniu aniżeli ku komunizmowi, skłaniał się ku tendencjom, wybitnie antiburżuazyjnym. Nie zamierzał on bynajmniej robić z Fiume państwa proletariackiego; marzył jedynie o *wszechwładzy pracy*. Faktem jest w każdym razie, że jakkolwiek różnił się od koncepcyj rosyjskich jedynie proponowaną metodą rozwiązania zagadnień, dotyczących ustroju państwa, było jego „Miasto słońca” (*Città del Sole*) teoretycznie, z samego ducha swojego przeciwieństwem wszelkiego znanego typu „demokratycznej” burżuazji.

Wynikiem tego była nieprzewycięzona opozycja odpowiednich warstw fiumeńskich. W dniu 17 września 1920 uroczystie obwieścił Komendant ukonstytuowanie się „Regencji włoskiej Carnaro”,

a także obsadził stanowiska „Rektorów“. Nigdy wszelako nie została Konstytucja urzeczywistniona w tym duchu, w jakim ją ułożył. Bodaj że kano-
nada w dniu Bożego Narodzenia wymierzona była nietyle przeciwko buntowniczemu garybaldyjskiemu kondotjerowi, nietyle przeciwko miastu, burzliwemu i zapalonemu, ile przeciwko świątyni sprawiedliwości i wiekuistego piękna, której kamień węgielny położony został na wybranym gruncie Fiume.

Kupczący władaniem Carnaro są wreszcie zadowoleni. Ich prawem nie jest Karta d'Annunzia: koryguje ją Zanella, *jam jam redivivus*.

Prawdą zatem być musi, że narody mają takie rządy, na jakie zasługują.

W Konstytucji fiumeńskiej obszernie porusza d'Annunzio sprawę muzyki. Zapomniał poruszyć w niej sprawę kapieli. Punkt, który miał bądź co bądź swoją doniosłość. Rzymianie poświęcali tyleż starań urzędzeniu swoich term, ile upiększaniu pałaców i dekoracji świątyń. Dobrze się czyni, znie-
walając naród do czytania, pisania i śpiewania. Doskonale wszakże czyni się, zniewalając go do mycia się.

W październiku 1920 ułożył Komendant nowy kodeks wojskowy: „*La fiamma intelligente*“. Nie znam się na wojskowości, nie mógłbym więc wydać

sądu o podobnej próbie. I w tem jednak także wyrażała się wola nowatorstwa, śmiała na modłę nowoczesną: „płomień“ pożerał bez reszty dawną ostoję militaryzmu.

Szarże, wyższe od kapitańskich, zostały znie-
sione. Żołnierze tworzyli prawdziwe „Rady“, sprawujące do pewnego stopnia kontrolę nad szefami, do których wszelako należał wybór najwyższego Komendanta.

I to zarządzenie wywołało niemały skandal. Większość wyższych oficerów nie mogła zdobyć się na tyle poświęcenia, aby przyjąć, chociażby tylko w zasadzie, podobnego rodzaju organizację. Hałaśliwe protesty, wiece, kończące się jednogłośnie okrzykami oburzenia, powtarzały się z wściekłym roznamietnieniem: opowiadano mi o tem jeszcze w trzy miesiące po opuszczeniu przezemnie Fiume.

Wielu oficerów odjechało, pomiędzy innymi generał Ceocherini: odjazd jego dotknął boleśnie tych wszystkich, którzy żywili podziw dla waleczności jego i zapалу.

Kodeks wojskowy urzeczywistniony został w postaci embrjonalnej zaledwie, tak samo jak „Liga fiumeńska“, jak „Konstytucja“: „piękny sen“, o którym wspomina się z odrobiną żalu i żdźbłem zainteresowania.

Był to bądź co bądź zakątek świata, gdzie d'Annunzio mógłby własnymi oczami oglądać twory swojego ducha, natchnione życiem, urzeczywistnione.

Czyżby miało być prawdą, jak utrzymują niektórzy, że fiumeńczycy „nie stali na wysokości zadania?” Nie chciałbym powtarzać tego tutaj. Są zresztą wytłomaczeni. Zrozumiałe jest, że byli zdezorjentowani, dowiadując się o rzeczach, zupełnie obcych im dotychczas, uważanych przez nich za fatalne, wstrętne, potworne i słysząc, że broni ich i popiera je ten sam człowiek, w którym przywykli widzieć swojego zbawcę! Ostatecznie miasto, chociażby będące przedmiotem sporu, nie jest świnką morską do eksperymentowania. Należy się upewnić, czy się ma prawo czynienia zeń — ku większej jego chwale, ale wbrew jego życzeniu — doświadczalnego pola kultur socjologicznych i moralnych. Nie próbuję rozstrzygnąć tej wątpliwości; zauważę tylko, że „pole” eksperymentowania źle było wybrane.

Fiume, lenno cesarskie od wieków, ma długoletnią tradycję życia burżuazyjnego. Nieufny też jest jego stosunek do proletariatu, któremu przez tyle lat dawało schronienie w swoich murach, jako żywiołowi napływowemu.

Jeśli zaś fiumeńczycy wyobrażają sobie „Dobry Rząd” nie takim, jakim uosabiają go malowidła ściennie Palazzo di Siena¹⁾, ale raczej jako rodzaj mistycznych zaślubin Marji Teresy z deputowanym Zanellą, tem gorzej dla nich.

¹⁾ „Palazzo di Siena” — gmach municypjum w Sjenie, słynny jest z fresków, malowanych przez Ambrogia Lorenzetti (XIV w.) i wyobrażających „Dobry Rząd”. (Przyp. tł.).

Gabrielowi d'Annunzio nie starczyło czasu... Zmuszony był walczyć z niezliczonymi trudnościami. Cudownym wprost jest sam fakt, że potrafił zdobyć się na koncepcje ogólnoludzkie, że umiał ująć je w linje harmonijne wówczas, kiedy życie jego było nieprzerwaną gorączką pracy i czynu.

Okoliczności czasu i przestrzeni nie sprzyjały mu. Nadto inna jeszcze miara wkracza w zakres działań ludzkich: wola płomienna i uporczywa, będąca właściwą istotą sposobu myślenia Napoleona, Goethe'go, Cavour'a, Bismarck'a. Zbyt często okazywał się d'Annunzio chwiejnym, niepewnym; zbyt często zniżał się do ustępstw, liczył się ze skrupułami, cofał się w pół drogi.

Fiumeńskie jego koncepcje, ze względu na przenikające je piękno, wzniosłość i szlachetność uczuć, istnieją *sub specie aeternitatis*. O ile jednak rozpatrywać je zechcemy z punktu widzenia ich wyników, okaże się, że ten, co zapalić miał światło trzech nowych gwiazd na niebie ludzkości, dokonał tyle, tylko, iż dodał jeszcze trzy kamienie do jej piekła, wybrukowanego dobrami chęciami.

Szkoda.

VII

PROFILE FIUMENSKIE.

Nie sam d'Annunzio tylko jest w Fiume... Wpółśród zastępów Legionistów wypuklają się wyraźne indywidualności: duchowe oblicza, których pierwotna fizjonomia nie zatraciła się, twarze, opromienione swoistem, własnym światłem...

Chciałbym mówić o wszystkich, pragnąłbym utrwalić w mojej pamięci owe spojrzenia młodzieńcze, w których żarzył się płomień niewygasły. Chciałbym mówić o wszystkich. Ileż dokoła nas młodości czarownej!

Iskry ofiarnego stosu prześwietlą całe nasze życie.

.....

Ręką, drżącą i niepewną, wymodelowałem pięć profilów, profilów z gliny

„*sèche et fragile*“ — suchej i kruchej.

Wybrałem oblicza te nie dlatego, aby, bardziej niżli inne, zasługiwały na uwieńczenie ich skroni mirtem i laurem, ale jedynie dlatego, że częstokroć zdały mi się zwierciadłem własnych moich myśli, że dostrzegałem w nich odbłysek własnych moich niepokojów.

GUIDO KELLER.

O Kellerze niepodobna powiedzieć, aby miał rysy orle... Raczej orzeł daremnie usiłuje naśladować rysy Kellera.

Olbrzymia szopa czarnych włosów, wpadających aż w granat, broda, ciemna i gęsta, spojrzenie gorące, bardzo długie rzęsy charakteryzują niezapomniane oblicze tego niezwykłego człowieka.

Ubierał się często w sposób niekompletny, czasem niesamowity. Zdarzało mu się też przechadzać zupełnie nagim po nadmorskiem wybrzeżu lub w kamieniołomach Karstu, bynajmniej jednak nie z chęci wyróżnienia się oryginalnością; dla rzeźbiarza jest opalenie na brąz na słońcu kształtne, dobrze wymodelowanego ciała najnaturalniejszą rzeczą na świecie: Guido Keller był w istocie rzeźbiarzem.

Mógłby być satyrem, palikarem greckim czy członkiem Konwentu, mnichem w Umbrji, rozbójnikiem w Kalabriji, korsarzem w Algerze. Zamiast tego wszystkiego był rzeźbiarzem i to rzeźbiarzem we Florencji. Wojna uczyniła z niego lotnika i jakiego lotnika!¹⁾

W noc Ronchi jego interwencja miała doniosłość decydującą. Inni mówili mi o tem. Z niego samego nie możnaby nigdy wyciągnąć podobnego

¹⁾ Guido Keller nie czekał zresztą na wojnę, aby szybować w przestworzach — był jednym z pierwszych Włochów, którzy zdobyli dyplom pilota.

wyznania. Keller nie lubił przyznawać sobie poważniejszego znaczenia: rzadko widywałem u młodego człowieka tyle pogardy dla wyróżnień, zaszczytów, stopni i nagród.

Widzę go, zbliżającego się rozkołysanym krokiem; wygląd ma dość zaniedbany — krańcowe przeciwieństwo „sznytu wojskowego“ — ale z nim widać narodziny myśli, dziwacznej czy genialnej.

W kilku zdaniach hermetycznie zwartych rozwija niespodziewanie swoje teorie metafizyczno-polityczne. Ostrożnie!... Strzeżcie się nieporozumienia: nie zamierza wyklądać wam żadnego mitu platońskiego, ustępu z Giamblica czy Plotina; idzie po prostu o skłonienie Rady Narodowej do jakiegoś „*coup de main*“.

Zło i dobro, wzniesienie się poprzez upadek, odkupienie przez grzech, gałązka wawrzynu na skroni trupa, gwiazda, wyblaskująca ponad krzewami róż: obrazy, symbole, aforyzmy gonią jedne drugie; słuchacze zadają sobie pytanie, do czego to wszystko zmierza... Kilka chwil niepokoju... Niema powodu do obaw! Nie istniało nic przejrzystszego, nic ściślejszego, aniżeli bieg myśli Guida; nic bardziej harmonijnego aniżeli forma zewnętrzna, w jakiej umiał je zawrzeć. List, napisany przez niego, był girlandą splatających się wzajem obrazów.

Umiał w każdym razie przystosowywać czyny do słów.

Miał gest władczy, nakazujący.

W ciągu pierwszych dni „imprezy“ wprawiał

najdoświadczeńszych w podziw swoim talentem organizatorskim, swoją sztuką skupiania społeczeństwa żywołów, najbardziej rozbieżnych. Podczas „pięciu dni”¹⁾ jego tchnąca pełnią spokoju odwaga i niezachwiana waleczność wzbudzały zachwyty największych śmiałków.

Gabrjel d'Annunzio tyka bardzo wielu. Guido Keller, jedyny spośród swoich rówieśników, tykał Gabrjela d'Annunzio. Nie stchórzył też, ilekroć zachodziła potrzeba przemówienia do niego z męską, lojalną szczerością.

Jego serce, płonące ukochaniem ludzkości, znajdowało zawsze słabych, których należało bronić, smutnych, których wypadało pocieszać, gnębionych, nad którymi trzeba było rozciągać opiekę. Rozumiał ten człowiek sprawiedliwy, że największe niesprawiedliwości na świecie popełniane są w imię sprawiedliwości. Chętnie otaczał się odrażonymi przez społeczeństwo, nie traktował z pogardą kobiet upadłych, dopomagał przestępcom nawet; jego dusza Franciszkanina uratowała wiele dusz.

W trzynastym stuleciu beatyfikowanoby go; w naszych czasach mogły go spotykać liczne dołkuczliwe wydarzenia. Skryby i Faryzeusze pałali nienawiścią do tego niewygodnego dla nich osobnika, wglądającego we wszystko, tak samo niecofającego się przed zdzieraniem maski z drobnych

¹⁾ „Pięć dni” („Cinque giornate”) dni obrony Fiume przeciwko wojskom włoskim — od 25-go do 30-go grudnia 1920 (Przyp, tłum.)

hipokryzji, jak przed piętnowaniem wielkich podłości.

Robiono wszystko, co można, aby nadać mu piętno warjata.

Zabrał z sobą osła do samolotu.

Ze szczytów niebios rzucił białą różę na Watykan i... nocne naczynie na Motecitorio.

Wynajął w górach pustelnię Cosale; wraz z Furstem, Comisso i paroma innymi spędzaliśmy tam całą noc na improwizowaniu najdziwaczniejszych dekameronów, żywiąc się chlebem i miodem, pijąc mleko. Keller hodował tu orła, którego nazywał własnym imieniem: Guido.

Robiono wszystko, co można, aby nadać mu piętno warjata.

Bronił Carla Reina. Reina nie był zdrajcą ani intrygantem, trzeba było jednak prawdziwej odwagi, aby stawić czoło ślepemu zaciętrzewieniu opornych, okrutnej zawziętości, z jaką zwalczano tego, który był pierwszym żołnierzem Ronchi.

Czasem zniknął Keller na szereg tygodni.

W momentach poważnych powikłań widzieć go można było krążącego niespokojnie w pobliżu, podobnego do ptaków, wieszczących burzę. Umiał „przeczuwać burzę”; „znał” się na niej. Niejednokrotnie znajdował i wypowiadał właściwe słowa, natrafiał na właściwy gest; samym faktem swojej obecności zażegnawał i ratował zagrożoną sytuację.

Legjoniści wielbili go, urzędnicy pałacowi drżeli przed nim, małe dzieci uważały go za diabła.

Pod skrzydłami d'Annunzia — 12.

Guido Keller: serce ś-go Marcina, broda Rasputina, wzrok Machjawela.

Pełnił doniosłe misje zagranicą, specjalnie w Wenezueli; zdobywał się na cuda waleczności na południu Cyrenajki i w Trypolitanji... I po dokonaniu tylu czynów bohaterskich zginął śmiercią niedorzeczną, głupią, niegodną człowieka takiego jak on. Zginął z powodu wypadku samochodowego w pobliżu Rzymu, 10 listopada 1929 r. Gabrijel d'Annunzio wyraził życzenie, aby śmiertelne szczątki ukochanego jego Legjonisty spoczęły w ogrodach Vittorialu, gdzie miłujące dłonie z pietyzmem ułożyły go przed kilkoma tygodniami do snu wiecznego.

Keller był predestynowany do wczesnego końca: szukał go często.

Ten bojownik ze śpiżu nie był stworzony do życia w tem stuleciu z gliny.

LUDOVICO TOEPLITZ DE GRAND RY.

„Nie boję się ognia“... — brzmiało ówczesne jego godło.

Przez ile ogni przeszedł, zanim się zjawił tutaj? Skąd bierze się u niego ten akcent, drgający zapalem, dający się wyczuć pod powłoką sceptycznego uśmiechu? Skąd to zimne zuchwalstwo, ta pogarda dla możnych i dla potęg?

W zaraniu bieżącego stulecia bawił się mały chłopczyzna na plaży Westendu... Fale suchego piasku obsypywały gołe jego nóżki... w godzinach odpływu *char à voile* mknął, mknął w dal... W sierpniowy ranek matka wołała: *Luteczku, Luteczku!*...

Wujowie i ciotki przybywali z tajemniczego kraju, którego nie wyszczególniały atlasy geograficzne, ale którego mapa wryta była w sercu tych, co go kochali. Ludovico dowiedział się od ojca swojego o Polsce, poznał cnotę cierpliwego, długiego czekania, wytrwałego nietracenia nadziei, żywienia niezłomnej wiary w urzeczywistnienie upragnionej całą duszą niepodległości.

Matka jego, Belgijka dostojnego rodu, przekazała mu, wraz z sercem czułym i wrażliwym, nigdy niewygasające ukochanie wolności.

Ludovico zapoznał się z wojną, przebywszy ją od początku do końca. Przeżył najgwałtowniejsze jej udreki; nie brakło go tam, gdzie srożyła się najokrutniej; zawsze zachowywał niezmacony spokój, wdzięk i milczenie; stawiał czoło śmierci bez deklamacji i bez zuchwalstwa, jak przystoi człowiekowi dobrze wychowanemu.

Nie boję się ognia.

Ludovico pisze wiersze, wiersze bardzo piękne.

„*Pielgrzymi z San Brandano*“ (*I Pellegrini di San Brandano*) mają strofy głęboko liryczne.

Poeci, skupiający się dokoła d'Annunzia, zmuszeni są zatajać swój „zawód“ wobec autora „*Laudi*“, chociażby celem uniknięcia epitetu „wytworny“,

jakim Komendant hojnie szafuje w stosunku do wszystkich rymotwórców. Ludovico naprawdę nie boi się ognia: ofiarował swoje liryki Gabrjelowi d'Annunzio i d'Annunzio wielce je ceni. Pewnego dnia w Ornitorinco po wieczerzy usiadł Ludovico na ziemi ze skrzyżowanymi nogami u stóp Komendanta, który otworzył tom „*Pielgrzymów*“ i odczytał nam tragiczne dzieje Judyty.

Wyrzeźbione subtelnem dłutem strofy uwięczył poeta, niby diademem, koronującym płomieniem — „*coronata fiamma*“ — swojego głosu.

Od tego, który nie bał się ognia, odwróciły się rychło oczy Pana. Nie zdjął jeszcze żałoby po uwielbianej matce, w kilka zaledwie miesięcy po utracie najdroższego przyjaciela, epika Fulcieri Paulucci di Calboli, odumarła go — w pologu wraz z dzieciątkiem — młoda małżonka, Gabrjela Porro.

Inny byłby zamknął na zawsze na sprawy świata oczy spalone łzami, byłby, ślepy na wszystko idące z zewnątrz, zamknął się w sobie i w swoim bólu, — Ludovico nie oderwał i teraz ramion od zachłannego ogniska życia, wzrok tylko, jaki zwracał odtąd ku płomieniom, po dawnemu dziecięcy i bolesny, przyćmił mu nieco pryzmat wylanych łez.

„*Pięć dni*“ przeżyliśmy pospołu w obszernej siedzibie, noszącej miano „*Casa Tolentini*“. Wkońcu Ludovico, na którego zwróciła baczne oko Kwestura, umknąć musiał ukrytą furtką i na małej łodzi motorowej schronić się bezpiecznie do Fiume.

Po powrocie przywiózł z sobą kamień, który kanonada, skierowana na pałac przez załogę „*Andrea Doria*“, wyrwała z jego murów. Kamień ten umieścił jako trofeum w ogrodzie i u podstawy pomnika wyryć kazał następujący napis:

KANONADA KRÓLEWSKIEGO OKRETU
WOJENNEGO „ANDREA DORIA“,
KTÓRA W FIUME WYRWAŁA TEN KAMIEŃ
Z PAŁACU DWORU BIZANTYJSKIEGO,
SWIADCZY O NIEDORZECZNEJ
ZACIEKŁOŚCI KRÓLEWSKIEGO RZĄDU,
O KOŃCU NIESZCZĘSNEJ NASZEJ
WŁADZY DOCZESNEJ,
O ROZSYPIANIU STOSU;
ZAZNACZA NASTĄPIENIE NOWEGO
PORZĄDKU.

FIUME DEL CARNARO

XXVI — GRUDNIA — MCMXX

Ludovico powrócił na właściwą swoją drogę. Wszędzie jest na swoim miejscu, wszędzie czuje się jak u siebie w domu — z ludźmi wielkiego świata i z bankierami, z poetami i z tancerkami, w towarzystwie ultramontańskich klerykałów i pośród anarchistów.

NIE BOJĘ SIĘ OGNIĄ.

Salamandra czy kameleon?

Jest człowiekiem genialnym. To jedynie ma znaczenie.

Ludovico może rozstać się z „casa Tolentini“: nie należy do ludzi, odczuwających potrzebę trwałego wrośnięcia korzeniami, zestarzenia się pod jednym i tym samym dachem. Nad głowami błędnych wędrowców rozpiął Stwórca firmament nieba, jako sklepienie namiotu... Noc ma swoje drogi... Coś z nas pozostaje trwale w miejscach, przez które przeszliśmy raz jeden chociażby w życiu. Jak pięknym będzie za osiemdziesiąt lat ogród „Tolentini“! Zmieni wielokrotnie właściciela, ale zawsze pozostanie tym samym: w Wenecji nic nigdy się nie zmienia. Drzewa wyrosną. Obok dawnego muru przejdzie młodzian jakiś, szczęśliwy, że udało mu się trafnie dobrać rymy pierwszego napisanego sonetu — będzie się jeszcze wówczas pisywało sonety! — spojrzenie jego padnie na napis, nawpół ukryty pod obrastającym go mchem; spróbuje odczytać go!... „Kanonada królewskiego wojennego okrętu... „Andrea Doria“, która w Fiume wyrwała...“ Uśmiech. Roźtkliwienie.... Jacyż romantycy żyli w 1920!... Jak pięknie być musiało być młodym poetą pod skrzydłami Gabrijela d'Annunzio!... Już młodzian obmyśla strofy w guście archaicznym, w stylu Guida Gozzana....

Wiek, do którego należymy, jest naszą ojczyzną w czasie. Ci, którzy z racji swojego urodzenia, nie są związani z jednym zakątkiem ziemi, winni — w braku czego innego — kochać swój wiek: jego styl, jego zwyczaje, kierunek myśli, cierpienia, marzenia; kochać tych, w których wiek ten znalazł wcielenie najpełniejsze: wielkich mistrzów, dusze, bogatsze od innych, twarze, tchnące gorętszym zapałem.

Ludovico Toeplitz de Grand Ry jest człowiekiem swojego czasu.

HENRY FURST.

D'Annunzio był w Fiume od paru dni zaledwie, kiedy otrzymał list od pewnego Amerykanina, zaofiarowującego mu swoją pracę i wyrażającego gotowość objęcia najskromniejszych bodaj obowiązków. Komendant odpowiedział mu (któż może dociec z jakiego powodu? On, który nie odpowiada nigdy nikomu!) jednym wyrazem: „Przyjedź!“ I Henry Furst przyjechał. Dano mu stolik, przy którym wziął się do pracy. Nikt wówczas nie pomyślał jeszcze o propagowaniu sprawy fiumeńskiej zagranicą; Furst pierwszy poświęcił się uregulowaniu jej, zwalczając po mistrzowsku wszelkie na tej drodze trudności. Poeta — w pismach swoich i w całym stylu swojego życia, człowiek śmiały — w mowie i w czynie; rodzaj i cechy jego pracy dają

mu nadewszystko prawo współpracowania z autorem „Laudi“.

W jego umyśle, pozostającym w stanie nieustannego wrzenia, skłębia się o każdej porze dnia dwadzieścia uczuć różnorodnych z dwudziestoma rodzajami pojęć. Zrazu człowiek czuje się nieco zdezorjentowanym; jest to niby jakaś „równoczesność obrazów“, których płaszczyzny i wypukłości nabierają życia... Nadto interesuje się Furst wszystkim, czyni obserwacje nad wszystkim, nie ma szacunku dla żadnej hierarchji, dla żadnej zasady władzy. W zachłannym potoku jego słów toną niewymieniani; jego akcent amerykański skłania ku pobłażliwości dla jego niezawsze nienagannych żartów. Wielu nie może go znieść, bo jest cudzoziemcem („a kto go może wiedzieć...? czego tu szuka ten warjat...? kto go nam tu przysłał...?“). Bo jest inteligentny i pisze bezbłędnie po angielsku, po francusku, po niemiecku i wieloma innymi językami. Bo zdarza mu się w rozmowie rzucać cytaty greckie — przyzwyczajenie, obrażające tych, którzy nie chcą dać poznać, że nie zrozumieli. Bo posiadał dar wyjątkowej, nieprawdopodobnej sprawności i w dwie godziny daje sobie swobodnie radę z tem, na co poświęcić muszą w przybliżeniu cztery dni inne trzy osoby, wezwane pospołu do wykonania tego samego zadania. Bo Komendant zachowuje się zawsze wobec niego z przyjaźnią i należycie ocenia jego oddanie. Bo jest nieznośny; bo jest przemiły.

W listopadzie otrzymał *Uroczystą Pochwałę* i zamianowany został podporucznikiem dalmatyńskiego legjonu. Było się wówczas świadkiem nadzwyczajnego widowiska: Furst, jako twórca nowego „wielce fantastycznego“ munduru, który sam też wprowadził: olbrzymi płaszcz lazuruowy, alpejski kapelusz, niekończącej się długości orle pióro, kurtka „ardita“... Brak poszanowania dyscypliny dochodzi u niego do niemożliwości; pewnego dnia posadzony został na odwach „za przejażdżkę wierzchem na mule“.

Dojeżdżanie muła stanowiło niewyczerpane źródło żartów. Kompanja d'Annunzia wypożyczała wierzchowce Kellerowi; jechało się przez Karst do Val Scurigne, wiosennej willegjatury Guida; w lecie aż do Cosali. Wieśniacy, którzy nas znali, przewalili nas „*gli Inglesi*“ — Anglicy. Ilekroć też, przejeżdżając pięknym pejzażem zatrzymywaliśmy się przed harmonijnym wieńcem Carnaro, oni, niewidzący zupełnie tych cudów, patrzyli na nas ze zdumieniem. Nieinaczej na cichem wybrzeżu laguny rybacy przed stu laty patrzeć musieli na dwóch przechodzących tamtędy „Anglików“: Byrona i Shelley'a.

.....

VENIERO.

Pewnego dnia byliśmy świadkami przybycia jeszcze jednego Amerykanina: twarz okrągła, jowial-

na, wejrzenie pogodne, krok rześki, pomimo tendencji stania się prędzej czy później „zażywnym panem“¹⁾.

Mówi po francusku jak Paryżanin, po włosku jak Rzymianin, który uczęszczał do szkół, po angielsku jak Amerykanin...: podniesienie głosu na ostatniej sylabie zdradza przybysza z za Oceanu. Co się tyczy wszystkiego innego, może powstrzymać się, ile chce, od żucia *chewing gum*, i od noszenia okrągłych szkieł w oprawie z szyldkretu: mówi „*yir*“ zamiast „*yes*“, co chwila łapać go można na kołysaniu się całym ciałem i pogwizdywaniu ustępów *rag-time*, a, po szczegółowym obejrzeniu i zbadaniu Fiume, oświadczy, że „impresa“ nie osiągnęła jeszcze „*its full efficiency* — pełni swojej sprawności. — Któż to jest ten jegomość, ośmielający się wyrażać podobnym językiem? Kim jest on? Bardzo prosto: to Veniero! Veniero?! Ależ tak, tak; Veniero d'Annunzio.

Komendant ma trzech synów: Maria, Gabrieli i Veniera, najmłodszego, fabrykującego samoloty w Ameryce.

To on, odpowiednio zamerykanizowany, przybywa powitać ojca, który stał się głową państwa.

„Veniero posiada ową komórkę zmysłu praktycznego, której brakło zawsze w mózgu jego ojca“ — powiedział o nim d'Annunzio. Posiada nadto złote serce. Przed przybyciem do Fiume pojechał

¹⁾ Jak dotychczas ta przepowiednia fiumeńska nie ziściła się.

uściskać matkę, którą bardzo kocha i o której nigdy nie zapomina.

Przyglądam się uważniej temu młodzieńcowi: poznaje zmysłowy nos, szerokie nozdrza, wyraziste wargi, ciężkie nieco powieki, kształt głowy „ważkiej jak bronz“. Odnajduję w nim jakiś gest, sposób chodzenia wyraźnie odziedziczony po ojcu.

Zamiast wszelako zielonawo-niebieskich, koloru morza, oczu d'Annunzia, zagadkowych i przerażających, jak oczy antycznych posągów, rozpoznaję jasne, przejrzyste, miękkie oczy Donny Marji.

Veniero nie pozostaje w nieustannej ekstazie wobec glorii, opromieniającej postać ojca. Opowiada nam historyjkę: Pewnego dnia w pullmanowskim wagonie starsza dama czyta gazetę: *By the way, who's Gabriele d'Annunzio?* (Ale, ale, kto to taki Gabryel d'Annunzio?). A mąż, z miną, wielce zdziwioną: *You've never heard him? Such a beautiful voice!* (Jakto?! Nigdy go nie słyszałaś? Ma taki piękny głos!).

W owym tyglu, do którego siedemnaście ras wrzuciło najróżnorodniejszy materiał aby stopił się on w nim w bronz przyszłej Ameryki, Veniero, syn Gabryela d'Annunzio i rzymskiej księżny, cennym jest niewątpliwie wkładem.

CICCIO.

Pewnego dnia Ludovico Toeplitz kupił lisa: pięknego lisa z wydłużonym, zaostrozonym pyszczkiem, z płowem futrem, z długim, puszystym ogonem.

Postanowił zaprezentować go Komendantowi i prosić, aby nadał mu imię. D'Annunzio zadecydował, że zwierzątko ma się wabić „*Furina*“. I zawołał na lisa: *Furina! Furina!* Lis, onieśmielony niewątpliwie obecnością sławnego człowieka, ani drgnął. D'Annunzio powtórzył jeszcze parę razy: *Furina, Furina!*, przyczem głos jego zmieknął, nabrał tonów, przymilnych i pieściwych, jakgdyby przemawiał do rosyjskiej księżniczki. Ale nasz lisek, zwinąwszy się w kłębek pod jednym z foteli, udawał, że nic nie słyszy; nawet przywabienie go kawałkiem cukru nie poruszyło go bardziej niż pochlebstwo humanistycznego mianownika.

Wówczas marynarz, któremu poruczono pieczę nad nim, chłop, mający niejedną grzech na sumieniu, zawołał na lisa: *Ciccio, Ciccio!*

I Ciccio, posłuszny, zbliżył się do marynarza.

Za inteligentną tę „odповідź“ modeluje profil przebiegłego lisa, Ciccia.

Z poza tego profilu wyłania się inny, własnego mojego lisa, wabiącego się *Iskra*. Kazałem mu sporządzić piękną klatkę z łąt drewnianych; umieściłem go „na pensji“ w Cosali u Kellera; dobrze odżywiany, pieszczony przez wszystkich podobny jest

jednak *Iskra* do swojego pana: pewnej pięknej nocy zrywa i rozbija wszystko i umyka.

W dwa dni później, wczesnym rankiem, odnajdują go, przycupniętego w głębi klatki ze zranioną nóżką; drżał na całym ciele jak dziecko w napadzie gorączki febrycznej.

Gdyby lisy umiały płakać, rzec możnaby, że płacze, tak pełne smutku było jego spojrzenie.

Koniec Ciccia był dziwny i zasługuje na przytoczenie go. Ostatni jego właściciel, hrabia Bonmartini, zabrawszy go z sobą w podróż, miał pomysł, iście fiumeński co najmniej: pójsć do Café de la Paix w Paryżu w towarzystwie lisa! Nasz lisek, odurzony niezwykłym gwarem, skorzystał z tej jedynej w swoim życiu sposobności i wymknął się, przebiegł naprzelaj przez plac Opery i znikł w jednym z piwnicznych otworów gmachu, którym uwiecznił się Garnier. Nie odnaleziono już więcej biednego Ciccia.

VIII

POCHODNIA POD DESZCZEM...

Pewnego dnia w mieście zaczęto odczuwać głód.
Kasy Komendy były puste.

Liczba bezrobotnych wzrastała.

Lir włoski puszczony był w obieg może nieco zbyt lekkomyślnie: pensje w dalszym ciągu obliczano w koronach wówczas, kiedy za chleb trzeba było płacić liram.

Czterdzieści koron odpowiadało mniej więcej pięciu liram! Tyle wynosił zarobek dzienny niemałej liczby robotników w Fiume!

Proletariat, którym nikt się nie opiekował, nie był w możności protestowania. *Siedziby związkowe*, socjalistyczna Izba Pracy, znosić musiały nieskończone udreki: na porządku dziennym były rewizje, wydalenia z miasta. Wystarczyło określenie: „socjalista”, aby mrozić krew w żyłach fiumeńskiej burżuazji: zaci ci ichmoście nie wiedzieli snać, że Bonomi i Mussolini rozpoczęli działalność swoją od redagowania „Avanti”, że wielki, ukochany Vandervelde jest ministrem króla belgijskiego, że wogóle w krajach zachodnich pseudo-socjaliści są mocnymi, niezastąpionymi filarami ustroju burżuazyjnego.

„*Siedziby związkowe*” nieśmiało próbowały opie-

rać się arbitralnym wyrokom. Trzeba też było za wszelką cenę i wszelkimi możliwymi środkami przysłuszyć okrzyk cierpienia i nie dopuścić, aby doszedł on uszu dyktatora. Don Basilio czekał. Zdecydowano, że wszyscy socjaliści fjużeńscy oraz ci wszyscy, którzy nie zadawalniają się trzydziestoma koronami dziennie, są agentami jugosłowiańskimi, niebezpiecznymi emisariuszami na zbrodnie Belgradu. Dano im to bardzo wyraźnie do zrozumienia. *Kwestura*, będąca w gruncie rzeczy dawną policją węgierską, wylamywała się najzupełniej z pod autorytetu Komendy d'Annunzia. Podporządkowana wyłącznie Radzie Narodowej, od której całkowicie była zależna, nie przestawała być nigdy szkodliwym narzędziem w rękach ludzi, zaślepionych stronniczą zaciekłością lub osobistymi urazami; zorganizowana na modłę austriacką, liczyła w rządzie swoich funkcjonariuszy istnych zbirów, znęcających się nad aresztantami z nieludzkim okrucieństwem.

Pewnego dnia dał się d'Annunzio skłonić do zwiedzenia więzienia. Był to „najsmutniejszy widok w jego życiu” — jak się wyraził. Więźniowie leżeli stłoczeni w nieładzie w brudnych, pozbawionych światła i powietrza celach, błagając Komendanta, jak o najwyższą łaskę, o rozkazanie wydania im garstki słomy, na której mogliby wyciągnąć zbolące członki. Wielu było pomiędzy nimi skazańców politycznych; inni oskarżeni czekali na wyrok; sporo też było tylko poszlakowanych o rzekomo popełnione przestępstwa.

Kiedy w kilka dni później zapytałem jednego z funkcjonariuszy więziennych, czy dano już słomę do cel, odpowiedział mi dosłownie:

— Niema słomy w mieście; gdyby można było dostać, należałoby dać ją przede wszystkim koniom, dla których jest niezbędna. Konie przynoszą pożytek ludziom, a więźniowie to kanalje, które Państwo musi jeszcze żywić i które nie zasługują na dobre ich traktowanie

Brutalna ta odpowiedź została powtórzona Komendantowi, wywołując gwałtowne jego oburzenie: postanowił też zreformować system więzienny, znieść *Kwesturę*, przyspieszyć procedurę sądenia spraw politycznych i uwolnić tych spośród aresztowanych, którym nie można było dowieść notorycznie żadnego wykroczenia przeciwko obowiązującemu prawu. Słowem, zrobił wszystko, co mógł.

Czy może jednak dokonać czegoś wola bohatera — o ile nawet jest on bezwzględny władca — wbrew odwiecznej hipokryzji ludzkiej? Ustąpiono narazie wobec jego zapału, starano się uspokoić go ogólnikami... aby wnet potem powrócić do dawnego systemu prześladowań w niezmięnionej sile. Specjalnie upatrzonemi ofiarami *Kwestury fjużeńskiej* byli socjaliści.

Agenci Jugosławji? Wygodne oskarżenie. Możliwe niewątpliwie, że ludzie niepowołani wślizgnęli się pomiędzy szeregi robotnicze i uprawiali tam propagandę, wrogą Komendantowi i imieniu włoskiemu. Nie ulega wszelako kwestji, że podziwu godny

proletariat fiumeński był i pozostawał zawsze szczerze włoskim; wspaniale, humanitarnie włoskim.

Czy socjalistami byli ci, co ofiarowali gubernatorowi węgierskiemu szkatułkę do cygar z masywnego srebra? Nazwiska ofiarodawców wyryte są na wieku szkatułki; ślepy mógłby je przeczytać, ile że litery są wypukłe! Dar ten miał upamiętnić radosny dzień, w którym pierwszy statek węgierski spuszczonej został na fiumeńskie wody.

Czy socjalistą był jegomość, który wydał dwadzieścia tysięcy koron (w 1915 stanowiło to niezgorszy kapitałik) na udekorowanie festonami i kwiatami teatru miejskiego w ów dzień, w którym święcono „patriotycznym spektaklem“ opadnięcie w okolicach miasta statku powietrznego do kierowania?

Czy socjalistami byli ci, którzy na łamach dzienników, otoczonych czarną obwódka, opiewali *po włosku* cnoty Franciszka-Józefa? Czy socjalistą był ów poeta(?), który, z chwilą, kiedy kat wyzionął ducha, zaintonował smętny tren:

„Więzienie doczesne opuścił duch wzniosły...“

Kiedy, podczas wojny, gorliwy pewien monarchista zaproponował zmianę nazwy Piazza Dante na Piazza Francesco-Giuseppe, jeden jedyny głos odważył się zaprotestować na posiedzeniu Rady Komunalnej i napiętnować nikczemny ten serwilizm i bezprzykładną głupotę. Był to głos Samuela Mayländera, przywódcy socjalistów fiumeńskich.

Podporządkowane, tak samo jak dawniej, prawom i systemowi habsburskiemu, nie miały zarządy organizacji robotniczych szczególnego powodu do wdzięczności dla Komendy d'Annunzia aż do marca 1920 roku. Nigdy jednak nie okazały się w najmniejszej mierze nieprzyjawnymi w stosunku do Komendanta. Ażeby też podtrzymać niedorzeczną kampanję przeciwko miastu, musiała szara brać socjalistyczna, w braku czegoś lepszego, czepiać się świadectwa marnych jednostek, gdy natomiast fiumeńscy przywódcy stronnictwa w żadnym wypadku nie przyłączyli się do idjotycznych, złośliwych krytyk.

W mieście zaczęto odczuwać głód. Ogłoszono strejk generalny. Okoliczności wskazywały na osobę Komendanta, jako na naturalnego rozjemcę w tym konflikcie. Wezwano do Pałacu przedstawicieli robotników i pracodawców. Obraz, jakiego dano nam być wówczas świadkami, był szczególny: autor „Laudi“ przedzierzgnął się w żarliwego rzecznika interesów robotniczych. Dzięki jego usiłowaniom udało się wymusić na pracodawcach minimalną płacę dzienną w wysokości trzynastu lirów.

„Pracodawcy“! Jakgdyby praca była darem, udzielanym człowiekowi przez człowieka; jakgdyby praca mogła być *dawana*; jakgdyby praca nie była przyrodzonym darem człowieka, tak samo z natury rzeczy przynależną mu własnością, jak powietrze, światło, deszcz i słońce!

Scena epiczna: sam d'Annunzio zobrazował ją po mistrzowsku w krótkim szkicu, noszącym tytuł: „*Questo basta e non basta*“. (To wystarczy i nie wystarczy) i będącym jedną z najpiękniejszych z pośród napisanych przez niego kart.

Socjaliści równocześnie przedstawili Komendantowi memorjał, na który kazał on odpowiedzieć punkt po punkcie, czyniąc zadość większości ich żądań. Niebawem powstała chęć rozszerzenia stosunków, nawiązanych w ten sposób; Komendant wysłał mnie do Triestu, abym ułożył się tam z miejscowymi socjalistami w sprawie rozdawnictwa prasowych organów partyjnych w Fiume: w razie potrzeby miałem również przedyskutować sprawę ewentualnego pobytu korespondentów pism socjalistycznych, a nawet i przedstawicieli związków klasowych.

Małość dusz! Ciasnota serc!...

„...*Ludzie pomniejszają wszystko, gdy wszystko wyolbrzymiają losy*...“

Przypomniało mi się po dyskusjach triesteńskich to straszliwe zdanie d'Annunzia! Redakcja „*Lavoratore*“ (Robotnika) była ostoją nieufności, podejrzliwości, małostkowej krytyki. Zła wiara panowała tu jako wszechwładny dogmat.

Kampanja przeciw d'annunziańska i przeciwlejonowa, oparta na idjotycznych oszczerstwach, miała rozpętać się na nowo z wzmoczoną siłą.

Na drodze powrotnej do Fiume władczo narzuciła mi się wyraźna wizja: przegrana „imprezy“, przegrana całkowita, nieuchronna, bliska. Przywódcy włoskiego stronnictwa socjalistycznego, zaślepieni małostkowymi urazami, upojeni własną wielkością, ugrzęźli w partyjnym krótkowidztwie, a nadewszystko, skazani na beziłę ciasnymi granicami własnego ich intelektu, nie chcieli uznać w Komendancie Fiume przyjaciela klas pracujących, walecznego obrońcy ich ideałów, natchnionego szerzyciela ich wiary.

Odtąd zniewoleni byli socjaliści fiumeńscy do zdławienia ukrytych swoich sympatyj: systematyczne przeciwstawianie się działalności Komendanta było nakazem danym im zgóry.

Z drugiej zaś strony Komendant nie mógł już teraz stanąć Radzie Narodowej na przeszkodzie w jej zaciętrzewieniu przeciwko socjalistom. Bezpośrednie skutki takiego stanu rzeczy ujawniły się odrazu! Ujawniły się aż nadto wyraźnie. *Gabrjel d'Annunzio bliski był uwięźnienia w pół drogi pomiędzy własną ideologją, a własnymi stronnikami.* Własnymi stronnikami! Czy starczyłoby im siły do kroczenia jego śladami i do dalszego rozwijania jego wzniosłych, wspaniałe śmiałych koncepcyj? Czy potrafiliby nacjonaliści włoscy, w których duszach uczucie patriotyczne budziło tak szlachetny zapach, należycie zrozumieć Kartę Carnaro? A inteligencja mieszczańska, obserwująca imprezę z uwielbieniem, czy zgodzi się złożyć w ofierze swoje przywileje? Czy będzie umiała przyświecać całym Włochom po-

chodnią, zapaloną przy ogniu adriatyckim?... Nie, nie, po sto razy nie! Obok jednostek nieskalanych, niezłomnych, obok ludzi takich, jak Giurati, Tamaio, Castruccio, Castracane — niezwykle marynarz, godny wielkości swojego nazwiska; obok młodych myślicieli, urobionych w szkole nieustannego rozważania, gotowych do najwyższych ofiar, do naśladowania najwznioślejszego Antonia Masperi; obok tych wszystkich istniały szeregi ciemnych typów, tych, którzy zbliżyli się do Gabrijela d'Annunzio jedynie w celu śledzenia go i podpatrywania, szpiegowania każdego jego kroku, zyskania łatwości wbić mu w plecy sztyletu z tem większą pewnością ciosu z chwilą kiedy on sam, jego doktryny i jego Legjoniści mogliby okazać się nazbyt już niebezpiecznymi. Ci właśnie stali na straży; iluż innych pośród samych fiumeńczyków szykowało się już do opuszczenia go!

A ci, którzy powinni byli zrozumieć, ci, których obowiązkiem było czuwać niezmiennie u jego boku, aby go bronić — ci właśnie oddalali się, skrzeczając obelżywie.

.....

Zapał, żarliwa wiara, gotowość do ofiar, zespolone w obrębie całopalnego ołtarza, będące właściwym duchem ożywczym ludu i jego obrońców... wszystko to nie miało znaczenia dla przywódców socjalistycznych.

Płomień tej pochodni wszelako, wymykający się z rąk Gabrijela d'Annunzio, miał dostać się w ręce innych ludzi i innych ugrupowań i przerodzić się w ogień grecki, który posiać miał trwogę w sercach socjalistyczno-komunistycznego proletariatu. Olbrzymia odpowiedzialność z wzmoczoną siłą zaciążyła nad przywódcami Partji Socjalistycznej: spóźnione świadectwo komunistycznego deputowanego najlepszym jest tego stwierdzeniem.

A może też (dlaczego nie miałbym wyznać tego?) ów młodzian i jego egzotyczny akcent nie były tem, czego nam było potrzeba do zmierzenia się z szczywanymi lisami Triesteńskiego dziennikarstwa?...

Powracając w ów wieczór kwietniowy do *miasta życia*, zdawałem sobie sprawę z rzeczy nieuniknionej: wkroczyliśmy na drogę ku przegranej w wielkim stylu.

.....

Podróż moja do Zary pogłębiła i wzmogła to wrażenie.

Komendant postanowił posłać mnie tam, aby nawiązać łączność z biurem propagandy, założonem w Zarze pod egidą admirała Milla i zaopatrzonem w jak najbardziej celowe środki, między innymi, w stację radjotelegraficzną: zbytek, na który nie zdobyliśmy się nigdy w Fiume.

„Knin“ — parostatek, niezbyt wielki, krąży dwa razy tygodniowo pomiędzy Fiume, a Zará.

Rozkoszny odjazd przed świtaniem jeszcze.

Le printemps dort encore dans les bras de la mer. — Wiosna śpi jeszcze w objęciach morza.

Sciągnięcie lin, ryk syreny — ruszamy. Fiume wylania się na widnokręgu; słońce wstaje, budząc z uspienia góry. Pierwszy akt „*Tristana*“ — wiatr dmie w żagle (w lazurowy zawój młodej dziewczyny).

Mały parowczyk niegdyś — kiedy? — przepływał codziennie Kanał La Manche, nosił nazwę angielską, był natłoczony, o boki jego obijały się olbrzymie fale cieśniny; poprzez jego burzę wlewało się *whisky* i *gin*. Dzisiaj muskają go łagodnie fale, pozbawione grzebieni piany, nieruchome nieomal, bezszelestne, niby nieskończona pieszczota pocałunku. Morze kapie dzisiejszego rana wzrok w bajkowych błękitach: błękit nasycony, błękit dalmatyński, błękit, jaki malują na kartach pocztowych, błękit d'Annunzia, *Adria-blau*... Gdzie się podziało Fiume? Dalekie, hen na horyzoncie, rozwiane w głębi zatoki; mijamy teraz przepiękne wyspy, wybrzeża, wysadzone laurusami i pinjami. Biały dom na wodzie, to klasztor; dźwięk dzwonów przypływa do naszych uszu wraz z dolatującym do naszych nozdrzy smolistym zapachem pinij. Jeszcze

jedna wyspa i „*Knin*“ wpływa w wąski kanał; małe przystań; czarowny widok, Fata Morgana. Tam, na skale miasto, białe, jak mewa, piękne, jak galera ze swojemi trzema strzelającemi ku niebu scampanilami, podobnemi zdala do konarów drzew. Odpoczynek. Mamy półgodziny na zwiedzenie Arbe.

Zaułki weneckie; wszyscy mówią po włosku. Arbe jest wnuczką Serenissimy, ale wnuczką, wychowaną na wsi, silną, czystą, dobrze wymytą. Pnącza zwisają wieńcami wzdłuż murów antycznych pałaców; pinjowe lasy okalają miasto; w głębi zatoki pomiędzy pniami i konarami bieje klasztor kapucynów... spokój franciszkański... cisza... Był niegdyś miejscem schronienia galer weneckich, zaskoczonych przez Uskoków czy Turków; dzisiaj „wielki“ dzwon Katedry kołysze do snu wiecznego patrycjuszów, uspiionych pod rzeźbionemi płytami marmuru.

Dwa razy w tygodniu zatrzymuje się tutaj „*Knin*“; trzydzieści minut, poczem znów zapanowuje na wysepce cisza.

Włochy zapominają o niej... A traktat w Rapallo przydzielił Arbe Jugosławji.

Nigdy nie wtórowałem klątwom, rzucanym przez Komendanta na „świnopasów“(!) serbskich. Jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że w czasie trwania haniebnych targów, przerzucających narody i prowincje w ręce więcej dającego, niczem barany na jar-

marku, i Serbowie również czynili wszelkie możliwe wysiłki, aby zagarnąć jak można najwięcej na przekór wszelkiemu prawu, wysuwając, jako pretekst, względy „bezpieczeństwa militarnego“ czy też „wymogów ekonomicznych“.

Możliwe, że wyspa Arbe nie ma żadnej wartości dla Włoch. Bóg stworzył ją włoską; ci, którzy wyrzekli się jej, ponoszą olbrzymią winę wobec Boga, który ich sądzi, wobec cywilizacji, która nimi pogardza.

Pośrednicy w Rapallo podobni są do młodego *clubmana*, który, opróżniwszy doszczętnie swoje kieszenie i, chcąc mieć możliwość utrzymania kart w ręku, pozwala zabrać sobie klejnoty rodzinne.

„Zara, pétale blanc de la rose latine...“ — Zara, biały płatek róży latyńskiej...

Zara — błogosławiona, Zara — czarodziejka, rzadko chyba w czasie i przestrzeni kościoły, pałace, ogrody — ugrupowane zostały na rozkosz dla oczu w miejscu miłszem i bardziej pociągającym. *Ortigia* — syrakuzka w pewnej mierze, *Ortigia* adriatycka, mniej płomienista i bardziej harmonijna.

W ogrodach lew z San Marco, uśpiony wpobliżu fontanny, tu, gdzie gasili pragnienie legjoniści rzymscy. Jaka rozkosz przechadzać się pomiędzy wrotami stałego lądu i rozłonecznionem wybrzeżem! Człowiek, niezwiązany tradycjami z jednym wy-

łącznie miejscem na ziemi, ten kogo losy gnają po świecie, ma obowiązek szukania i zbliżania się do tych, których więzy mocniejsze i trwalsze zespalają z krajami, przez niego zaledwie przebieganemi.

Mój towarzysz podróży, jasnowłosy Nino Cerlienko, jest z pośród Legjonistów fiumeńskich najbardziej dalmackim. Ma łagodne, przejrzyste spojrzenie jak wody jeziora Sebenico, z którego głębi wyzieraają rzymskie ruiny. W mowie jego, zahaczającej się od czasu do czasu, ujawnia się żądza poznania, szczerłość i lojalność, pogodna naiwność tych, dla których olbrzymi wszechświat nowym jest wciąż cudem, nowem objawieniem.

Jak miło znaleźć się ponownie wśród Legjonistów, przy stole refektarzowym bataljonu *Carnaro*. Serdeczne powitanie ze strony Komendanta, kapitańa Corrado, i duch braterstwa bersaljerów wzruszają nas do głębi.

Zmiana sceny. Musimy udać się do pałacu gubernatora, do admirała Millo.

Mamy wszelkie dane przypuszczać, że admirał żałuje przysięgi, wiążącej go z Komendantem; nie zawsze serdeczne przyjęcie znajdują ci, którzy przybywają odwiedzić go w imieniu Gabrijela d'Annunzio.

Nie prosząc nas nawet, abyśmy usiedli, przytępuje gubernator Dalmacji odrazu do wybadywania mnie o moje przekonania polityczne: czem jestem — socjalistą, komunistą, patriotą? Stąd krok

już do ostrego krytykowania polityki fiumeńskiej. Oto w streszczeniu jego słowa:

Każdy powinien pilnować swojego. Czy to nasza rzecz wtrącać się do Egiptu, Irlandji czy Indji?! D'Annunzio!... tak, tak... jest przede wszystkim człowiekiem, który umie pociągać za sobą tłum, czems w rodzaju owego proroka, przebiegającego Grosse-tano, Davida Lazzaretti.

Admirał wie o tem z doświadczenia: „forestjer“ z reguły zna z Włoch tylko Wezuwjusz, Watykan, gondole, parę muzeów, kilka hoteli i kilka domów schadzek. Tym razem jednak Jego Ekscelencja pomylił się. Ów Davide Lazzaretti, wyciągnięty ni stąd ni zowąd na widownię — wiem bardzo dobrze — kto on taki.

I nagle w pamięci mojej odzywa się echo tętentu kopyt końskich... Z pustynnej Saturnji do Santa Fiora daleka jest droga... Na białej wstędze gościńca drga koronkowym deseniem cień kasztanowych liści. Przyjaciół mój opowiada mi o świętym i dziwnych jego przeistoczeniach. Na jednym z zakrętów wylania się Monte Labbro. Ruiny wieży, przy której Prorok z Amiaty gromadził swoich uczniów, zarysowują się na porannem niebie...

Przeprowadzenie porównania pomiędzy autorem „Laudi“ a woźnicą z Arcidosso wydaje mi się tak nieskończenie humorystycznym, że zaledwie moge powstrzymać się od śmiechu.

A morał tej bajki? Poeci, wielcy i mali, opiewajcie bohaterskie czyny marynarzy, dopóki starczy

wam natchnienia, strzeżcie się wszelako dedykowania waszych poezyj admiralom.

.....

Czy mieliśmy prawo spodziewać się innego przyjęcia ze strony admirała Millo? Czyż nie powiedziano mu, że jestem wielce czynnym emisarjuszem — czym i w imieniu jakiej władzy? — niebezpiecznym bolszewikiem, że szykowałem się w Zarze do wykonywania fantastycznych zamachów, że wywołam zaburzenia, że rozpętam bunt?

Na pożegnanie udzielił nam prawa pobytu...
aż do pierwszej możliwości odjazdu!

.....

W środowiskach legjonowych sądzi się admirała Millo bardzo surowo. Jakkolwiek nasze stosunki nie były tego rodzaju, abym miał czuć się szczególnie zobowiązany względem niego, niech mi wolno będzie wziąć go na tem miejscu w obronę.

Bohater z pod Dardanelów bronił rzeczywiście prawy włoskiej w Dalmacji z poświęceniem całego życia. Przeszedł straszliwą kalwarję. Wszystko, na co mogły się ważyć tradycja, wychowanie, opróżniona sławą przeszłość, wszystkiego tego nie uląkł ten szlachetny wilk morski. Czy można było żądać od niego więcej?

Z drugiej zaś strony, czy powinniśmy byli dziwić się, że tu i owdzie nie patrzył życzliwym okiem na tego czy owego z pośród Legjonistów, bujającego w obłokach i przybywającego z Fiume specjalnie, aby w mundurze boliwijskiego generała prawić mu tonem proroczym pouczające kazania?

Rozumie się samo przez się, że, co się mnie tyczy, nie zjawilem się u niego ani w podobnym stroju, ani w takiej misji. Tyle mu jednak nagadano złego o mnie! Winę, jeżeli może być wogóle mowa o winie, ponosił tu wyłącznie Gabrjel d'Annunzio.

Po powrocie do Fiume „pierwszą okazją”, nie powstrzymałem się od powiedzenia tego Komendantowi:

— Powtarzasz stale, mistrzu, że impreza jest morska, że Fiume jest miastem morskiem. Napisał pan wszak:

„Arma la prora e salpa verso il mondo“ (Zbroi przód okrętu i podnosi kotwicę ku światu).

Władcy morza powinni iść z tobą. Ale któż to są ci władcy morza? Nie ci, których wybrałeś, nie ci, którzy wloką za sobą po falach kadłuby bezpłodne, rodziciele śmierci; są nimi, przeciwnie, pracownicy morza, pokorni, skromni, cisi; ci, co trują się i cierpią, aby statki w hartownych wnętrzach swoich sprowadzały chleb, życie i bogactwo do Włoch; rybacy, którzy nocami wyciągają na brzeg sieci do suszenia, i piloci, sprawni w wymijaniu skał; maszyniści, zanurzeni w piekielnych czelusiach, nie oglądający nigdy słońca; i chtëpcy okre-

łowi na bocianiem gnieździe, wpatrzeni wciąż w gwiazdy. Oto prawdziwi władcy morza. Ku tym iść należy; ci przyjdą do ciebie, mistrzu. Ich siła będzie twoją siłą; ich potęga — twoją potęgą...

W Komendzie Fiume rozpoczynał się „okres błędów”. Pewnego dnia oznajmił Komendant w przemówieniu swoim zamiar przesunięcia granicy włoskiej aż do Cattaro i wyliczył wszystkie miejsca, których aneksję miał obwieścić. W parę dni później jakiś interesant zjawił się w Komendzie i zaproponował odstąpienie Rządowi Węgierskiemu znacznego zapasu wojennego materiału. W tym samym właśnie momencie, kiedy d'Annunzio przyobiecał napisanie orędzia przeciwko białemu terrorowi! Na szczęście, propozycja pośrednika wywołała jednogłośnie wybuch wściekłego protestu, przestano więc już mówić o interesie.

Położenie Alcest'ea de Ambris zaczynało stawać się niepewnem. Coselschi'ego i Fursta już nie było. Pozostała, co prawda, w najbliższym otoczeniu Komendanta garstka ludzi, patrzących trzeźwo na rzeczy: Giuseppe Piffer, kapitan „arditów“ z Trento, nieśmiały i żarliwy, także Giovanni Bonmartini, któremu d'Annunzio, chętniej niż komu innemu, powierzał wykonanie zadań, wymagających większej przebiegłości, poznał bowiem w Fiume jego subtelną przenikliwość i niezrównany, jasny sąd o rzeczy. Czy jednak mogli oni przeciwstawić potędze nieumkniętego?

Zuchwałstwo Kwestury wzrastało z dnia na

dzień. Areszty sypały się na lewo i na prawo: pewnego pięknego poranka rozlepiono na murach obwieszczenie o wprowadzeniu sądów polowych. (Sądy te, spieszę dodać, nie rozstrzelały nigdy nikogo).

Niepodobna było utrzymać solidarności z Komendą. Zarządziłem przyspieszenie druku „*Fijotkowej książki*“, zawierającej najdonioślejsze akty i komunikaty Wydziału Spraw Zagranicznych; 2 lipca była publikacja ta gotowa. Czulem się ostatecznie wyczerpany, niezdolny do niczego: dziesięć miesięcy nieustannych „*Bals des Ardents!*“ Było czem poszarpać nerwy najsolidniejsze!

Napisałem do Gabryela d'Annunzio następujący list:

Włoskie Fiume, 2 lipca, 1920

Komendancie,

Mam zaszczyt złożenia w Twoje ręce przy niniejszym piśmie pierwszego egzemplarza „*Fijotkowej książki*“, ogłoszonej przez Twój Wydział Spraw Zagranicznych.

Publikacja ta zamyka okres działalności politycznej Komendanta Fiume. Ważnem było w samej rzeczy dać poznać światu doniosłość niezapomnianego czynu w Ronchi; doniosłem było zadaniem ustalenie stosunku duchowego, jaki zachodzi pomiędzy tym aktem wzniesłego buntu, a zasadniczymi zagadnieniami pokoju w

Europie: ingerencją sił anglo-saskich do spraw stałego ładu, pseudo-Ligą Narodów, zdławieniem małych narodów, kwestją rosyjską i mułmańską, tendencjami reakcyjnych rządów Belgradu i Budapesztu do ekspansji ku Adrjatykowi.

Dzisiaj już innemi środkami szerzyć należy płomień fiumeński.

Wówczas, kiedy rozdmuchany on został przeciwko powszechnemu gwałtowi, kiedy stawił śmiało czoło nieuzasadnionemu zaciętrzeniu Wilsona, gniewowi Brytyjczyków i haniebnej wściekłości Cagoi, Fiume, miasto płomienne, zdawało się ziemią wybraną, na której przypieczętowany miał zostać Pakt Buntu przeciwko wszelkim potwornościom, przeciwko wszelkim obłudom wstrętnego wieku.

Wszystko jednak układa się stopniowo.

Dzisiaj zaprzecza miastu Fiume słusznie należnych mu praw jedynie nieuczciwy przeciwnik lub wróg, ziejący nienawiścią.

„L.A.B.E. T.H.N. N.I.K.H.N.“

Spełnia się proroctwo, wyczytane przez Ciebie z kryształu antycznej czary pewnego poranka listopadowego w Zarzel

Komendancie, pociągnęła mnie rola przyświecającego pochodnią w noc ciemną na wybrzeżu w czasie burzy.

Nie pociąga mnie stanowisko strażnika latarni morskiej.

Mała ta broszurka zawarła w sobie działalność dziesięciu miesięcy.

Z tych kartek konwencjonalnych, czasem nawet protokularnych, z tych zdań suchych, jak bezpłodne wybrzeże Chersu, wieje tchnienie ideału i braterstwa. Mała ta broszurka zawarła w sobie wspaniałe marzenie.

Kiedyś w przyszłości stanie się ona białym krukiem, który wydierać sobie będą bibliofile.

Składając pracę tę w Twoje ręce, Komendancie, mam zaszczyt prosić Cię, abys zechciał łaskawie przyjąć moją prośbę o zwolnienie mnie z czynności, jakie raczyłeś powierzyć mi w Komendzie Fiume.

Zdrowie moje mocno jest nadszarpnięte; potrzebny mi jest długotrwały wypoczynek; choroba moja nie ma, niestety, nic wspólnego z dyplomacją!

Zresztą, jeśli przez czas jakiś obecność cudzoziemca na czele Twojego Urzędu Spraw Zagranicznych mogła nie być zbędną dla sprawy, zdaje się, że obecnie rzeczy mieć się będą inaczej.

Propaganda fiumeńska musi być zmodyfikowana, aby móc bronić interesów, czysto narodowych.

Nie sędzę, aby moje przekonania polityczne, tylokrotnie ujawniane w Fiume i gdziein-

dziej, miały polecać mnie jako odpowiedniego do pełnienia tego zadania.

Pozostaję bardziej niż kiedykolwiek przekonany o wielkości Twojej sprawy.

Fiume, przez przeciwstawienie wszystkim gwałtom, wszystkim zuchwałstwom, wszystkim podłościom świata, nieprzymuszonej swojej decyzji, niezłomnej swojej woli pozostania włoskiem, oddało nieocenioną przysługę sprawie rzeczywistej sprawiedliwości, owej sprawiedliwości z istoty swojej zarazem ludzkiej i boskiej, ferującej swoje wyroki ponad kodeksami, rządami i areopagami. Ty, Komendancie, byłeś wymownym wyrazicielem jej gniewu, wcieleniem jej oporu, twórcą jej triumfu.

Dumnym pozostanę na całe życie, że danem mi było w ciągu dziesięciu miesięcy współdziałać pod Twojemi rozkazami w obronie najszlachetniejszej ze spraw.

Nie bez szczerego żalu rozstanę się z szefami tak wybitnymi, jak PP. Alceste de Ambris i pułkownik Sani.

Zachowam w najmiłszem wspomnieniu moich współtowarzyszy pracy: Sacco Guardini'ego, Fursta, Comisso; sierżantów: Cannella i Schivetti'ego, a zwłaszcza Ludovica Toeplitza de Grand Ry, który, pozwolę sobie podkreślić, był pierwszym poprzednikiem moim na stanowisku, jakie mam wkrótce opuścić.

Rozstając się wszelako z Wydziałem Spraw

Zagranicznych, nie myślę ani na jedną chwilę o wycofaniu się z walki o sprawę fiumeńską.

Błagam Cię też, Komendancie, jeśli nie zawiodłem Twojej ufności we mnie, błagam Cię, chciej uważać mnie zawsze za najkorniejszego i nie najmniej żarliwego z pośród Twoich wielbicieli.

Leon Kosznicki.

Na list ten odpowiedział Komendant:

Drogi mój Leonie!

Tyle szczerego zapału dla Sprawy i tak wysokie zrozumienie idei fiumeńskiej nie mogą zakończyć się pożegnaniem.

Pismo niniejsze nie jest zatem pożegnaniem.

I nie jest także podziękowaniem.

Praca twoja — tak czynna, tak rozumna i tak wytrwała w ciągu tylu miesięcy — nie może nie trwać w dalszym ciągu.

Odjeżdżając nawet, pozostawiasz nam twoją obecność duchową i czynną wciąż owocność twojego impulsu.

Pozostaniesz najbardziej przekonany i najwymowniejszym wyznawcą naszej wiary pośród najpierwszych w rządzie wierzących we WSZECHSWIATOWOŚĆ naszej działalności.

Wracaj do nas prędko z wznowionym zapałem. Znajdziesz tu swoich towarzyszy pracy i walki, kochających cię i czekających na ciebie.

Chcemy święcić wszyscy razem pierwszą rocznicę Ronchi przy wzmożonym na ziemi świetle.

Twój

Gabriele d'Annunzio.

Fiume, dziesiątego miesiąca,

11 lipca, 1920.

Moje podanie się do dymisji bardzo szeroko było komentowane. Nic nie nagliło mnie. Nie miałem potrzeby się śpieszyć: odjazd z Fiume po otrzymaniu na drogę podziękowania gospodarza był czemś nowym, niezwykle! Radość wśród członków Rady Narodowej: automatyczne zniesienie przerażającego URE było następstwem mojej rezygnacji, bowiem d'Annunzio dał do poznania, że „nie życzy sobie wyznaczać mi następcy“.

W przeddzień odjazdu byłem na śniadaniu u Komendanta: na wieczór zaprosiłem siedmiu najwierniejszych moich towarzyszy do Ornitorinco, zwróciłem się też do d'Annunzia z prośbą, aby przyszedł do nas pod koniec obiadu: od szeregu miesięcy nie pokazywał się już w dawnym „Złotym Jeleniu“.

„Co najwyżej będę mógł przysłać wam Ariela“

Przysłał kilka butelek szampana i list:

Drogi mój przyjacielu!

Nie przyjdę dzisiaj wieczorem do Ornitorinco.

Nastrój mojego umysłu dzisiejszego wieczora nie radzi mi być dziewiątym w waszym gronie.

Posyłam wam napój rzeźwiący.

Pozdrawiam biesiadników.

I ściskam cię z całego serca.

„Sufficit diei malitia“.

Gabriele d'Annunzio.

25.7.1920.

Po moim wyjeździe ręka przyjaciela wręczyła Komendantowi moją odpowiedź:

„Komendancie,

Ariel nie przybył. Czy zatrzymał go Kaliban? Pommery zostało ocenione i uczczone, jak na to zasługiwało. Dziękuję.

Opuszczam Fiume; jutro będę już zdala od „Bal des Ardents“. W domu przyjaciół, położonym na czarującym wzgórzu włoskim, poszukam samotności, ciszy i odpoczynku.

Przeczytałem ponownie Boecjusza... Będę pisał...

„Sufficit malitia die“.

Przez dziesięć miesięcy byłem martwym przedmiotem, narzędziem bezwolnym, biernym tłumaczem.

Spróbuję stać się ponownie sobą samym.

Tutaj nie jest to możliwe.

Niema dość światła dla mnie w Twoim cieniu, Komendancie.

Wielbię Cię nieskończenie.

Wiem, że jesteś Mistrzem. UFAM CI.

Oczekuję nowej jutrzni.

I całuję Twoje ręce z kornem uczuciem,

z oddaniem.

Leon Kosznicki.

EPILOG

Mija kilka miesięcy.

Zrazu nagle znalezienie się poza granicami „*Bal des Ardents*“ objawia się w postaci zupełnego odu-
lenia.

Dopóki stanowi się częstkę korowodu, który po-
rusza się, krąży, wiruje w tańcu zawrotnym, niepo-
dobna zdać sobie z tego sprawy. Aby odczuć koło-
rót, należy wyjść z jego wiru. Zrazu doznaje się,
rażenia, że wszystko się kręci, że wszystko zlewa
się i splata pospołu. Szał tęczy; koło szczęścia; pier-
ścienie Saturna. Aby odnaleźć wreszcie siebie same-
go, potrzeba wielu tygodni.

Zbudzenie; stopniowe ustalanie się punktów za-
ważnych; zwolna układa się ponowna perspektywa.
Można czytać znów książkę, odpowiedzieć na list, ku-
pić kapelusz, skomponować sonet. Toskanja pieści
nos i wzrok. Fiume błękitnieje woddali; we Wło-
schach myślą ludzie o tysiącu różnych rzeczy, a w
dziennikach „miasto życia“ odsunięte jest na czwartą
stronę, czasem na drugą stronicę. Wieści, nad-
chodzące stamtąd, brzmią dziwnie, wydają się nie-
rozumiane. Któż to są ci ludzie, przemawiający
z takim tak patetycznym? Dlaczego upierają się

przy tem, aby wieścić „dobrą nowinę“ głuchemu światu?

Przestają rozumieć.

Czasem nachodzą na mnie długie momenty żalu.

Piazza Dante, udekorowana chorągwiemi, okłaski tłumu... Arditi z głosami śpiewem są piękni. Głos Komendanta przenika świetlane powietrze.

Kusicielu, kusicielu, pójdę za tobą aż do najdalszy kres ziemi; nigdy cię nie opuszczałem, nigdy nie odjeżdżałem od ciebie...

Czarowniku, uwodzicielu ludzi, cudnie chcesz iść za tobą i umrzeć dla ciebie; jakiegokolwiek żywisz idee, będą one mojemu; jacykolwiek są ludzie, którzy cię otaczają, chcą być pośród nich; chcę wsłuchiwać się w twoje słowa, i być ci posłusznym, i wybaczać ci.

Ułuda; rzeczywistość chwyta mnie ponownie w żelazne swoje kleszcze. Niema mnie już w Fiume „Bal des Ardents“ skończony, skończony nazawsz. Pozostał już tylko po nim w pamięci poszum, płomień, żarzący się nieustannie w głębi serca. Złoty barwna jesień włoska schodzi z wolna z północy jak młody Lord Byron, wspaniała i namiętna...

Tam, w Fiume, święcono uroczystości, defilowały pochody. 12 września obwieszczono ukonstytuowanie się Regencji Włoskiej Carnaro; na murach i wieżach miasta powiewa nowa chorągiew. Wciąż jeszcze intrzygi, troski. Coselschi przywrócony

łaski, inni odeszli z hałasem. Istny najazd nowych twarzy dokoła Pałacu.

Tutaj wszystko uspokaja się, wszystko usypia: ludziom potrzebny jest spokój i pieniądze; w powietrzu rozsiane znużenie. Nawet Cagoia przycichł. Ale Giolitti, stary lis, pracuje pod wodą. Chciałby jaknajprędzej skończyć z „impresą“, widzieć ją zlikwidowaną; osiemdziesięcioletni biurokrata ma dość tej działalności o szerokim rozpięciu; weszły w niej niebezpieczeństwo dla swych metod rządzenia. Z drugiej strony spełnili emisariusze swój obowiązek: tarcia opozycyjne w Fiume złagodniały, w Dalmacji zyskuje Giolitti sympatję nieledwie. Niezdecydowana polityka d'Annunzia najlepszym jest dla niego atutem; wystarczy teraz przeczekanie odpowiedniego momentu. Boże Narodzenie zabarwione na czerwono! Uchwycono się w tym celu byle pretekstu... 25-go i 26-go nie wyszły dzienniki... i po nury Rycerz obiecywał sobie, że 27 z rana uda mu się rozgłosić Włochom i światu, jako „sprawa weszła już w stadjum czynne“. Tym razem jednak gra nie udała mu się.

Nie moją jest rzeczą opowiedzieć, czem były dwa „pięć dni fiumeńskich“; ważyć się na to mogą ci jedynie, którzy osobiście przeżyli na miejscu upiorne godziny.

Usłyszawszy, co zaszło w Fiume, wybrałem się bezzwłocznie w podróż. 26 grudnia! Przybyłem do Wenecji o mroźnym świcie. Dom Ludovica Toeplitza, który sprawował funkcje konsula Regencji w Wenecji, był rodzajem Pałacu fiumeńskiego na mniejszą skalę. Legjoniści, daremnie wyczekujący z upragnieniem powrotu na swoje stanowiska, zjeżdżali się ze wszystkich stron. Znane twarze: Bonmartini, Piffer, Allegri, Cais.

Niepodobna skomunikować się z Regencją: nie przepuszczają nikogo; niema możliwości przekroczenia granic Triestu. Myślimy o sprokurowaniu sobie hydroplanu, ale władze w Wenecji zarekwirowały cały będący do dyspozycji zapas benzyny. Zatem...

Przewijają się osobistości najbardziej nieprzewidziane. Skazani jesteśmy już tylko na machinacje i sprzysiężenia. Fałszywe wiadomości, tajemnicze miny, narady i rozmowy półgłosem; wieczorem niespodziane telefony, głosy patetyczne: Komendant nie żyje, padł pod Cantrydą na czele Legjonistów.

Potem okazuje się to wszystko zmyśleniem.

W nocy, w pięknym ogrodzie „Tolentini“ — *solitaire et glacé* — (!) snują się cienie. To nie maski z „*Commedia dell'arte*“, drogiej sercu piewcy Judyty: przeciwnie, to on sam we własnej osobie Ludovico wraz ze mną i jeszcze dwoma innymi osobnikami, niosącymi walizę: pełną bomb, jak się wydaje. Niema obawy! Nie zabija się tutaj nikogo; wszystko skończy się jak w drugim akcie „*Cyrulika*“

Piekło, wrzawa, zamieszanie,
Mówi wciąż o zabijaniu,
Tak, tak musi być mój panie,
Mówi wciąż o zabijaniu.“

Tam jednak tymczasem leje się krew: raz jeszcze szlachetna, ofiarna krew włoska barwi purpurowo kamyki Karstu...

D'Annunzio nie umarł Ale kanonjerzy olbrzymiego okrętu wojennego „*Andrea Doria*“ mierzyli celnie... *superdreadnought* chlubnie zainaugurował swoje, niepuszczane nigdy w ruch 305-ki; trafiony został bersaljer.

— *Dokąd mnie wieszysz? Dokąd mnie wieszysz?* — Pośród porozsypywanych okrucich cementu i wapna, potrzaskanych szczątków mebli, szkła potłuczonego na miazgę, Gabrjel d'Annunzio, ociekający krwią, spowity w obłok gryzącego, ostrego dymu, pyta o to Coselschi'ego: ale ten ciągnie go dalej, nie odpowiadając. Stali obaj razem w głównej sali na drugim piętrze: granat, wymierzony celnie, wpadł w sam jej środek. — *Dokąd mnie wieszysz?* — Komendant, raniony w głowę, opuszczał nazawsze „Palazzo di Fiume“.

Dokąd mnie wieszysz? Czy naprawdę autor „*Laudi*“ zwracał się do Coselschi'ego? A nie raczej

Pod skrzydłami d'Annunzia — 15.

do Losu? Do Losu, który zdawało mu się, że zdołał ujarzmić i opanować, jak ujarzmił i opanował ludzi, mężczyzn i kobiety, myśli i słowa? *Dokąd mnie wiesz?* Może idea sprawiedliwości boskiej tkwi w głębi jego duszy: w chwili grozy opanowuje go pokora chrześcijańska.

REX. REGUM. ET. DOMINUS.
DOMINANTIUM.

W wieku tym, w którym cesarze i królowie są jedynie pajacami godnymi pożałowania w rekach ludzi, jest genjusz najpotężniejszy słomką za ledwie w prawicy bożej.

Często, w Fiume, rozmyślałem o bliskim jego jutrze. Wyobrażałem sobie piękną willę na brzegu laguny czy jeziora, coś, co przypominałoby Byronowskie „Diodati” nad jeziorem Genewskim. Ale „willa Diodati” była wigilją Ravenny, przedwigilją Misolungi.

Jutrem Fiume jest Cargnaco.

A dniem pojutrzejszym?

A dniem ostatnim?

O zrzeczeniu się przez Gabryela d'Annunzio władzy dowiedzieliśmy się niezwłocznie.

Koniec zatem.

Paszport mój miał wizę zagraniczną. 31 grudnia o szóstej z rana opuściłem Wenecję.

Na dworcu zastałem grupę młodzieńców, znudzonych, niewiedzących co z sobą począć, niezręcznie ukrywających resztki mundurów pod przypadkowym cywilnym strojem.

Byli to Legjoniści zaratyńscy: udało im się zbiec, kiedy prowadzono ich w Ankonie jako jeńców. Opowiedzieli mi o oporze Zary; surowo potępiają admirała Millo. Strzemienne, uściski rąk, pożegnania.

Orient Express przebiega Italję, ale Italja nie przebiega *Orient Expressu*.

Usadawiłem się. Jeszcze pod dachem dworca weneckiego czuję się już o trzysta mil od Adrjatyku.

Podróżujące akwarjum. Ranne śniadanie w *wagon-restaurant*. Jakiś generał grecki dyskutuje o daizmie, Serb wyśmiewa Rumunów, Rosjanin oburza się na okrucieństwa bolszewickie, Niskiego wzrostu Francuz — czerwona wstążeczka w dziurce od guzika, bródka zakończona w szpic — gada, gada, nie przestaje gadać. Wracam do mojego przedziału. W korytarzu nieunikniona stara Angielka wymachuje wielką płachtą gazety i zwraca się do męża: *Hello, it seems Denenziau has surrendered.* (Oczywiście, ma to być uwaga o ustąpieniu d'Annunzia).

Na kresach Włoch długie, przeraźliwie długie tunele, rozgałęziające się we wszystkie strony, nigdy niekończące się. Domodossola. Mam i ja także ochotę zawołać: „*Dokąd mnie wiedziesz?*”

W niekończącym się tunelu toruję drogę rojowi własnych myśli. Myślę o Nim, o bezmiarze jego cierpienia, o zmarłych towarzyszach, o rannych, o bohaterkim Antoniu Masperi'm, któremu dostał się fatalny postrzał w kolano i który, gdy znów go zobaczę, powie mi z cudowną prostotą:

— Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej.

Myślę o Fiume, zbawionem cielesnie i zatraconym duchowo, myślę o Włoszech... ile lat musi minąć, zanim nie powróci jej Pies Łowczy¹⁾.

Przejście jest straszliwe... i dlaczego to wszystko, dlaczego?

Istrja ocalona. Aljanci nie rozsadowią się na Adrjatyku; ale Fiume?...

¹⁾ Pies Łowczy — *il buon veltro* — bohater-wojownik, który ma odbudować potężne państwo Rzymskie (Patrz: Przekład Boskiej Komedji Ant. Stanisławskiego. Pieśń Pierwsza. (Przyp. tł.).

Wzdłuż dróg, prowadzących do patrycjuszowskich siedzib czy do wielkich, rojących się pracą fabryk, dokoła plebanij, przy wjazdach do wsi, przed najbiedniejszymi chatkami, czasem nawet na obrzeżeniach bocznic i na miedzach pól, oranych z tyloma trudnościami — mieszkańcy prowincji weneckiej czy chłopci z Kampanji rzymskiej, Ligurji lub Toskanji sadzą cyprysy.

W całej śródziemnomorskiej Europie rosną cyprysy. We Włoszech tylko sadzą je. Drzewo to nie daje cienia, nie rodzi owocu, z kory jego niepodobna nic wyrobić, wiek cały nieledwie musi upłynąć, zanim pień jego może się na coś przydać. Ziemia, nie produkująca ziarna w dostatecznej ilości, aby nakarmić niem swoje dzieci, kraj, zniewolony podczas wojny do wycinania swoich gajów oliwnych i do zdobywania tą drogą drzewa do palenia, aby pociągi mogły kursować w dalszym ciągu, a ogniska fabryczne — płonąć nieprzerwanie... ta sama ziemia kocha nieprzydatne na nic cyprysy, hodując je, gdzie tylko może. Są takie piękne!

I wieczorem, na każdym cyprysie włoskim, jak na herbie Papieża Leona XIII, rozbłyskuje gwiazda.

LUMEN. IN. COELO.... Oto poniżona Italja, „*umile Italia*“, której nie żywi ani to, co wyrasta z ziemi, ani to, co spoczywa w jej łonie, kraj bezinteresowności i ofiarności, zakątek świata, w którym bogactwa nie budzą zawiści ani podziwu i gdzie przechodzi się obojętnie obok sławy.

Spodobało się Panu, dla uratowania rasy ludzkiej, wybrać postać cielesną, bardziej unerwioną, wrażliwszą na cierpienie, bardziej liryczną może, ale zarazem mniej przystępną na świetności i blaski świata widzialnego; chcąc podnieść majestat swojej świątyni, stworzył Bóg Włochy i uczynił je wybranym z pośród wszystkich krajem.

Niech się uspokoją nacjonaliści włoscy: zbędem byłoby, dla podniesienia w opinii świata splendoru ich ojczyzny, wysławianie ich floty wojennej albo rozwoju ich przemysłu metalurgicznego. Wszystkie te rzeczy mogą być powodem zadowolenia, ustępują wszelako i nikną w porównaniu z niedająca się zmierzyć ani zważyć wielkością minionych dziejów narodu.

Tem, co nie ustępuje nigdy i wobec niczego, co pozostaje wieczne, co utrzymuje i zabezpiecza (nie cofam się przed tem określeniem) duchową hegemonję plemienia, jest:

„...sapienza, e amore, e virtute“ (wiedza, i miłość, i cnota), skromna cnota bohaterska, wzniosła, nienagradzana — bezinteresowność poświęcenia.

Na ziemi męczeństwa ś-go Franciszka Randaccio, konający wskutek zadanych mu ran, nie umierał w inny sposób, aniżeli Eurialo i Niso.

Pod każdym innym niebem człowiek, zaprzęgający potężny umysł i rozległą wiedzę na usługi żądzy wywyższenia się i ślepej chciwości, jest zjawiskiem powszednim. We Włoszech deputowany

Nitti uważany jest za „mniej doskonale wcielenie djabła“.

Na placu pod mojem oknem rozplomieniła się podjazdowa wojna. Jednakowa dobra wiara, jednakowa bezinteresowność przyświeca obu przeciwstawiającym się sobie wzajem stronom.

We Włoszech nie robi się nic niepotrzebnego, poświęcenie nie bywa nigdy niepotrzebne.

Ci, którzy poszli do Fiume pod przewodem Gabrijela d'Annunzio, dalecy są od żalowania tego czynu. Po czterech latach, latach straszliwej wojny odnaleźli bardziej niepokalaną tradycję swojej krwi, dali w szlachetniejszym stylu wyraz swojemu umiłowaniu idei i wiary.

Qu'est-ce qu'il a été faire à Fiume? — Czego pojechał szukać w Fiume? — Przy każdej sposobności w krajach zachodnich słyszę sykanie mi w uszy to pytanie. Wszędzie przypisywane mi są ukryte cele, maskowane interesy, mętne, dwuznaczne zabiegi.

Pozostaje pięć miesięcy *w tunelu*.

Na początku szóstego wracam do Włoch, śpieszę do Riviera Gardone.

Hall kasyna, obszerna oszklona werenda; na górze: *sept, rouge, impair i manque* — falcetowe głosy krupjerów — stwierdzają uniwersalność Francuzów; echa „*Dreimäderlhaus*“ milkną z szacun-

kiem; w gębi olbrzymia ilustrowana pocztówka w stylu Böcklina: jezioro, skały, wyspa.

„Kamienista dróżka — czytamy w Baedekerze — prowadzi w dwadzieścia minut do *Gardone di Sopra*, położonego w połowie zbocza najbliższego wzgórza“. U wejścia do miejscowości niewielki placyk; oto dom *sindaco*, kasztan, dwie pinje, ocembrowany zbiornik wody do prania; potem jeszcze jeden dom; fasada, opleciona różami, wijącymi się dokoła małego balkoniku, dwa okna parterowe, jedno z prawej, drugie z lewej strony drzwi wejściowych: to plebanja!... nie, nie, na progu dwie wdzięczne syrenki z brązu. Dzwonię. Otwierają... Dom niespodzianek... chłód przedsiönka... zielony salonik... za nim obszerna sala... książki, książki, książki. Na obramowaniu kominka, na stole, wszędzie. Oto pieśni karnawalowe Wawrzyńca Wspaniałego, otwarte u stóp japońskiego bózka, a oto w paszczy marmurowego delfina mikroskopijny Petrarka w oprawie z ponosowego safjanu, ujętej w żelazne spięcia kłamrowe z XVI stulecia — przepyszny okaz; oto na pulpicie partytura „*Śpiewaków Norymberskich*“. Wielki Steinway pokryty blade-zieloną kapą; na jednej ze ścian drzemią dwie maski gipskie.

Przyglądam się obszernemu wnętrzu: raczej *sitting-room*, *Wohnzimmer*, aniżeli *salotto* w guście włoskim; taki sam charakter mają wygodne kanapy bez żadnego stylu — komfort nieco masywny. Przyglądam się przepięknemu portretowi Liszta w wieku młodzieńczym, podpisanemu i datowanemu; sub-

telne, uduchowione ręce, włosy przyglądzone, surowy profil. Spotkanie niespodziewane, nieprzewidziane zestawienie! Odnalazły się tutaj wzajem dwa *enjants gatés* genjuszu, powodzenia, miłości.

Wyjaśnić mi się to ma niebawem: dom był własnością niemieckiego uczonego, pozostającego w bliskich stosunkach z Wagnerem i spokrewnionego z czarownym przyjacielem Daniela Sterne'a. Zmienne losy wojennych sekwestrów pozwoliły autorowi „*Laudi*“ wynająć willę *Cargnacco*.

Uchyła się kotara: *Krissa*, ulubiony chart, przyskakuje do mnie w rozpędzie. Zapach kadzidła zespała się z płynącym z ogrodu zapachem róż... Szybki, żwawy krok... Rozpoznałbym go spośród setek tysięcy...: Komendant!...

Nie zmienił się od czasów Fiume: bodaj wydaje się odmłodzony. Bystre spojrzenie, cera nieco opalona, twarz wypoczęta, kształty uwysmuklone w cywilnym ubraniu... bez monokla; żadnej wstążeczki na klapie szarej marynarki. Cyncynat?... Nie...

Nieprześcigniony pracownik powrócił do swojego warsztatu, do zawodu, który jest jego zadaniem na ziemi, do *cnoty* swojej, jak powiedziałby Arystoteles.

Czy mamy prawo wdzierania się do tajnej pracowni?

Na drzwiach napis:

CLAUSURA. SILENTIUM.

Zbyt śmiało było już może samo uchylenie zielonej kotary.

Dar, wznawiany przez niego codziennie od lat czterdziestu: dar całej jego potęgi twórczej, całej wzniosłości jego ducha, jego genjuszu — staje się naszym udziałem.

Zrywać owoce cudownego sadu, napawać się ich smakiem i aromatem — to nam wolno. Praca owocowania pozostaje nietykalną własnością twórcy.

W ciągu nazbyt długich lat pospolita, swawolna ciekawość zapuszczała wzrok niedyskretny, czasem nawet nieprzyzwoity poprzez szczeliny jego okiennic, poprzez najdrobniejsze szparki jego wrót.

Kryjówka jego spokoju winna być uszanowana.

Samotnię Gabrijela d'Annunzio wieńczy milczenie.

Okno biblioteki otwarte na ogród... klasyczny ogród włoski... Róże tysiącami rozkwitają, wędna, opadają, nietknięte przez nikogo — na żądanie d'Annunzia. Glicynje przekwitły już, zato oleandry różowią się pysznymi bukietami, a u stóp cyprysów jaśminy i wiciokrzewy tchną w powietrze balsamiczne swoje wonie. Oto odwieczny „gaj cytrynowy“ — przenikliwy zapach drzew cytrynowych opiewał młody Goethe.

Okno biblioteki otwarte.

Cichy szmer, jednostajny, łagodny: pilnik złotnika, rysik, sztylecik.

Nad samotnią Gabrijela d'Annunzio milczenie opada jak biała gołębica.

Wieczorem odnajduję paru towarzyszy na wybrzeżu jeziora Garda, ciemnego pod gwiazdnym niebem.

Czy nie zdawałoby się, że to burzliwe Carnaro? Wspomnienia... zjawy... piosenki. Rozbrzmiewa głos, *romana di Roma* — rzymski z Rzymu:

„*Fiume, Fiume, chi se po scorda di te?*“ — Fiume, Fiume, kto jeszcze pomni ciebie?

Sen naszej młodości plynie po tafli jeziora, jak ciało martwego ptaka.

KONIEC.

Riviera Gardone. 11 stycznia 1922.